

Marcin Kaćki:
Jak Konfederacja łowi młodych

Maliny – klient płaci,
rolnik traci

Nina Andrycz i Józef Cyrankiewicz
– gwiazda i premier

Perfekcyjne kłamstwa
sztucznej inteligencji

WIECZNY WRÓG PRAWICY

DRUGIE ŻYCIE POLSKI LUDOWEJ

Poznaj tajemnice wywiadu!

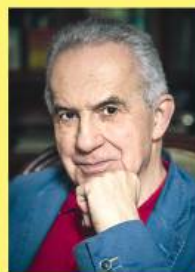
SZPIEGOWSKIE KSIĄŻKI PRZEGLĄDU NA LATO

Wywiady Rosji, USA i Chin w nowej książce Tomasza Turowskiego

ŚWIAT U PROGU KATASTROFY, ALE JESZCZE NIE JEST ZA PÓŹNO

Kolejna książka Tomasza Turowskiego o tematyce szpiegowskiej. Był jednym z najlepszych oficerów wywiadu. Wie, o czym pisze, i robi to zawsze ciekawie. Zachęcam do lektury.

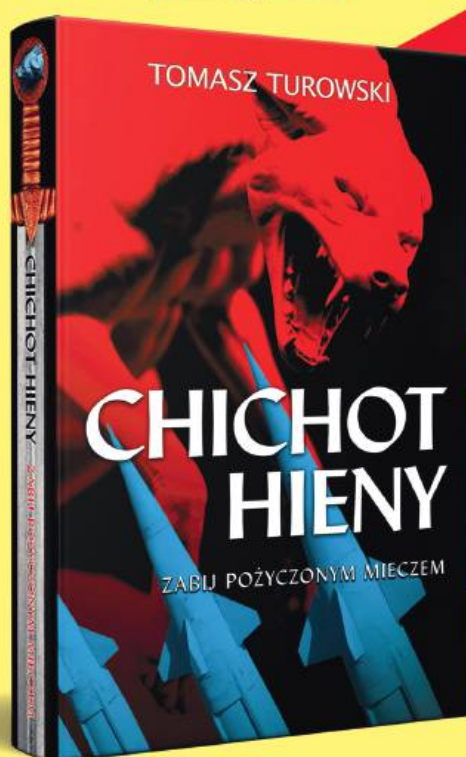
Gen. Gromosław Czempiński



37 zł



39 zł



PAKIET 65 zł ~~76 zł~~

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

eprasa.pl c984a05529



Duda w trzecim rządzie

Wracam jeszcze do 80. rocznicy ludobójstwa OUN-UPA na ludność polskiej Wołynia i Małopolski Wschodniej. Skromne obchody zorganizowane przez władze państwowe były nieudolną próbą przykrycia tej rocznicy pustosłowiem. Zrobiono wszystko, by mimo okrągłej rocznicy niczego sensownego nie powiedzieć. Zwłaszcza tego, co mogłoby się nie spodobać władzom Ukrainy. Hipokryzję, obłudę i głupotę polityków pełniących u nas ważne funkcje państwowe umiejętnie wykorzystuje do swoich celów prezydent Zełenski. Nie będzie nawet ekshumacji zamordowanych Polaków. Dla Ukrainy jest to duży problem, bo skala zbrodni jest tak ogromna, że świat miałby poważny kłopot z oceną tamtych wydarzeń. I rozgrzeszeniem państwa, któremu Polska tak bardzo przecież pomaga, z tego, że ciągle tysiące ofiar leżą na polach i w lasach.

Jedyne, co udało się załatwić, to wysprzątanie i pomalowanie okolic pomnika ofiar ludobójstwa na Wołyniu. Zdążono na chwilę przed rocznicą. I przynajmniej tam wstydu nie było. IPN może wrócić do ścigania milicjantów, żołnierzy i sędziów za wyroki w latach 80. Zajęcie dobrze płatne i nienerwowe. A na Ukrainę i tak od lat nikt ich nie wpuszcza. Bo i kto by się tam przejmował jakimiś polskimi lamentami i rezolucjami.

Ukraińcy wiedzą, czego chcą. I konsekwentnie te zbrodnie z przeszłości zacierają. A prezydent Duda, bo to jego uważam za głównego sprawcę tej amnezycznej polityki historycznej, nie wie, co zrobić, by doszło do ekshumacji ofiar ludobójstwa. Żal było słuchać oświadczenia po nabożeństwie ekumenicznym z udziałem prezydentów Dudy i Zełenskiego. Jak rozumieć „hold złożony wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia”? To nie zbrodniarze z OUN-UPA mordowali Polaków, tylko kraina geograficzna?

Im dłużej będzie trwała taka hipokryzja w relacjach z Ukrainą, tym większa będzie kiedyś fala, która zmiecie tych

polityków, bo nie dorośli do trudnych czasów. I do swoich obowiązków.

Nieudolność prezydenta Dudy widzi coraz więcej Polaków. Zdecydowanie źle ocenia go 45,5% ankietowanych w sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej”, a 14% raczej źle. Nie głosowałem na Andrzeja Dudę, ale przykro było patrzeć, jak na szczycie NATO w Wilnie polskiego prezydenta ulokowano w trzecim rządzie. Czwartego już nie było. Tak Dudę widzą w NATO. I w Unii Europejskiej. To nie przypadek, lecz efekt ośmioletnich rządów PiS, których Duda jest międzynarodową wizytówką.

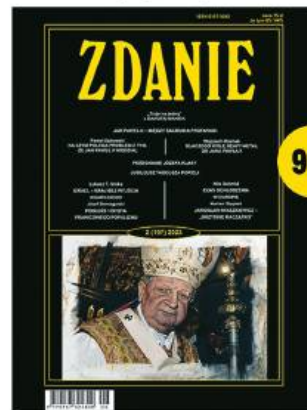
Bardzo dziękuję za wszystkie dobre słowa
i za wsparcie finansowe.
Proszę o dalsze wpłaty na:
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU”

BAKOWSKI



Ukazał się nowy numer
ZDANIA (2/2023)

„Troje na jedną”
z **DANUTĄ WANIEK**
„Demokratyczne i świeckie państwo
prawa to moje polityczne credo”



W wersji elektronicznej dostępny na
sklep.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Drugie życie Polski Ludowej**
Prawica wciąż z nią walczy
- 13 Wpuszczeni w maliny**
Burza wokół skupu interwencyjnego
- 17 Prorocstwo Sienkiewicza**
Inwestowanie w rozwój po polsku
- 20 Zachwiana kariera posłanki PiS**
Kłopoty Iwony Arent

ZAGRANICA

- 22 Co Zachód naprawdę myśli o Ukrainie w NATO?**
Biden uciął spekulacje
- 24 Nadszarpnięte więzi**
Żydzi w USA nie wspierają Netanjahu

OPINIE

- 28 Howard W. French**
Waszyngtonu fantazjowanie o Indiach

KULTURA

- 30 Zaorać przeciwnika**
– rozmowa z Marcinem Kąckim
- 34 Trzeba zniszczyć ten teatr**
Władza kontra Krzysztof Gluchowski
- 36 Kulturalia**
- 66 Szklany zawrót głowy**

HISTORIA

- 38 Armia sybiraków**
Berling też wyprowadził Polaków ze zsyłki

KSIĄŻKA

- 42 Aktorka i premier**
Nierówna miłość Andrycz i Cyrankiewicza

OBSERWACJE

- 50 Szlachetne maluchy w Monte Carlo**
Wyprawa wielkich sercem
- 56 Albania – piękno w pigułce**
Znacznie więcej niż plaże

TECHNOLOGIE

- 52 Era fabrykowania rzeczywistości**
Deepfaki coraz groźniejsze

ZWIERZĘTA

- 59 Marsz nurogęsi**
Dzielne i lubiane

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Duda w trzecim rządzie
- 27 Andrzej Romanowski**
Kochóm Kurpse!
- 37 Tomasz Jastrun**
Rozkożysani w tańcu
- 47 Roman Kurkiewicz**
Hiszpania 1936-1939
– wojna zapomniana, zakurzona, wyparta
- 55 Wojciech Kuczek**
Powieść luksusowa

50 OBSERWACJE



SZLACHETNE MALUCHY W MONTE CARLO

Wyprawa wielkich sercem



52 TECHNOLOGIE

ERA
FABRYKOWANIA
RZECZYWISTOŚCI
Deepfaki
coraz groźniejsze

59 ZWIERZĘTA



MARSZ NUROGĘSI

Dzielne i lubiane

Projekt okładki: Iza Mierzejewska





✉ Głowa w mur

Bardzo dziękuję za wieloletnią pamięć o wydarzeniach 1943 r. na Wołyniu. Wydaje mi się, że dość powszechne domaganie się przeprosin od strony ukraińskiej jest pewnym nieporozumieniem. Obecni Ukraińcy ani tego nie zrobili, ani w znakomitej większości nie są potomkami rzeczywistych winowajców. Problemem jest wynoszenie przez nich na pomniki inspiratorów i wykonawców tych zbrodni, gdyż to oznacza także gloryfikowanie tych czynów jako zasług narodu ukraińskiego. Chcesz mieć ulicę swojego imienia w Ukrainie albo pomnik – zamorduj tysiąc Polaków! W imię przyjaźni z nami mogliby sobie znaleźć innych bohaterów.

Prof. Wiesław W. Jędrzejczak

✉ Dryfowanie polskiej nauki

Podobnie jak prof. Jan Widacki jestem zaskoczony, że wywiad z rektorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie prof. Mazurem na łamach „Polityki” nie wywołał szerokiego odzewu. Ale... W latach 70. na Uniwersytecie Warszawskim, zanim powołano Komitet PAN Polska 2000, odbyło się seminarium, na którym mówiono o wyzwaniach, jakim powinniśmy sprostać, aby przyspieszyć rozwój nie tylko gospodarczy, lecz także cywilizacyjny. Sformułowano wniosek o potrzebie podwojenia liczby osób z wyższym wykształceniem. Wówczas wykształcenie wyższe miało ok. 7,5% Polek



✉ Polski przemysł motoryzacyjny?

W nr. 27 PRZEGLĄDU wyczytałem taką informację: „Wartość eksportu polskiego przemysłu motoryzacyjnego w pierwszym kwartale tego roku wyniosła 12,9 mld euro wobec 8,35 mld euro w ubiegłym roku”. I nie pytam złośliwie, ale z ciekawości: czym jest polski przemysł motoryzacyjny? I jakie marki w nim dominują?

W. Czuma

Wartość eksportu polskiego przemysłu motoryzacyjnego w pierwszym kwartale tego roku wyniosła **12,9 mld euro** wobec 8,35 mld euro w ubiegłym roku.

Więcej listów na s. 49

ZDJĘCIE TYGODNIA



Aleja Milionerów. Ty pracujesz, oni się bogacą – akcja zorganizowana przez Platformę Obywatelską. Warszawa, plac Pięciu Rogów, 12 lipca 2023 r.

14 lipca minęło **30 lat** od założenia **Ośrodka Diagnostyczno-Lecznico-Rehabilitacyjnego dla Osób Nieśłyszących i Niedosłyszących „Cochlear Center”,** dzisiejszego **Światowego Centrum Słuchu**. W tym czasie przeprowadzono 4,5 mln konsultacji i badań pacjentów, 600 tys. procedur chirurgicznych, wszczepiono 12,5 tys. implantów. Za tymi sukcesami stoi twórca programu, **prof. Henryk Skarżyński**. Pierwszą operację przeprowadził 16 lipca 1992 r., a 12 lipca 2002 r. jako pierwszy na świecie wszczepił implant ślimakowy. Imponujący dorobek i gigantyczna praca prof. Skarżyńskiego i jego zespołu są doceniane przez cały świat medyczny. A przede wszystkim przez pacjentów.

Metropolita łódzki abp Grzegorz Rys

30 września zostanie kardynałem. Ma 59 lat, w latach 2011-2017 był biskupem pomocniczym w Krakowie. Ma opinię człowieka otwartego i podobnie jak papież Franciszek żyjącego skromnie. Nie unika trudnych tematów.

45,5% ankietowanych przez IBRIS w sondażu dla „Rzeczpospolitej” **źle ocenia prezydenta Dudę**, a 14,0% raczej źle. Raczej dobrze ocenia go 24,2%, a zdecydowanie dobrze 15,5% respondentów.

W kolejnym amerykańskim pakiecie uzbrojenia dla Ukrainy znajduje się artyleryjska amunicja kasetowa DPICM. Ponad 120 państw, w tym większość krajów NATO, ale nie Polska, zdelegalizowało tego typu uzbrojenie. Rosja na wojnie

z Ukrainą stosuje amunicję kasetową.

Tomasz Różycki, tłumacz i poeta, otrzymał **Nagrodę im. Wisławy Szymborskiej** i czek na 10 tys. zł za tom „Ręka pszczelarza”.

Zarząd Dzielnicy Mokotów i Ministerstwo Kultury, które wymusiło na wojewódzkim konserwatorze zabytków decyzję o budowie **potężnego apartamentowca na obrzeżach Cmentarza Mauzoleum Żołnierzy Armii Radzieckiej w Warszawie**, zdaniem **stołecznego konserwatora Michała Krasuskiego** dopuścili się ewidentnego zniszczenia tego zabytku. Biuro Stołecznego Konserwatora Zabytków wnioskuje o stwierdzenie nieważności tego postanowienia.

Grupa TVN, kontrolowana przez amerykański koncern Warner Bros. Discovery (WBD), **wypłaciła akcjonariuszom w 2022 r. aż 1,3 mld zł dywidendy**. Choć kwota jest ogromna, niewiele amerykańskim właścicielom pomogła. WBD w zeszłym roku miał stratę w wysokości 5,5 mld dol. netto.

TVP zaczyna brakować ludzi do wygłaszania partyjnych bredni. Radzą sobie, wynajmując do ulicznych sond aktorów zatrudnianych przez agencję medialną.

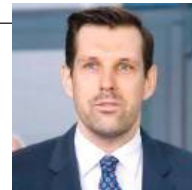
Dzieci, które ukończyły 15 lat, będą mogły towarzyszyć myśliwym na polowaniach za zgodą rodziców. Taka jest propozycja sejmowej komisji nadzwyczajnej. Nie uwzględnia protestów wielu organizacji, które uważają to rozwiązanie za szkodliwe.

PRZEBŁYSKI

Desant łódzki na stolicę

Ludu Warszawy, nie masz ty szczęścia do namiestników PiS, którzy trafiają na posadę wojewody mazowieckiego. Prezes Kaczyński jest bardzo niezadowolony ze swoich warszawskich bulwerów. Nie widzi tam nikogo, kto by go bawił zajadłością ataków na Rafała Trzaskowskiego. Sięgnął więc po Tobiasza Bocheńskiego, wojewodę łódzkiego. W Łodzi, która pozbyła się tego psuja, do dziś trwają bankiety. Gdy tam świętują, Warszawę czeka urzędnicza mitręga. Bocheński już robi wszystko, by utrudniać, opóźniać i przeszkadzać we wszystkim, co robi Trzaskowski.

Na dodatek desant łódzki jest tak słabo ogarnięty, że nawet w PiS śmieją się z niego i jego megalomańskich min. Bocheński ośmiesza urząd wojewody, ale ten jeden widz ma z niego sporo radochy. Jeszcze kwartał.



Reprezentacja biznesmenów

Kibice pytają, dlaczego nasza reprezentacja gra tak marnie. No to mają odpowiedź. Jak piłkarze mają dobrze grać, skoro głowy mają zajęte biznesami? A do biznesu trzeba mieć taki dryg jak Anna Lewandowska. Żona kapitana reprezentacji zarabia na mężu krocie. Pozadrościł jej Grzegorz Krychowiak. Partnerów nie szukał daleko. Z lekarzem reprezentacji Jackiem Jaroszewskim i fizjoterapeutą Pawłem Bambrem założył spółkę, która otworzyła w Dąbrowie pod Poznaniem centrum medyczne. Krychowiak włożył w ten biznes 3 mln zł. Dyrektorem medycznym Centrum Medycznego Medklinika został dr Jaroszewski. Niestety, trzech Polaków w jednym biznesie to o dwóch za dużo. Krychowiak oskarżył Jaroszewskiego o oszustwo. Sprawa jest rozwojowa. Prezes PZPN Cezary Kulesza ma w najbliższym otoczeniu kolejnego strzelonego babola.

Poronin bez ks. Parzygnata

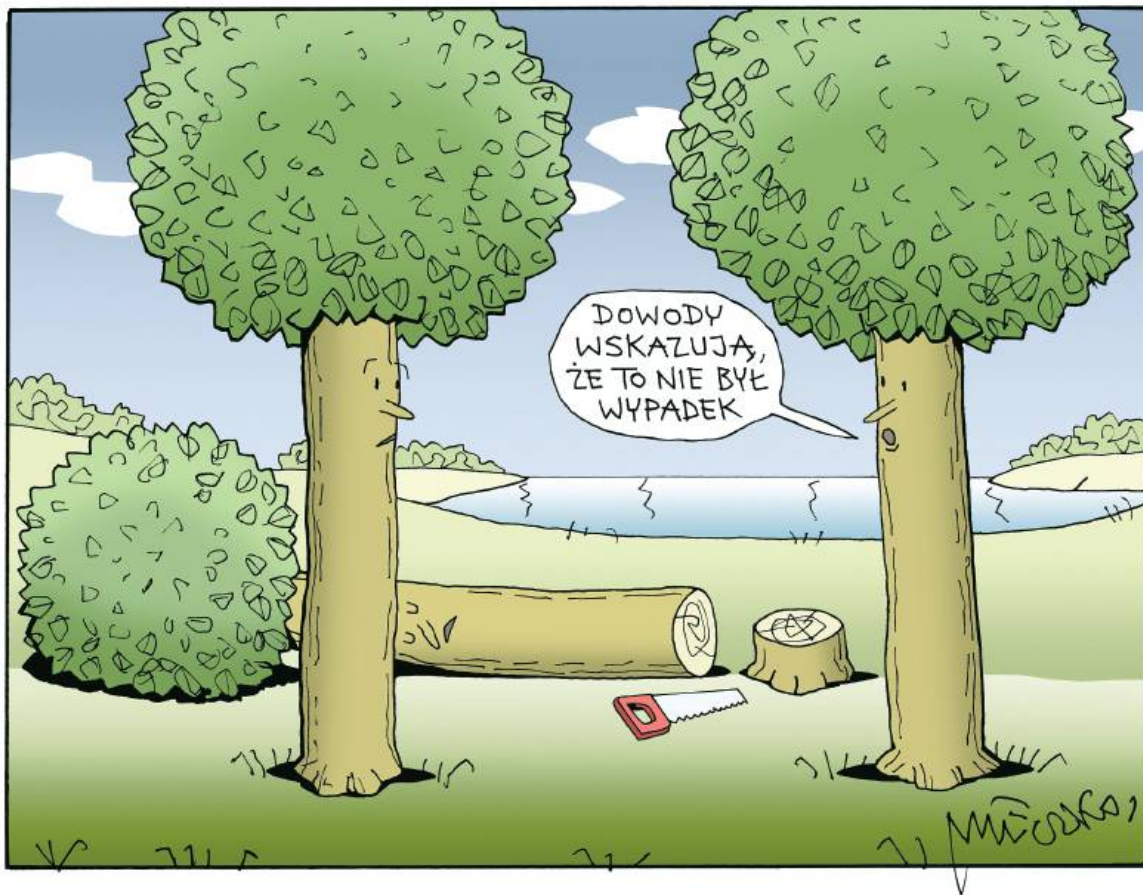
Poronin odetchnął. Z posadą proboszcza pożegnał się ks. Stanisław Parzygnat. Wycinał takie numery, że nawet metropolita krakowski abp Jędraszewski, tak przecież tolerancyjny dla grzechów kleru, nie zdziwił i wysłał go na emeryturę.

W ten sposób uprzedził wywiezienie księżulka na taczkach. Ks. Parzygnat naraził się góralom. I to mocno. Rzucił na parafian kłatwy i życzył, by ich dzieci za grzechy rodziców rodziły się „karłowate i z wodogłowie”, a starsze „były pryszczate i niedomyte”. Lubił zamieniać góralom i góralom pokutę za grzechy na wpłatę gotówki. Może od niedomytych brał więcej? Ciekawe, czy nowy proboszcz zdejmie kłatwę, którą ks. Parzygnat rzucił na mieszkańców Mszany Dolnej.



Postępowcy z Łódzkiego

Chcecie szybkiego internetu? Wolny rynek rozwiązuje każdy problem, na którym można zarobić. Zwłaszcza nieszablonowo. Ks. Andrzej Kroczelek, proboszcz parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Zduńskiej Woli-Karsznicach, chce zamontować urządzenia Orange na krzyżu znajdującym się na dachu kościoła. Czy jest to profanacja? Zdaniem kurii łódzkiej takie działania nie stanowią profanacji w rozumieniu nauki Kościoła. A więc plus dla postępowców z Łódzkiego. Dostrzegł ich i docenił nawet papież Franciszek, awansując metropolitę abp. Rysia na kardynała.



PYTANIE TYGODNIA

Czy Polacy są narodem pamiętliwym?

PROF. ADAM LESZCZYŃSKI,

historyk, socjolog, autor książki „Ludowa historia Polski”

Polacy oczywiście są narodem pamiętliwym – pamiętają o doznanych krzywdach, ale już nie o tych, które wyrządzili innym. Wypierają je podobnie jak inne narody i jest to psychologicznie zrozumiałe. Lubimy bowiem myśleć o własnej wspólnotce, że jest lepsza od innych. Tu wielka rola dla odpowiedzialnej polityki i edukacji. Niemcy odrobili tę lekcję w stosunku do Żydów i Zagłady. Przed nami jeszcze dużo pracy.

JACEK ŻAKOWSKI,

dziennikarz, publicysta, „Polityka”

Polacy są bardzo pamiętliwi. To wynika z czegoś, co dokładnie opisuje pani profesor Agnieszka Golec de Zavala, a co nazywa się narcyzmem grupowym. Polska kultura jest bardzo narcystyczna, to znaczy mamy poczucie, że jesteśmy wyjątkowi, że zasługujemy na szczególne miejsce i jesteśmy nieustannie pokrzywdzeni. Za tym idzie oczywiście pamiętliwość, bo pamiętamy doskonale, to nas motywuje do pamiętania swoich krzywd jako społeczeństwo. Przy czym absolutnie nie pamiętamy krzywd, które my wyrządzaliśmy. Widać to świetnie w relacjach polsko-ukraińskich. Setki lat polskiej kolonizacji Ukrainy – okrucieństwa, pańszczyzny

– nie istnieją w polskiej świadomości jako coś, za co powinniśmy przeproszać, mimo straszliwych zbrodni, które też tam popełnialiśmy. Natomiast zbrodnia wołyńska żyje w sposób bardzo intensywny w naszej świadomości.

ZIEMOWIT SZCZEREK,

pisarz, dziennikarz, „Gazeta Wyborcza”

Zazwyczaj nie jestem skłonny do przypisywania tego typu przymiotów konkretnym narodowościom, bo to naprawdę zależy od wielu czynników, np. od doświadczeń historycznych. Polacy są narodem stereotypowanym. Przede wszystkim mamy zbiorowy PTSD historyczny, z którego dopiero teraz mniej więcej zaczęliśmy wychodzić. Objawia się on pewnym przewrażliwieniem na konkretne sprawy. Wystarczy zobaczyć, jak łatwo PiS odkopało antyniemieckie uprzedzenia w społeczeństwie. Rzecz w tym, że były dwa sposoby radzenia sobie z tym posttraumatycznym syndromem. Jeden kazał wszystko szybko zapomnieć, kłaniać się dawnym oprawcom i nie przejmować. A drugi był znowu zbyt zapiekły. Obydwa rządziły na przemian podejściem do polskiej historii.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

DRUGIE ŻYCIE POLSKI LUDOWEJ

Nie ma jej 34 lata, a prawica wciąż z nią walczy

Robert Walenciak

Dlaczego o PRL wciąż się mówi, skoro nie ma jej od 34 lat? Bo wciąż się mówi. I to nie tylko dlatego, że wraca moda na wzornictwo z lat 60. albo na piosenki Maryli Rodowicz. Mówi się o Polsce Ludowej w sensie politycznym. Prawo i Sprawiedliwość co chwila do niej nawiązuje, walczy z nią, jakby stała za progiem. Platforma Obywatelska też z Polską Ludową walczy, ale dla niej PRL ma twarz Kaczyńskiego. Stają więc w Sejmie jedni naprzeciw drugim i, wskazując siebie nawzajem palcem, krzyczą: Precz z komuną! Precz z komuną!

Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź nie jest prosta. Polska Ludowa zbyt mocno w nas tkwi, by ją ominąć,

Cóż, chętnych do walki z Polską Ludową, której już nie ma, która nie może się odgryźć, nie brakuje. Wtedy siedzieli cicho jak myszki, dziś głośno ryczą. Przesadzam? Chyba nie...

Walka z Polską Ludową trwa.

Najnowszy przykład to podpisana w czerwcu przez prezydenta Dudę lustracja urzędników. Każdy, kto ma 51 lat lub więcej i pracuje w państwowym urzędzie, musi być jej poddany, lustracja będzie dotyczyć 40 tys. osób. I każdy, kto współpracował z tajnymi służbami, nieważne w jakiej sprawie, ma zostać natychmiast wyrzucony z pracy. Bez sądu. Czyli ma zostać ukarany za to, co robił 34 lata temu lub jeszcze wcześniej. Gdyby zabił – nic by mu nie groziło,

naszą wiedzę o czasach minionych, ale także przestrzeń, w której żyjemy. Nazwy ulic, pomniki – to wszystko podlega dziś opinii IPN. Łącznie z oceną, kto był współpracownikiem SB, a kto nie był. Instytut odgrywa zatem rolę prokuratora i sądu równocześnie. A czasami – jak w przypadku Andrzeja Przyłębskiego, byłego ambasadora w Niemczech – lustracyjnego obrońcy.

Język PiS jest prześląknięty negatywnymi emocjami wobec Polski Ludowej. Jeśli posłuchamy polityków tej partii, usłyszymy, że to był czas „okupacji sowieckiej”, więc wszyscy, którzy zajmowali stanowiska partyjne i państwowe, byli tak naprawdę sługami ZSRR. Ta opowieść ma ciąg dalszy – dotyczący Okrągłego Stołu. Tam w myśl pisowskiej opowieści doszło do zмовy „komuny” i części Solidarności. To była zdrada. Dlatego dziś oni wciąż prowadzą walkę z roku 1989 i lat wcześniejszych – wtedy z PZPR, teraz z jej sojusznikami i następcami, którzy zgrupowali się w PO.

A druga strona? Tu też nie ma wątpliwości,

opis świata polskich liberałów

zaczyna się od nawiązania do Polski Ludowej. A tę Polskę w ich oczach ucieleśnia PiS. Wystarczy przejrzeć tytuły z opozycyjnych mediów, posłuchać polityków PO... „Gospodarka idioty. Tak w państwie PiS odżywają wzorce z PRL”, biada „Gazeta Wyborcza”. „Ile w rządach PiS jest podobieństwa do czasów PRL?”, zastanawia się „Polityka”. „Do Polski PiS dotarł węgiel. Tak jak do PRL cytrusy” – to znów „Gazeta Wyborcza”.

PiS walczy z Polską Ludową na wszystkich frontach. Nazywa ją „komuną”, bo to gorzej brzmi niż „Polska socjalistyczna” czy „ludowa”. Fałszuje pamięć o niej.

przemilczeć, uznać za czarną dziurę. Z drugiej strony jest za słaba, by się bronić przed atakami, toteż zbiera cięgi, zasłużone i niezasłużone. Dziś napluć na nią może każdy i jeszcze za to wypiąć pierś do orderu. Mówił o tym Karol Modzelewski, gdy prawica chciała degradować gen. Jaruzelskiego do stopnia szeregowca: „To jest szczególnie rodzaj odwagi, podobnie jak wyrzucanie nieboszczyków z grobów. To odwaga hieny cmentarnej. Jak ktoś nie był odważny jak lew, to teraz chce być antykomunistyczny i odważny jak hiena cmentarna. Za późno, przechłapano”.

w polskim prawie zbrodnia zabójstwa przedawnia się po 30 latach. Wynika z tego, że robił coś gorszego.

PiS walczy z Polską Ludową na wszystkich możliwych frontach. Nazywa ją „komuną”, bo to brzmi gorzej niż „Polska socjalistyczna” czy „ludowa”. Fałszuje pamięć o niej – zlewając czasy stalinowskie z późniejszymi. Na tę wojnę przeznaczają setki milionów złotych – powołując do życia różne instytuty i organizacje, no i finansując Instytut Pamięci Narodowej, który ma prowadzić „politykę pamięci” i „politykę historyczną”. Ta „policja historyczna” ma kształtować nie tylko



Końcowy etap odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie, 7 lipca 1974 r.

I jeszcze jedna myśl z jej łamów: „PRL jest dla Kaczyńskiego punktem odniesienia, modelem państwa idealnego – gdyby PZPR zastąpić PiS-em”.

To są proste schematy. Gdy mowa jest o telewizji publicznej – padają określenia typu „telewizja Macieja Szczepańskiego” i gierkowska propaganda. A Danuta Holecka nazywana jest pisowską Ireną Falską. Gdy rozmawiamy o gospodarce – pada oskarżenie, że mamy do czynienia z gierkowską rozrzutnością. A o Kaczyńskim mówi się, że to nowy Gomułka.

Podobną ścieżką idą myśli polityków Platformy. „PiS to grupa rekonstrukcyjna PRL”, woła Marcin Kierwiński. Oczywiście ze zgrozą. I tylko komizmem doprawia te słowa fakt, że jego ojciec to oficer ludowego Wojska Polskiego, doceniany i awansowany w czasach PRL i jeszcze w roku 1999, do stopnia generała brygady.

Jeżeli już jesteśmy przy nazwiskach i przy tym, kto był kim w czasach PRL... Opozycja z satysfakcją wylicza pisowskich dygnitarzy, którzy byli członkami PZPR. Mamy więc

Stanisława Piotrowicza, obecnego sędziego Trybunału Konstytucyjnego, Wojciecha Jasińskiego, pierwszego pisowskiego prezesa Orlenu, Marcina Wolskiego i Jana Pietrzaka, czyli dwóch pisowskich bardów i kabareciarzy, Krzysztofa Czabańskiego z Rady Mediów Narodowych, Stanisława Kostrzewskiego, czyli byłego skarbnika PC, i Karola Karskiego – działacza Socjalistycznego Związku Studentów Polskich... A jest jeszcze w Zjednoczonej Prawicy niemała grupa dzieci działaczy PZPR, co też bywa wypominane.

Polska polityka nie może zatem wyjść w swoich semantycznych pojęciach poza Polskę Ludową, do niej wszystko jest porównywane, do niej wszystko nawiązuje. O co w tym chodzi?

Historię piszą zwycięzcy

– mówił Karol Marks. A w Polsce zwycięski okazał się obóz Solidarności. On teraz się podzielił. Ten podział dominuje na scenie politycznej, ale jedno PiS i PO łączy – historia. Czyli

solidarnościowy korzeń. To ich legitymizuje. Że byli przeciw Polsce Ludowej, że z nią walczyli, przeciwko niej konspirowali. Ta walka jest ich sensem życia i to – w ich przekonaniu – daje im mandat, by rządzić Polską.

A jak w najprostszy sposób ów mandat pokazać? Zohydzać przeciwnika, zohydzać poprzedni ustroj. Malując go w jak najczarniejszych barwach.

Polityka tak wygląda. Polska Ludowa też miała swoją legitymizację, która zresztą się zmieniała. Na początku mieliśmy wielką zapowiedź budowy nowego ustroju, zapewniającego szczęście i równość. To wyglądało jak religia, miała ona swoich świętych. Październik '56 wiele zmienił – polska droga do socjalizmu to było coś bardziej realnego i swojskiego. Gierek legitymizował się hasłem drugiej Japonii, nowoczesnej Polski, Jaruzelski – tym, że kraj został uratowany.

Wiele więc się zmieniało, ale pewne rzeczy były stałe – opowieść o sanacyjnej nędzy, o tym, że zapałkę dzielono na czworo, opowieść, że Polska Ludowa to kraj robotników i chłopów, ludzi pracy, kraj awansu społecznego. To wszystko okraszone było antyniemieckim i patriotycznym sosem.

A teraz czas na swoją opowieść ma Solidarność, czy post-Solidarność, i z tego czasu korzysta. Przede wszystkim musi wykazać, że miała rację, walcząc z PRL. Prezentuje się zatem w glorii tej siły, która miała rację. A strona przeciwna pokazana jest jak najgorzej. Oto mamy wielki podział na Polaków dobrych i złych.

A że to było ponad 34 lata temu? Tym lepiej! Coraz więcej jest przecież Polaków, którzy tamtych czasów nie pamiętają, bo albo jeszcze się nie urodzili, albo mieli wówczas zbyt mało lat. Można im opowiadać wszystko. Że na półkach w sklepach był tylko ocet, że był terror SB i nocne łapanki. I oczywiście niewielka grupa bohaterów, w którą wpatrzony był cały naród.

OK, wszyscy wiemy, że to opowieść prymitywna, godna komiksów klasy B, ale czy inne opowieści o świecie nie ulegają uproszczeniom? To jest ten właśnie mechanizm – najprostszych schematów i kalek. ►

► A potem – gdy przychodzą nowe wydarzenia – już nikomu nie chce się sprawdzać, jak było naprawdę.

Kto dziś pasjonuje się sporem między białymi a czerwonymi w powstaniu styczniowym? A endecja kontra sanacja? Jeszcze nie tak dawno Jerzy Giedroyc pisał, że Polską rządzą dwie trumny, Piłsudskiego i Dmowskiego. No to dziś te trumny nie tylko nie rządzą, ale wręcz mało kogo obchodzą. Mało kto o tym wspomina,

nikt tej pamięci nie broni.

W obecnych czasach w przestrzeni medialnej (tam przede wszystkim) toczy się podobny proces. W mediach Polska Ludowa ma swoją nalepkę, swoją gombrowiczowską gębę. I wszystkim ważnym dobrze z tym się żyje.

Ba! Można rzec, że dobrze z tym się żyje również lewicy. Przez wiele lat zbierała ona głosy tych, którzy nie chcieli o Polsce Ludowej mówić tylko źle. Którzy bronili swoich życiorysów. Ale to już przeszłość, bo dzisiaj ta formacja szuka innych wyborców. Mieliśmy zatem w III RP taki oto proces, że partie postsolidarnościowe ruszyły z atakiem na PRL, a lewica obrony życiorysów swoich wyborców zaniechała. Nie od razu wprawdzie, jeszcze na początku

W mediach Polska Ludowa ma swoją nalepkę, gombrowiczowską gębę. I wszystkim ważnym dobrze z tym się żyje. Również lewicy.

lat 90. jakoś tych ludzi broniła, potem o tym zapomnieli. A na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą. Gdy lewica nie broniła Polski Ludowej, nie próbowała opisywać dylematów ludzi z tym państwem związanych, życiorysów, marzeń – inni robili to za nią. Opowieść o Polsce Ludowej napisali więc „historycy” z IPN i post-solidarnościowe media.

Nawiasem mówiąc, to był jeden z najmniej mądrych argumentów padających z ust liderów lewicy – żeby zostawić opowieść o PRL historykom. Po pierwsze, oznaczało to rzucenie ręcznika na ring, ucieczkę



Osiągnięciem Polski Ludowej był znaczna poprawa dostępności do opieki medycznej. Nz. ośrodek zdrowia w Warce, 9 stycznia 1978 r.

z pola walki. Po drugie, politycy PiS i PO i tak na tym ringu zostali i mówili swoje. A po trzecie, szybko się okazało, że ci nowi historycy to bardziej funkcjonariusze „ministerstwa prawdy” aniżeli dzieci muzy Klio. Mówiąc delikatnie, lewica, kiedy miała do wyboru prawdę lub święty spokój, wybrała święty spokój. Polska Ludowa, pamięć o niej, została sama.

jej etos – to również trzeba dodać – zdominowali

ludzie konspiracji solidarnościowej.

Co dla konspiratorów jest najważniejsze? Żeby nie dać się złapać. Kto jest dla nich głównym wrogiem? Policja polityczna, która ich śladem, inwigiluje. Proszę zwrócić uwagę, jak wiele – przynajmniej w głównym nurcie propagandy – tego postrzegania zostało. Obraz PRL jako pola bitwy między konspiratorami a SB, obraz głównego wroga – czyli służb specjalnych PRL, no i konfidentów we własnych szeregach. Obsesja lat 80., obsesja niewielkiej grupy ludzi, przełożona się na obsesję państwa, jego instytucji. I to trwa.

Parę tygodni temu przełożyło się to na nową ustawę lustracyjną, która ma ujawniać byłych współpracowników służb specjalnych w urzędach. A wcześniej... Przecież to nie PiS wymyśliło, żeby byłych funkcjonariuszy pozbawić emerytur, nie bacząc na to, co zrobili dla III RP. Wcześniej emerytury obniżyła im PO.

Obok obsesji szukania wrogów i zemsty mamy obsesję chwalebienia siebie. Ileż to świąt mamy solidarnościowych, ileż rocznic!

W ten sposób wszyscy dostali prezent – złego luda, którego przy aplauzie publiczności można bić. Można wykazywać jego zło, niczym nie ryzykując; płynie się razem z rzeką ogólnych oczekiwań.

Tak kodują nam życie. Te nieogarnięte myśli przeczytać można później w internetowych komentarzach. Takich jak ten, jeden z setek, pod rozmową z Aleksandrem Kwaśniewskim: „Kwaśniewski... Fajny facet, ale komuch”. Tyle ze świata, nieszczęsny internauto, pojmujesz...

Każdy ustrój tworzą konkretni ludzie. Oni nadają mu kształt. III RP,

Porozumienia sierpniowe, stan wojenny, wybory 4 czerwca... Siłą rzeczy, dotyczy to również Polski Ludowej, jako tej złej.

W kreowanie tego obrazu wprężnięte są państwo i jego budżet. Mamy Europejskie Centrum Solidarności, ośrodki, które dokumentują i opisują działalność członków związku, solidarnościowych kombatanów za drukowanie bibuły i roznoszenie ulotek, mamy zasilany setkami milionów złotych IPN. Ta praca trwa. I aż się prosi zapytać, czy jeszcze jest jakiś szef Solidarności, regionalny lub inny, o którym nie powstałaby stosowna monografia? Na tym tle PZPR z jej instytutami marksizmu-leninizmu i katedrami historii ruchu robotniczego jawi się jako skromna, nieznająca się na robieniu show podstarzała panna.

Dołożmy do tego obowiązujący w debacie publicznej „żelazny argument”, który zawsze pada, gdy oceniana jest osoba, która była w solidarnościowej konspiracji: „Pamiętam go z podziemia, nie zdradził, był z nami, to świadczy, że jest niezłomny i uczciwy”. Należy mu się zatem posada, żadne zarzuty nie mogą się go imać („bo to sprawdzony kolega”) itd.

Czy można się dziwić, że ci, którzy nami rządzą, najchętniej opowiadali by o czasach PRL, o swojej wspaniałej walce i o tym, kto wtedy się złał, a kto nie?

No dobrze, ale czy sprawy będące w polu zainteresowań paru tysięcy działaczy mogą porywać miliony? Czy można milionom mówić, że 40 lat ich życia to był koszmar, choć oni wcale tego za koszmar nie uważają?

Oto więc mamy

wielki propagandowy szpagat.

Jak on jest realizowany, możemy zobaczyć w telewizji publicznej. Z jednej strony mamy jazgot TVP Info, a z drugiej – Marylę Rodowicz, festiwal w Opolu i filmy z czasów PRL.

Że to się nie łączy? Że nie da się pluć na Polskę Ludową, by za chwilę zatapiać się w jej wspomnieniu? Owszem, da się! Można! Posłuchajmy zresztą Kaczyńskiego, który opowiada, że jego rządy realizują zasadę równości albo że państwo coś zapewni

i da. Odgrzewa przecież w ten sposób wszystkie możliwe kalki z okresu PRL. Tak jest! PZPR jest mu bliska, jeśli chodzi o metodę rządzenia. Nie tylko poprzez budowę systemu władzy, w którym nad rządem czuwa partia (czy raczej jej szef). Sam kilka lat temu mówił, że jego marzeniem jest, by w każdym powiecie był aktywny partyjny komitet, który pełniłby wobec

awansu społecznego. Doceniamy czasy Edwarda Gierka – i za fiata 126p, i za wczasy pracownicze, i za kolonie dla dzieci, no i za mieszkania, które budowano jak nigdy wcześniej i później. I pewnie także za optymizm, że Polak potrafi i że dościsnie. Doceniamy również wielkie i mniejsze budowy tamtych czasów, te wybudowane wówczas kombinaty, fabryki,

To nie PiS wymyśliło, żeby byłych funkcjonariuszy pozbawić emerytur, nie bacząc na to, co zrobili dla III RP. Wcześniej emerytury obniżyła im PO.

miejscowych władz funkcję kontrolną i do którego każdy obywatel mógłby się zgłaszać ze skargami.

Skąd ten sentyment? Można iść o zakład, że to efekt wielu rozmów z działaczami, ich różnych sugestii. Dla nich taki system był zrozumiały, więc go podpowiadali jako dobre rozwiązanie.

Bo prawda jest też taka, że Polska Ludowa tkwi w każdym z nas i każdy polityk, który ten fakt by ignorował, skazałby się na klęskę. Nikt przytomny tego ignorować nie może.

Tkwią w Polakach, pokazują to zresztą badania, takie przekonania jak poczucie równości, jak pochwała

które później solidarnościowe ekipy sprzedawały.

Tych rzeczy, które doceniamy, jest wiele, każdy je jakoś układa. To może być dentysta w każdej szkole, emerytury dla rolników albo filmy Wajdy i Barei. I kabaret Olgi Lipińskiej, zjawiskowy i niepowtarzalny.

Wszyscy to wiemy – Polska Ludowa to nie była słodycz, bo gdyby tak było, naród nikomu by jej nie oddał. Ale

nie była to czarna dziura,

okres „komunistycznej okupacji”, noc apuchtinowska, jak co mniej mądry ▶

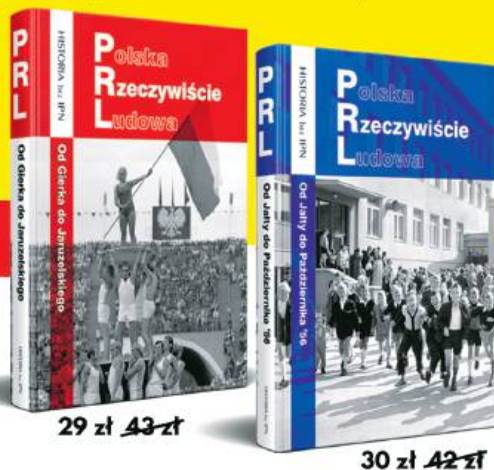
PRL NIE DA SIĘ WYMAZAĆ Z HISTORII

Dwa tomy tekstów znakomitych autorów: Andrzej Walicki, Bronisław Łagowski, Ludwik Stomma, Andrzej Werblan, Dariusz Jarosz, Lech Mażewski, Dariusz Łukasiewicz, Krzysztof Wasilewski

W promocyjnym pakiecie taniej!

49 zł
25 zł

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: **72 1090 2851 0000 0001 2023 9821**
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.





Rzeczy, które doceniamy z PRL, jest wiele. To także kabaret Olgi Lipińskiej. Nz. Janusz Rewiński, Janusz Gajos i Olga Lipińska.

► politycy prawicy usiłują nam wma-
wiać. Miliony ludzi w tym kraju pra-
cowały, uczyły się, realizowały zna-
komite rzeczy, dlatego sprowadzenie
40 lat historii do teczek SB jest nie
tylko głupie, ale i obraźliwe wobec
tych milionów obywateli. Bo oni pa-
miętają, a jak nie oni, to ich rodzice
czy dziadkowie. Pamięć pokoleniowa
jest w Polsce bardzo silna.

Oto więc mamy w naszych gło-
wach groch z kapustą. Wyniesione
z czasów Polski Ludowej przekonania,
gusta, odruchy. I nowe narracje, które
ten czas zohydzają, ale i w te gusta

i place, tak jak w Warszawie swój plac
ma Sokrat Starynkiewicz.

O Gomułce też możemy wiele
w obecnych mediach wyczytać, ale
na pewno nie to, że budował nieza-
leżność Polski od ZSRR, a 7 grudnia
1970 r. uczynił na tej drodze kluczo-
wy krok – układ o uznaniu przez RFN
granicy na Odrze i Nysie nie tylko
gwarantował nam ziemie poniemiec-
kie, ale też zrywał pod tym względem
więzy łączące nas z ZSRR. Do roku
1970 państwa zachodnie naszych gr-
anic nie uznawały, mieliśmy je dlatego,
że stała za nami siła armii radzieckiej.

Doceniamy czasy Edwarda Gierka – za fiata 126p, wczasy pracownicze, kolonie dla dzieci, no i za mieszkania, które budowano jak nigdy wcześniej i później.

chcą trafić. Przy czym nic nie musi
z niczym się łączyć, logika jest tu nie-
potrzebna, wystarczą luźno rzucone
„mądrości”.

To rodzi różnego rodzaju idyoty-
zmy. Czytam np. o Gierku, że „zręcz-
nie udawał dobrego gospodarza”, to
było źródłem jego politycznego suk-
cesu i tym sposobem „wkraadał się
w łaski” zwierzchników. Sprostujmy
te nonsensy – Gierek nie musiał uda-
wać dobrego gospodarza, bo dobrym
gospodarzem był. Nawet bardzo do-
brym. Do tego mądrym, bo swoją
prawą ręką uczynił Jerzego Ziętka,
legionistę i sanacyjnego dygnitarza.
Gierek i Ziętek – należą im się ulice

Gomułka tę sytuację zmienił. Wyrwał
nas z pułapki Moskwy.

A Jaruzelski? Przy okazji jego
100. urodzin mogliśmy naczytać się
w prasie postsolidarnościowej róż-
nych bałamutnych opinii na jego
temat. Cóż, infantylizacja debaty pu-
blicznej, zwłaszcza tej dotyczącej PRL,
postępuje. Do licealnego poziomu
wyrównał nawet Tomasz Nałęcz, prze-
cież profesor historii. Pisząc o Wojcie-
chu Jaruzelskim, zarzucił mu w zasa-
dzie wszystko i stwierdził, że zamiast
ogłaszać stan wojenny, powinien był,
tak jak Kościuszko, stanąć na czele
insurekcji narodowej. „W obliczu ro-
syjskiego zagrożenia nie zachował się

jak bohater narodowy generał Tade-
usz Kościuszko, który w 1794 r., mając
za sobą o wiele słabsze niż Jaruzelski
wojsko i o wiele mniej skonsolidowa-
ny naród, z bronią w ręku bronił wol-
ności i suwerenności Polski – napisał
Nałęcz. – On zaś zniewolenie Polaków
przez Sowieców zastąpił własnoręcz-
nym założeniem narodowi kajdan”.

Cóż za dezynwoltura! Z powsta-
niem Kościuszki łączy się nierozzerwal-
nie, jako ostatni jego akt, rzeź Pragi.
Wymordowanie ok. 10 tys. cywilnych
mieszkańców prawobrzeżnej Warsza-
wy przez żołnierzy Suworowa. Pro-
fesor historii chyba o tym się uczył.
A jeżeli nie, polecam wizytę na Pradze
i zapalenie świeczki przed krzyżem
upamiętniającym tamten horror, sto-
jącym przy ulicy Jagiellońskiej.

Dla Nałęcza wymordowanie tysię-
cy Polaków przez armię Suworowa to
być może detal historii, a na pewno
ciekawe wydarzenie, ale dla Jaru-
zelskiego wspomnienie rosyjskich
interwencji było mroźące. Oto więc
zderzenie profesora historii tryskają-
cego odwagą Lenina i frontowego ge-
nerała, mającego odwagę przywódcy.
I poczucie odpowiedzialności.

Chyba już wiemy, dlaczego tak
wiele mówi się o Polsce Ludowej,
choć nie ma jej od 34 lat. Bo obec-
na władza, atakując ją, szuka swojej
legitymizacji. Ale też musi grać senty-
mentem do tamtych czasów, bo szu-
ka w narodzie popularności.

Nie ma we mnie wcale optymizmu.
Prof. Andrzej Werblan lubi powtarzać,
że marzyło mu się, że po roku 1989
nastąpi jakieś złaczenie tego, co naj-
lepsze w Polsce Ludowej, z nowym
systemem, czyli demokracją i kapitali-
zmem. Nic takiego nie nastąpiło, więc
może dlatego ustrój, który mamy,
straszy i tumani tanimi opowieściami
o PRL, by odwrócić naszą uwagę, by
jakoś się upiększyć.

Łatwym w tym miejscu zakończe-
niem byłoby słowa, że PRL, im wię-
cej nań pluja, tym bardziej obleka się
w patynę i pięknieje. Tak można skoń-
czyć, ale nie byłoby to prawdą. Bo
jest różnie. Bo coś zawsze się przy-
kleja. Jak plamy farby na pomnikach.
Zwłaszcza że nie ma kto ich zmyć.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Wpuszczeni w maliny

Skup interwencyjny to robienie pośmiewiska z plantatorów. Jakby powiedzieli: „Damy złotówkę, niech się chłopki cieszą”

Ewa Smolińska-Borecka

Początek lipca to wysyp malin. Czas, kiedy jest ich bardzo dużo, a cena staje się przystępna i każdy, nawet uboższy, może się nimi zająć. Tak było do tej pory. W tym roku ceny dla plantatorów są tak niskie, że nawet nie pokrywają kosztów uprawy i zbioru, a zwykłego człowieka i tak na maliny nie stać.

Warszawskie osiedle, nie dla ubogich. Na straganie, należącym do straganiarskiej sieci, właśnie pojawił się właściciel z kolejną partią towaru. Choć godziny przedwieczorne, warto uzupełnić asortyment warzyw i owoców. Stoję i gapię się. Nie kupuję, bo ceny porażają. Notuję w smartfonie: malina 0,5 kg – 25 zł za pojemnik, za 250 g – 16 zł, za taki sam pojemnik, ale wczorajszy, taniej – jedynie (!) 14 zł.

Właściciel przygląda mi się i każe odejść. Nie życzę sobie jakiegos

zapisywania cen. Kupować, nie dyskutować. I nie pytać, dlaczego maliny na straganie są sześć razy droższe, niż dostał za nie rolnik. Czy świat zwariował?

Zezłoszczenie

Maliny. Jedne z najpyszniejszych owoców świata. I tak delikatne, że trzeba się z nimi obchodzić jak z jajkiem, a nawet ostrożniej. Nie każdy to rozumie. Nawet jeśli decyduje o branży rolniczej.

Środa, 12 lipca. Pod Ministerstwem Rolnictwa i Rozwoju Wsi pojawił się lider Agrounii. Przyjechał z malinami w pojemnikach, choć sam uprawia kapustę pekińską. Siedział pod ministerstwem i czekał na szefa resortu. Ale się nie doczekał. Bo minister miał ważniejsze sprawy niż jakieś tam maliny. Tymczasem sprawa tych miękkich owoców stawała się z dnia na dzień coraz bardziej paląca. Tak bardzo, że opozycja na następny

dzień wyznaczyła termin kontroli ministerstwa.

Pod koniec czerwca o tegorocznych cenach malin zaczęli mówić producenci z Lubelszczyzny. Tam właśnie w latach 70. zeszłego wieku postanowiono przekonać rolników do malin, żeby słabiej zarabiająca ściana wschodnia mogła dorównać pozostałym regionom kraju. I od tego czasu Lubelskie stało się zagłębiem malinowym, otwierano tam skupy, zakłady przetwórcze. Tak było przez lata. I nigdy się nie zdarzyło, żeby cena zaproponowana przez zakłady przetwórcze nie zapewniała rolnikowi ani złotówki zysku. Aż do tego roku. Producenci malin są zeźłoszczeni, wzburzeni, zdesperowani, załamani. Na Lubelszczyźnie chcieli odmawiać sprzedaży malin przetwórciom. Okazało się, że właściciele przetwórci wcale się tym nie przejęli. Zastosowano więc formę protestu w postaci wysypywania malin na drogi. To też nie zmieniło sytuacji. ►

Pomniejsze zagłębia malinowe istnieją również w innych częściach kraju, które mają dłuższe tradycje w uprawie malin. W województwie mazowieckim duży obszar plantacji jest m.in. na południe od stolicy – w gminie Pniewy w powiecie grójcekim i w gminie Tarczyn w powiecie piaseczyńskim. Wpłynęło na to korzystne usytuowanie: ponad 30 km od Warszawy, zamożnego odbiorcy, i ok. 50 km od największej giełdy spożywczej w Broniszach. Czy w Mazowieckiem wzburzenie, zezłoszczenie, zdesperowanie i załamanie jest mniejsze niż na Lubelszczyźnie?

Tylko złotówka

Dariusz Zdziarski ze wsi Suchodół nie ma czasu na rozmowy, bo oprócz malin ma na głowie czereśnie, a zrywa je własnym sumptem, czyli rękoma swoimi i rodziny. Co najwyżej może chwilę pogadać przez telefon. – To jest udupienie chłopa – ocenia sytuację na rynku malin. – Rządzący dużo mówią, a nic nie robią. Tymczasem to głównie pośrednik zarabia, a nie producent. Niektórzy plantatorzy mówią, że nie będą zbierać, bo się nie opłaca. Ale ja muszę zbierać, bo poniosłem nakłady, w tym roku w wysokości 40 tys. zł, i chcę, by chociaż to mi się zwróciło.

Najbardziej zdesperowani rolnicy ze złością zastanawiają się, „czy ta wojna w Ukrainie faktycznie jest”. No bo trudno im zrozumieć, jak to się dzieje, że państwo frontowe, czyli skupione na tym, by się obronić przed agresorem, jednocześnie jest w stanie niszczyć kolejne sektory rolnictwa sąsiada.

Na Facebooku NSZZ RI Solidarność Lublin można przeczytać, że „przetwórcy w bezczelny sposób pokazali, kto rządzi na rynku owoców”. Piszą tam też: „Jak to się dzieje, że Holendrom, Niemcom i innym z zachodu Europy opłaca się uprawiać w tym roku maliny mimo importu z Serbii, Polski, Ukrainy, Mołdawii, Chin, Meksyku, USA i innych stron, i dobrze na tym zarobić. A nas w kilka miesięcy zabił import malin z Ukrainy”. Wiceprzewodniczący tego ogniw Solidarności Sławomir Ziętek,

który jednocześnie jest producentem malin, założył nawet w ostatnim czasie Związek Polskich Producentów Malin. Ale nie na wiele to się zdało.

W piątek, 7 lipca, wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi Rafał Romanowski zawiązał do miejscowości Granice w Lubelskiem, gdzie działa spółka Owocomix. Tam poinformował, że w obliczu katastrofalnej sytuacji producentów malin zamierza uruchomić interwencyjny skup tych owoców, który będzie prowadzić spółka skarbu państwa. Spółka, która dowiedziała się o tym z mediów, była zaskoczona, bo maliny to nie węgiel i jak się nie ma odpowiedniego zaplecza, to nie można kupować malin. Wyszedł także na jaw, że skupem zajmie się z ramienia ministerstwa m.in. firma, której właścicielem jest osoba zbliżona do sfer rządzących. A kiedy



Piotr Stępień: Rządzący budzą się dopiero wtedy, kiedy są strajki, kiedy maliny są wysypywane na przejścia dla pieszych.

okazało się, że ceny proponowane przez spółkę skarbu państwa za kilogram malin przemysłowych są ledwie o złotówkę wyższe od cen proponowanych przez firmy przetwórcze, rozczarowani rolnicy stwierdzili, że ten interwencyjny skup służy jednemu – by zarobiły firmy skupujące miłe sercu ministerstwa. Na dodatek informacja o interwencyjnym skupie spowodowała, że ceny malin w innych skupach... spadły.

Byleby zdrowie było

Miejscowość Kopana położona jest zaledwie 5 km od Tarczyna, który kiedyś chlubił się potężnym zakładem przetwórstwa owocowo-warzywnego. Piotr Stępień w Kopanej ma dwa

kawałki ziemi porośnięte krzewami malin: pierwszy o powierzchni 1,4 ha, drugi – 0,3 ha. Ma też kawałki w innym miejscu gminy, a nawet w sąsiedniej gminie Pniewy. W sumie jest właścicielem 3,5 ha malin. Sprawia wrażenie człowieka sympatycznego i pogodnego, a nie zezłoszczonego na skupową rzeczywistość. Nie gniewa się nawet wtedy, kiedy mówi się o nim „maliniarz”.

– Najważniejsze jest zdrowie – wyjaśnia swój dobry humor. – Gdybym się skupił tylko na uprawie malin, to nie byłbym w stanie z tych owoców żyć, bo koszty utrzymania plantacji są duże. Rok 2020 był dobry dla plantatorów malin, a lata 2021 i 2022 nawet bardzo dobre. Cena maliny przemysłowej wynosiła 15 zł za kilogram, a półkilogramowy karton maliny deserowej w hurcie na Broniszach miał cenę od 9 do 15 zł – w zależności od momentu. W tym roku cena na Broniszach wynosi 4-7 zł za pojemnik półkilogramowy. A przecież wszystko zdrożało. Ale cenę na Broniszach dyktuje skup, czyli cena malin przemysłowych.

On od lat zatrudnia do zbierania ludzi z Ukrainy. Do tej pory to byli mężczyźni, teraz kobiety. Płaci ok. 2 zł za pojemnik. – Jak cena na Broniszach wynosi 4 zł za pojemnik, to muszę się podzielić ze zbieraczem po połowie – tłumaczy. – Wtedy jest bieda.

Stępień ma gatunek Glen Ample i nowy – Przehyba. Dużo owoców jest jeszcze zielonych, co znaczy, że zbiór będzie trwał wiele dni. – W tym roku 9 maja był przymrozek i zniszczył część kwiatów malin. Gdyby nie to, teraz krzewy wyglądałyby jak czerwona ściana. Ale i tak owoców jest dużo. Szkoda, że ceny są tak niskie. Rodzi się pytanie, gdzie jest pies pogrzebany. Nie wiem, bo nie mam dostępu do informacji. My możemy tylko między plantatorami sobie pogadać, że jest tak i tak, a powinno być inaczej. I ponarzekać, że brakuje ochrony ze strony Ministerstwa Rolnictwa. Oni się budzą dopiero wtedy, kiedy są strajki, kiedy maliny są wysypywane na przejścia dla pieszych. Ale wtedy interwencja jest jak gaszenie pożaru benzyną. My nie chcemy jakichś niesamowitych cen



Grzegorz Augustynowicz: Myślę, że jest zмова cenowa firm, które przetwarzają maliny. One kontrolują rynek.



Marcin Dusza: Uprawiamy tylko maliny, więc te niskie ceny bardzo nas dotknęły.

za malinę przemysłową. Gdyby było 10 zł za kilogram, to byłibyśmy zadowoleni. Ale nie 4 zł!

Najbardziej ma żal o to, że nie ma mroźni państwowych. Duże mroźnie są w rękach zagranicznych, nie biorą sobie do serca losu polskich rolników. Jesienią ub.r. mroźnie sprowadziły podobno 40 tys. ton mrożonych malin z Ukrainy, podczas gdy cała roczna polska produkcja wynosi 70 tys. ton. Podobno 80% powierzchni mroźni jest zajętych przez maliny ukraińskie, które jakoby skupowano po 5 zł za kilogram. – Mnie beczka preparatu do oprysku 1 ha malin kosztowała 500-600 zł, a w Ukrainie za preparat płaci się 100-200 zł. Ale te ukraińskie preparaty nie mają atestów, podczas gdy my musimy przestrzegać wymagań unijnych. Jak można z Ukraińcami konkurować?

Plantator nie zamierza likwidować upraw malin. W tym roku jego rodzina jakoś sobie poradzi. Na szczęście nie mają kredytów. Ma dwa traktory, ale nienowe, groszowe: wystużony ciągnik Ursus i drugi, Ursus na licencji Fergusona. Ma ogromną chłodnię, bo gdy jest wysyp owoców w czasie upałów, to natychmiast trzeba je schładzać. Ale ona też nie jest na kredyt. Jakoś to będzie...

Z maliną przy drodze

Miejscowość Many leży przy drodze wojewódzkiej nr 876 w gminie Tarczyn. To miejsce ma taki plus, że jak zbierze się maliny, można je sprzedać przy drodze. Grzegorz Augustynowicz ma 1,6 ha malin, gatunek Glen Ample, część to nowe

nasadzenia, które dopiero w przyszłym roku będą owocować. Plantator przy malinowym polu postawił niewielki budynek gospodarczy, gdzie trzyma owoce do sprzedaży. Na polu trwa zbiór. Grzegorz nie zatrudnia pracowników z Ukrainy, żeby było taniej. Zbiera głównie rodzina: żona, dzieci, ciotka, a do tego dwóch chłopaków ze szkoły. Za pojemnik malin płaci rwaćcom 1,8 zł. Plantator jest zmęczony, bo niedawno wrócił z giełdy w Broniszach. – Dziś za pojemnik dostałem 5,5 zł, więc za kilogram wyszło 11 zł – wyjaśnia. – Miałem szczęście. Zawiozłem 40 kartonów po 10 pojemników i sprzedałem wszystko jednej osobie. Od ręki. Wjechałem na Bronisze i zaraz wyjechałem. Ale nieraz trzeba tam nocować, jak się wieczorem przyjedzie, albo pół dnia spędzić. Wczoraj cena była 4 zł za łupkę, mimo to nie miałem komu sprzedać. Giełda była wprost zawałona malinami. Wróciłem z towarem do domu. Część sprzedałem przy drodze, część znajomym na soki.

Przy przydrożnym stoisku zatrzymuje się samochód. Kobieta kupuje cztery pojemniki, każdy po 6 zł. Na warszawskim elitarnym osiedlu tyle zapłaciłaby za jeden pojemnik. Zrobiłaby dobry interes.

– Myślę, że jest zмова cenowa tych firm, które przetwarzają maliny – mówi z naciskiem Grzegorz. – One kontrolują rynek. Jak raz zawiozłem maliny na skup, to cena była 4 zł za kilogram. To już teraz nie wożę tam, tylko na deser na Broniszach sprzedaję. Słyszałem, że w niektórych skupach cena spadła do 3,50 zł.

Grzegorz zajmuje się malinami od ośmiu lat. Jak są upały i susza jak teraz, to jest problem, bo krzaki powinny się nawadniać, a on na polu nie ma elektryczności. Półtora roku czekał na przyłączenie do sieci, ale się nie doczekał. Teraz wniosek złożył po raz drugi. Ten rok uważa za dramatyczny. Ale nie zamierza likwidować malin. – Zobaczymy, może to się uspokoi, jakoś się może przetrwa ten rok, na zimę gdzieś do pracy pójde – mówi. – Dwa lata temu zebrałem 8,5 tony z hektara, rok temu było słabiej, za to ceny wyższe. Dobrze byłoby, gdyby te ceny wróciły.

Poduszka finansowa

Wieś Michrówek, gmina Pniewy. Na zakręcie kolorowy baner: „Skup malin”. Kontener biurowy otwarty, ani pracownika, ani malin. W pobliżu stoją duże samochody chłodnie i przyczepa. Tuż obok rozciągają się malinowe pola, a na nich maliny i ukraińskie dziewczyny. Marcin Dusza prowadzi gospodarstwo wspólnie z tatą. Mają razem 10 ha malin.

– Ostatnie dwa lata były dobre, wszystkie maliny sprzedawaliśmy na mrożenie – tłumaczy. – Prowadziliśmy też skup malin. W zeszłym roku 20-30 ton dziennie skupowałem. Co dzień ładowałem samochód z przyczepą i jeszcze jeden samochód i jechaliśmy na Lubelszczyznę, do przetwórci, 200 km w jedną stronę, m.in. do Zajeziera, Bełżyc. U nas nie ma mroźni. W tym roku otworzyłem skup, ale skoro cena jest 4-4,50 zł za kilogram, to ludzie nie chcą sprzedawać dla przemysłu. Przez tydzień ▶

► miałem skup czynny, ale skupowałem 200-300 kg dziennie, do tony. Z taką ilością nie opłaca się jechać, bo koszt transportu jest zbyt duży.

Zmowa cenowa? – Moim zdaniem ta sytuacja wynika raczej z dużego importu z Ukrainy i Mołdawii – twierdzi. – Na Ukrainie używa się wiele środków do oprysków, które u nas są zakazane. One są tańsze niż nasze. Teraz zrywamy maliny tylko na deser i sprzedajemy w hurtowni w Broniszach. Gdybym miał wozić do skupu, w ogóle bym nie rwał, bo to się mija z celem.

To kolejne pole z gatunkiem Glen Ample. Kobiety z Ukrainy dostają za zrywanie 1,5 zł za pojemnik. Dostają także warzywa, żeby gotować posiłki. Czasem Marcin do interesu dokłada. – W niedzielę zjechało na Bronisze tyle ludzi z Lublina, że ja miałem 140 klatek po 5 kg malin i nic nie udało mi się sprzedać. Przywiozłem maliny i sprzedałem w skupie, który prowadzi kolega. Nie zarobiłem na tym. Na szczęście nie mam kredytów. Samochód chłodnia, który tam stoi, jest stary,

nie kosztował 200 tys. zł. Zamierzaliśmy w tym roku zbudować chłodnię na maliny, ale chyba się nie uda. Uprawiamy tylko maliny, więc te niskie ceny bardzo nas dotkną. Całe szczęście, że dwa ostatnie lata były dobre i mamy poduszkę finansową. Ale jeśli takie lata jak to będą się powtarzały, nie wiem, co będzie. Już w tym roku kasujemy 2-2,5 ha.

Maliny od Duszków

Do wsi Michrówkę przylega Michrów. W obu niemal co drugi gospodarz ma pole z malinami. Jedno z gospodarstw przy drodze sąsiaduje z rozległym malinowym polem. Gospodarz właśnie pojechał na inne zagony, by opryskać tegoroczne maliny. W domu została żona, Małgorzata Dusza. Z tych Duszków? Oczywiście! Jej teść i dziadek Marcina Duszy, z którym rozmawiałam wcześniej, byli braćmi. Duszków tu jest więcej, bo jej teść miał pięciu braci i trzech w tej okolicy się osiedliło. Część malinowych pól jest zatem w rękach jednego rodu. Ale Małgorzata i jej

mąż mają nie 10 ha, jak Marcin z tatą, tylko 2 ha.

Małgorzata mówi, że malinami zajmuje się mąż, a ona niekiedy pomaga. Jak ma czas, bo przecież pracuje na etacie. Czy wie o sytuacji w skupie malin? Oczywiście, że wie.

– Niestety, takie są czasy. Przyszłość pokaże, jak polska gospodarka będzie prowadzona. Na razie nic się nie opłaca – wzdycha. – Moim zdaniem polskie państwo nie dba o polskiego rolnika. Teraz niby robią skup interwencyjny, a nie ma zabezpieczenia dla tego skupu, bo nie ma mroźni. Jak oni chcą skupić maliny, kiedy wszystkie mroźnie są w rękach zachodniego kapitału? I co oni proponują – złotówkę więcej niż inne skup? Gdyby dali 8 czy 10 zł za kilogram, to byłby prawdziwy skup interwencyjny. I wtedy można by rolników uratować. A tak to jest trochę robienie pośmiewiska z plantatorów. Jakby powiedzieli: „Damy złotówkę, niech się chłopki cieszą”.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

MUZEUM BITWY WARSZAWSKIEJ 1920 W RADZYMINIE

NOWY ODDZIAŁ MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE



Gmina Radzymin



Stowarzyszenie Niepodległość jest jedyną, ogólnopolską, kameralną organizacją historyczną, która ma za cel...

W projekcie plakatu wykorzystano obraz z zlotowca, Armii Bartolomieja „I”, 30.000: 24 x 31 cm; olej, plótno; 1400000.00774

Projekt plakatu: Małgorzata Borecka

Proroctwo Sienkiewicza

Czym były i jak się zakończyły Polskie Inwestycje Rozwojowe?



Marek Czarkowski

Na bazie Polskich Inwestycji Rozwojowych powstał Polski Fundusz Rozwoju, dziś jedna z najpotężniejszych instytucji finansowych w kraju.

14 czerwca 2014 r. krajową sceną polityczną wstrząsnęły opublikowane przez tygodnik „Wprost” stenogramy z podsłuchów ministrów, prezesów i biznesmenów z najwyższej półki. Nagrań na zlecenie biznesmena Marka Falenty dokonało kilku kelnerów pracujących w stołecznych restauracjach: Sowa i Przyjaciele, Amber Room oraz Osteria. Ofiarami owej szajki padli m.in. ówczesny minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz i prezes Narodowego Banku Polskiego Marek Belka. Ich biesiadna rozmowa przeszła do historii ze względu na bon moty prawnuka Henryka Sienkiewicza. – Państwo polskie istnieje teoretycznie. Praktycznie nie istnieje – przekonywał Sienkiewicz Belkę, rzucając słynne „Ch... d... i kamieni kupa”.

Ten jakże soczysty zwrot odnosił się do, jak wówczas pisano, sztandarowego programu premiera Donalda Tuska Inwestycje Polskie oraz

powołanej do jego realizacji spółki Polskie Inwestycje Rozwojowe.

Czy spełniło się wulgarnie proroctwo ministra Sienkiewicza? I jaki był efekt rozbuchanych ambicji premiera?

Chcieliśmy dobrze, a wyszło jak zwykle

12 października 2012 r., w trakcie swojego drugiego sejmowego exposé, premier Donald Tusk zapowiedział strategiczny program Inwestycje Polskie, który miał sprawić, że polska gospodarka nie będzie zwalniała tempa. Operatorem programu został Bank Gospodarstwa Krajowego, a realizować go miała specjalnie powołana spółka Polskie Inwestycje Rozwojowe (PIR). Do roku 2015 planowano przeznaczyć na ten cel 40 mld zł.

Program ten nie został nigdy przyjęty przez Radę Ministrów, nie miał więc statusu programu rządowego.

W praktyce było to więc życzenie premiera. Jego realizacja miała pozwolić na wyeliminowanie takich barier w realizacji dużych przedsięwzięć inwestycyjnych jak brak długoterminowego finansowania dłużnego, niewystarczająca ilość kapitałów własnych oraz znikome zainteresowanie projektami partnerstwa publiczno-prywatnego.

Tusk wiedział, że w Polsce duże inwestycje, zwłaszcza infrastrukturalne, są finansowane nie ze środków prywatnych, lecz z publicznych. Ogłoszony przez niego program wcale tego nie zmieniał, wręcz przeciwnie, utrwalał tę praktykę.

Spółkę Polskie Inwestycje Rozwojowe zarejestrowano w Krajowym Rejestrze Sądowym dopiero 19 czerwca 2014 r. Prezesem został Mariusz Grendowicz, bankowiec pracujący m.in. w londyńskim oddziale Citibanku, ING Banku czy BRE Banku.

Zapowiedzi polityków były szumne, ale rzeczywistość okazała się ►

► inna. Szybko wyszło na jaw, że program Inwestycje Polskie nie został rzetelnie przygotowany. Nie określono szczegółowych planów działania uczestniczących w nim podmiotów. Nie ustanowiono też spójnego systemu monitoringu i nadzoru. Obowiązki nadzorcze zostały rozproszone między ministra skarbu państwa i ministra finansów. Mimo że zapewniono środki na jego finansowanie, w niedostatecznym stopniu uwzględniono fakt, że podjęcie przez spółkę PIR decyzji inwestycyjnych będzie procesem długotrwałym. Okazało się też, że krajowe przedsiębiorstwa nie były w stanie przedstawić dostatecznej liczby projektów spełniających wymogi programu.

Jego potencjał wydobywczy szacowano na 3,6 mln ton ropy naftowej oraz 432 mln m sześć. gazu. Roczna produkcja miała wynieść ok. 250 tys. ton ropy naftowej, to jest ok. 5 tys. baryłek ekwiwalentu ropy dziennie. Umowę podpisano 25 sierpnia 2014 r. Opiewała ona na kwotę 431 mln zł. Całkowita wartość projektu miała wynieść 1,7 mld zł. Wydobywanie ropy naftowej ze złoża B8 rozpoczęło się w roku 2016, a w październiku 2021 r. 75-kilometrowym podmorskim rurociągiem popłynął gaz do Władysławowa.

• **Projekt Akademiki** – Uniwersytet Jagielloński. Chodziło o sfinansowanie modernizacji zespołu akademików Collegium Medicum Uniwersytetu

SA – była projektem najbardziej ambitnym. Chodziło o inwestycję w blok gazowo-parowy o mocy 413 MW w Elektrowni Łagisza w Będzinie. Szacowana wartość przedsięwzięcia miała przekroczyć 1,5 mld zł. Nowy blok miał ruszyć w połowie 2019 r. Tauron oraz PIR miały zawiązać spółkę celową z zadaniem finansowania oraz realizacji procesu inwestycyjnego, a w dalszej kolejności eksploatacji bloku. Zawarta 10 lipca 2015 r. umowa opiewała na 750 mln zł. A ponieważ do wyborów zostało kilka miesięcy, niewiele się wydarzyło. Gdy Prawo i Sprawiedliwość doszło do władzy, temat rozbudowy Elektrowni Łagisza z udziałem spółki Polskie Inwestycje Rozwojowe zniknął. Powrócił kilka lat później. W styczniu 2020 r. Tauron Polska Energia oddał do użytku w Elektrowni Łagisza blok o mocy 460 MW dostosowany do wytwarzania ciepła grzewczego dla Zagłębia Dąbrowskiego. Koszt inwestycji wyniósł ponad 120 mln zł. Wcześniej wygaszono bloki o mocy 120 MW. Na początku maja br. wyburzono ostatnią przeznaczoną do likwidacji chłodnię kominową.

Olsztyńskie śmieci – PIR zaczęła, PFR skończył

Budowę spalarni śmieci w Olsztynie zapowiadano już w roku 2013. 3 lutego 2014 r. spółka Polskie Inwestycje Rozwojowe podpisała z Miejskim Przedsiębiorstwem Energetyki Ciepłej w Olsztynie stosowne porozumienie. Wspólny projekt miał polegać na wybudowaniu nowej elektrociepłowni oraz modernizacji istniejącej ciepłowni miejskiej w celu dostosowania jej do nowych standardów środowiskowych. Całkowitą wartość inwestycji szacowano na 600 mln zł. Do produkcji energii nowy zakład miał wykorzystywać m.in. paliwo powstałe w wyniku przetwarzania odpadów komunalnych.

Zarząd PIR chwalił się, że jest to pierwszy projekt realizowany wspólnie z jednostką samorządu terytorialnego w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego. Spółka liczyła, że dzięki temu zachęci kolejne samorządy oraz inwestorów prywatnych do uruchamiania inwestycji w takiej formule.

W latach 2013-2015 BGK podpisał umowy na finansowanie inwestycji o wartości 28,9 mld zł, a spółka Polskie Inwestycje Rozwojowe zaledwie na 1,6 mld zł.

W efekcie w latach 2013-2015 Bank Gospodarstwa Krajowego podpisał z beneficjentami umowy na finansowanie inwestycji o wartości 28,9 mld zł, a spółka Polskie Inwestycje Rozwojowe zaledwie na kwotę 1,6 mld zł. W tym okresie ogólna wartość krajowych nakładów inwestycyjnych wyniosła 481,9 mld zł. Ogłoszony przez premiera Tuska program nie był zatem przełomem. Jak wynika z przeprowadzonej w 2015 r. kontroli NIK, patologii i „kręcenia łodów” w nim nie stwierdzono. Na co więc poszły pieniądze w ramach tego programu?

Ropa, akademiki i elektrownia

Do lipca 2015 r. spółka Polskie Inwestycje Rozwojowe zawarła umowy inwestycyjne na udział w finansowaniu trzech projektów na łączną kwotę 1,191 mld zł. Były to:

• **Projekt B8** – zgłoszony przez LOTOS Petrobaltic SA. Chodziło o zagospodarowanie złoża ropy naftowej zlokalizowanego w polskiej strefie ekonomicznej na Morzu Bałtyckim i eksploatację zasobów ropy oraz gazu ziemnego. Złoże B8 znajduje się ok. 70 km na północ od Jastarni.

Jagiellońskiego. Wartość inwestycji wyniosła ok. 100 mln zł. Finansowanie było wspólnym przedsięwzięciem spółki Polskie Inwestycje Rozwojowe i Banku Pekao SA. Realizacją miały się zająć firma BI Polska Property Development (z francuskiej grupy deweloperskiej Bouygues) oraz spółka Cofely Services (należąca do francuskiej grupy energetycznej GDF Suez). W myśl umowy, w formule partnerstwa publiczno-prywatnego, trzy domy studenckie wraz z infrastrukturą sportowo-rekreacyjną miały zostać całkowicie przebudowane, wyposażone, a następnie utrzymywane przez 25 lat.

Fakt, że spółki należące do dużych francuskich koncernów otrzymały wsparcie w ramach programu Inwestycje Polskie, wzbudził emocje części polityków. Interpelacje poselskie sprowadzały się do jednego: jak to możliwe, że francuskie, a nie polskie firmy dostały pieniądze? Ostatecznie 26 września 2016 r. w obecności wicepremiera i ministra nauki i szkolnictwa wyższego Jarosława Gowina wyremontowane budynki oddano do użytku.

• **Modernizacja Elektrowni Łagisza** przez spółkę Tauron Wytwarzanie

Ostatecznie budowa Instalacji Termicznego Przekształcania Odpadów wraz z Kociołnią Szczytową w Olsztynie (elegancka nazwa spalarni śmieci) została zrealizowana przez spółkę Dobra Energia dla Olsztyna, powołaną w grudniu 2018 r., gdy Polskie Inwestycje Rozwojowe były już wspomnieniem. Jej udziałowcami są Fundusz Inwestycyjny Meridiam Eastern Europe Investments 3 SAS, za którym stoi Polski Fundusz Rozwoju (95% udziałów) oraz spółka Urbaser S.A.U. (5% udziałów). W 2019 r. koszt tej ekologicznej wizytówki Olsztyna szacowano na 3,5 mld zł. Zakład ma być oddany do użytku w sierpniu.

Inną inwestycją kojarzoną ze spółką Polskie Inwestycje Rozwojowe była budowa Zakładu Termicznego Przekształcania Odpadów Komunalnych w Bydgoszczy (kolejna elegancka spalarnia śmieci). Wysokość dofinansowania unijnego wyniosła w tym przypadku ponad 500 mln zł. Choć moim zdaniem dopisywanie PIR było trochę na siłę. Inwestycję oddano do użytku w lutym 2016 r.

Skarbonka Morawieckiego

Wraz z dojściem do władzy PiS przyszedł kres spółki Polskie Inwestycje Rozwojowe. Na jej bazie powstał Polski Fundusz Rozwoju (PFR), dziś jedna z najpotężniejszych instytucji finansowych w kraju, będąca de facto skarbonką premiera Mateusza Morawieckiego. W założeniach PFR miał się zająć realizacją ogłoszonego przez rząd Beaty Szydło Planu na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju do roku 2020 z perspektywą do roku 2030.

Początkowo zakładano, że z 480 mld zł przeznaczonych na realizację planu prawie połowa środków będzie pochodzić z Unii. Reszta od spółek skarbu państwa i polskich przedsiębiorstw.

1 maja 2016 r. prezesem PFR został Paweł Borys, osoba bliska ówczesnemu wicepremierowi Morawieckiemu. Dziś jest on także przewodniczącym Rady Nadzorczej Banku Gospodarstwa Krajowego oraz przewodniczącym Rady Polskiego Instytutu Ekonomicznego. PIR przy Polskim Funduszu Rozwoju to niewiele znaczący karzełek.

zastąpiono go programem Mieszkanie dla Rozwoju. Najnowszym pomysłem rządu Zjednoczonej Prawicy na rozwiązanie problemu mieszkaniowego w Polsce są nisko oprocentowane (2% w skali roku) kredyty mieszkaniowe. Ustawę w tej kwestii przyjął niedawno Sejm. Trudno też mówić o sukcesie PPK.

Polski Fundusz Rozwoju pełni także kluczową funkcję w dystrybucji ogromnych środków wydawanych poza budżetem, a więc poza kontrolą Sejmu. Ostatnio dr Sławomir Dudek, prezes Instytutu Finansów

Zaciąganie ogromnych zobowiązań przez BGK i Polski Fundusz Rozwoju zdaniem NIK kosztuje nasz kraj dodatkowe 12 mld zł odsetek.

Trudno wyliczyć instytucje, które wchodziły w skład PFR. Najbardziej znane to Bank Gospodarstwa Krajowego i Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości. Polski Fundusz Rozwoju odegrał znaczącą rolę w rozdysponowaniu setek miliardów złotych wsparcia rodzimych przedsiębiorstw w ramach walki ze skutkami pandemii COVID-19. Realizował on również takie programy jak Mieszkanie+, Program Mieszkań na Wynajem, Program Budowy Kapitału czy Pracownicze Plany Kapitałowe.

Realizacja programu Mieszkanie+ zakończyła się kląpą. W lutym 2019 r.

Publicznych, przekonywał, że zaledwie 12% deficytu naszego kraju zostało ujęte w ustawie budżetowej, którą rząd przedstawił Sejmowi, 88% zostało zaś poza jego kontrolą.

Zaciąganie ogromnych zobowiązań przez BGK oraz Polski Fundusz Rozwoju zdaniem Najwyższej Izby Kontroli kosztuje nasz kraj dodatkowe 12 mld zł odsetek. Z pewnością przyjdzie kiedyś czas, gdy funkcjonowanie PFR i systemu wyprowadzania wydatków publicznych poza budżet państwa zostanie poddane ocenie.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

prof. Mariana Stępnia,

wybitnego badacza historii literatury polskiej, człowieka lewicy, polityka, wieloletniego Autora i Przyjaciela naszego tygodnika

*Jerzy Domański i Paweł Dybicz
wraz z zespołem „Przeglądu”*

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość,
że w sobotę 8 lipca 2023 roku
zmarł

prof. Marian Stępień,

historyk literatury polskiej i krytyk literacki,
emerytowany profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego,
laureat wielu nagród i wyróżnień naukowych i społecznych,
człowiek wielkiej prawości i niezłomnego charakteru,
wierny do końca swoim lewicowym ideałom.

I sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR w UJ w okresie przemian Października '56,
w 1975 r. członek założyciel Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”,
w latach 80. p.o. przewodniczący Krakowskiej Kuźnicy i redaktor naczelny „Zdania”,
w latach 1988-1990 sekretarz KC PZPR ds. kultury,
laureat Kowadła „Kuźnicy”,
do końca życia bardzo aktywny w Stowarzyszeniu „Kuźnica” i na łamach „Zdania”.

Żegnaj, Profesorze!

Stowarzyszenie „Kuźnica”

Marek Książek

Prawdziwa nawałnica medialna rozpętała się po publikacji „Super Expressu”, który ujawnił nagranie pokazujące, jak masywna młoda kobieta tłucze rękami i kopie drobną dziewczynę, aktywnie zachęcana do tego przez młodego mężczyznę. „Co tak słabo? Wal ją, zaj... ją!”, rozkazuje napastniczce i krzyczy: „Ty k...! Ty szmato!”. Mężczyzna nagrywa wszystko smartfonem, a w trakcie filmowania drugą ręką chwyta ofiarę za włosy i gwałtownie potrząsa jej głową.

Ona biła, on filmował

„Filmowcem” okazał się Michał A., prawie 30-letni syn posłanki Prawa i Sprawiedliwości Iwony Arent, pełnomocniczki prezesa Jarosława Kaczyńskiego na okręg olsztyński. Pomagała mu koleżanka bitej dziewczyny. Zapytana przez dziennikarkę „SE” o to zdarzenie pani poseł odpowiedziała najpierw, że jej syn nie bił swojej byłej dziewczyny, a jedynie ze złości, bo ukradła mu pieniądze z telefonu, „szarpnęła ją za włosy i oplotła, to wszystko”. Takim tłumaczeniem pogłężyła się jeszcze bardziej, a do tego – jak doniosły media – zirytowała samego Kaczyńskiego. Władze partii przeprowadziły z nią wewnętrzną rozmowę.

Nie wiadomo dokładnie, czy ta rozmowa wpłynęła na Iwonę Arent, ale posłanka zmieniła swoją narrację. Wydała oświadczenie, że jest wstrząśnięta informacjami medialnymi, które wymagają pełnego wyjaśnienia i „w żaden sposób nie mogą być usprawiedliwione” (tak jakby to informacje nie mogły być usprawiedliwione). Dodała również, że „żadna forma fizycznej i psychicznej przemocy nie powinna mieć miejsca w stosunku do nikogo, szczególnie kobiet”. Swoje wcześniejsze wyjaśnienia tłumaczyła naturalną reakcją matki, która wierzy synowi, dorosłemu, pracującemu człowiekowi, niekarannemu. Te słowa skruchy mogły być jednak skutkiem postępowania, które wszczęła Prokuratura Rejonowa Olsztyn-Południe w sprawie pobicia mogącego się zakończyć utratą przez

Zachwiana kariera posłanki PiS

Burza wokół kryminalnego incydentu z udziałem syna może podkopać działalność polityczną Iwony Arent

pokrzywdzoną Paulinę C. zdrowia i życia. Takie zarzuty postawiono Michałowi A. i jego współpracownikowi Magdalenie T. Syn posłanki chyba był dumny ze swojego wyczynu, skoro przesłał nagranie znajomym. W rezultacie trafiło ono do mediów i do sieci, w której – jak wiadomo – nic nie ginie.

Polityczne skutki prywatnego skandalu

Dalszym ciągiem tej afery są publiczne rozważania, jak może ona wpłynąć na karierę polityczną Iwony Arent. Karierę swoją drogą zaskakującą. Urodzona w 1968 r. w patriotycznej rodzinie, jak pisze o sobie, studiowała politologię w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie, wyjeżdżając jednak w tym czasie do Grecji w celach zarobkowych (m.in. sprzątała). Po studiach ukończyła jeszcze rachunkowość, pracowała jako referentka w zakładzie energetycznym, ale zdobyła też wiedzę na podyplomowych studiach na kierunku dyplomacja i stosunki międzynarodowe. Po rozstaniu z mężem sama wychowywała syna. Wspominała o tym w jednym z kilkunastu artykułów na jej temat, które w latach 2008-2015 ukazały się w „Super Expressie”. W tekście z okazji walentynek w 2011 r. miejscowy korespondent tabloidu tak pisał: „Piękna posłanka PiS-u przyznaje, że szczęścia w miłości nie miała. Iwona Arent (43 l.) jest już po rozwodzie i ma 17-letniego syna. Wyznaje, że owszem, zakochała się kilka razy, ale nie zawsze były to »strzały w dziesiątkę«”. Artykuł jest opatrzony jej zdjęciami z prywatnego archiwum,

w tym jako kilkunastolatki, z równie młodym adoratorem w kajaku.

Inne teksty z tej serii powalają szczerością, a tytuły mówią same za siebie: „Kocha się w niej cały PiS!”, „Najpiękniejsze nogi PiS. Czyje?” (ze zdjęciami Iwony Arent w krótkiej spódnicy), „Znowu jestem do wzięcia” oraz „PiS może być seksi” – z relacją z wizyty w sklepie z bielizną damską, gdzie posłanka kupiła „filuterne czerwone stringi”. Tych prasowych laurów ocieplających wizerunek Iwony Arent przybyło w trakcie typowania jedynek na listy regionalne przed wyborami w 2011 r. Gdy dziennikarz prawicowego miesięcznika „Debaty” wytknął później te oczywiste prasowe ustawki w artykule „Wojna o przywództwo w olsztyńskim PiS-ie”, posłanka wystąpiła do niego pozew sądowy, bo jakoby przekroczył granice dozwolonej krytyki, sugerując, że pozycję w polityce Arent zawdzięcza walorom zewnętrznym, a jej aktywność polityczna ograniczała się do stworzenia ładnego tła dla mężczyzn w partii.

Pod rękę z agentem Tomkiem

Ale to była dalsza część tej historii, która zaczęła się znacznie wcześniej. Działalność w świeżo utworzonej przez braci Kaczyńskich partii Prawo i Sprawiedliwość Iwona Arent rozpoczęła już w 2002 r., po okresie zdobywania doświadczeń w ruchu katolickim. Gdy umocniła się w partii, w 2006 r. dostała się do Sejmu, ale nie w wyniku wyborów, lecz przejmując mandat po Aleksandrze Szczygłe, który został szefem Kancelarii Prezydenta RP. Od tego



Iwona Arent była pełnomocniczką Jarosława Kaczyńskiego na okręg olsztyński.

czasu było już łatwiej, bo jeszcze czterokrotnie zostawała posłanką. Doszła do funkcji wiceprezesa warmińsko-mazurskiego regionu PiS, a w 2018 r. (w zastępstwie koleżanki) zasiadała w komisji sejmowej do zbadania afery Amber Gold.

W strukturach wojewódzkich zawsze jednak grała drugie skrzypce. Tymczasem w zeszłym roku prezes Kaczyński niespodziewanie mianował ją szefową olsztyńskiego okręgu partii (pod kątem przyszłych wyborów parlamentarnych powstały w województwie cztery okręgi, poza olsztyńskim także elbląski, iławski i ełcki – przyp. MK). Nominacja Iwony Arent zaskoczyła działaczy PiS, zwłaszcza zwolenników dotychczasowego prezesa regionu Jerzego Szmita. Tym bardziej że od lat mówiło się o konflikcie, jaki istniał między nimi.

Ta rywalizacja ujawniła się np. po wybuchu afery Helpera, stowarzyszenia prowadzącego domy opieki środowiskowej, w której to historii główną postacią był – i nadal jest, bo szykuje się sprawa sądowa – Tomasz Kaczmarek, o czym pisaliśmy m.in. w tekście „Oskarżony agent Tomek” (PRZEGLĄD nr 5/2022). Władzom Helpera zarzuca się przekręty finansowe i wykorzystywanie pieniędzy publicznych do prywatnych celów. Iwona Arent była zaprzyjaźniona z szefową Helpera Katarzyną S. i jej nowym partnerem, czyli agentem Tomkiem. To na jej imprezie

imieninowej w grudniu 2013 r. agent CBA chciał pobić byłego męża prezesa Helpera, z którą potem się ożenił. W Olsztynie mówiło się, że Szmit czerpie niemałą satysfakcję z tej afery. Szczególnie że wcześniej jeden z tabloidów przyłapał go z kochanką w Warszawie, a inne media pisały o nagminnym tamaniu przez niego przepisów drogowych.

Wkrótce Szmit również stracił w oczach Jarosława Kaczyńskiego. Gdy w 2015 r. układane były kolejne listy wyborcze PiS, nie dostał jego rekomendacji, choć jeszcze pozostał szefem regionu. Zawodowo też nie odszedł w niebyt; był wiceministrem w resorcie budownictwa, członkiem rady nadzorczej spółki kolejowej, aktualnie zaś jest niemal stałym publicystą pisma braci Karnowskich (np. wspiera garstkę obrońców sanktuarium maryjnego w Gietrzwałdzie, gdzie Lidl planuje zbudować centrum dystrybucyjne).

Gdy współnikom ze stowarzyszenia Helper postawiono zarzuty kryminalne, Iwona Arent odcięła się od agenta Tomka. Zwłaszcza że zaczął on ujawniać manipulacje CBA, kierowanego przez koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego. Uznawana wcześniej za „łagodną oblicze PiS” posłanka musiała jakoś dopasować się do sytuacji, więc zaostrzyła publiczną retorykę. Gdy w lutym 2022 r. Andrzej Rozenek z trybuny sejmowej mówił, że był szef ABW

Bogdan Świączkowski jest współodpowiedzialny za śmierć Barbary Blidy, Iwona Arent zareagowała: „Strzeliła sobie w łeb!”. Choć już wcześniej wyrwała w Sejmie telefon z rąk posłanki PO Kingi Gajewskiej (kiedy ta filmowała słynne wystąpienie Kaczyńskiego o „mordach zdradzieckich” i „kanaliach”), to na ogół nie wykazywała większej aktywności. Chyba że w kampanii przedwyborczej. „To rządy PiS tak ją zmieniły”, stwierdziła na portalu naTemat jedna z działaczek Kongresu Kobiet, mająca w przeszłości styczność z Iwoną Arent.

Zyska pani wiceminister?

W Olsztynie mówi się, że na aferze z synem Iwony Arent najbardziej zyska właśnie Jerzy Szmit, który ponownie wkradnie się w łaski prezesa partii. Nie jest jednak pewne, czy już wystarczająco się zrehabilitował. Na pewno przed jesiennymi wyborami zwolni się jedno miejsce na liście w olsztyńskim okręgu PiS. Aczkolwiek jedynka i tak praktycznie była zarezerwowana dla „spadochroniarki” Olgi Semeniuk-Patkowskiej, wiceminister rozwoju i technologii, która co jakiś czas odwiedza Olsztyn. Niedawno – razem z Jerzym Szmitem – nawoływała do rozbiórki pomnika autorstwa Xawerego Dunikowskiego, który to monument prawnicowi działacze uznają za symbol komunistycznego zniewolenia (pisaliśmy o tym w tekście „Olsztyńskie »szubienice« skazane na zburzenie”, PRZEGLĄD nr 8/2023). Ostatnio zaś, w towarzystwie wojewody warmińsko-mazurskiego, pani wiceminister pojawiła się na pikniku lotniczym w podolsztyńskich Gryźlinach.

Trudno natomiast przewidzieć, jak się potoczą polityczne losy Iwony Arent. W obozie władzy jej przypadek wywołał co najmniej konsternację. „Jestem zasmucony i zaskoczony tą całą sytuacją, przykra sprawa”, komentował Tadeusz Cymański. Rzecznik PiS Rafał Bochenek mówił Wirtualnej Polsce, że oświadczenie partyjnej koleżanki odczytuje jako wstrzymanie się od działalności publicznej, ale jest ona posłanką i ma obowiązki ustawowe, z których musi się wywiązać. ■

Co Zachód naprawdę myśli o Ukrainie w NATO?

Między oficjalnymi deklaracjami polityków a rzeczywistością ziele przepaść



Wielkie nadzieje części obserwatorów przed szczytem w Wilnie były nieuzasadnione. Np. prezydent Zełenski, szef NATO Jens Stoltenberg, prezydent Biden i premier Wielkiej Brytanii Rishi Sunak.

Jakub Dymek

Prezydent USA ogłosił w przededniu szczytu NATO w Wilnie, że Ukraina nie jest gotowa na akcesję do Sojuszu Północnoatlantyckiego. Jednym zdaniem uciął trwające od miesięcy spekulacje. Joe Biden stwierdził, że „nie widzi jednomysłności co do przyjęcia Ukrainy już dziś do natowskiej rodziny” i że przyjęcie Ukrainy teraz oznaczałoby wejście członków paktu w stan wojny z Rosją. Dodał, że do akcesji konieczne będzie nie tylko zakończenie wojny, ale i spełnienie przez Ukrainę innych warunków, związanych choćby z demokratyzacją.

Wielkie nadzieje części obserwatorów przed szczytem w Wilnie, podgrzewane również przez władze w Warszawie, były nieuzasadnione. Amerykański prezydent nie zszedł ani

na krok z drogi, którą podąża od początku kadencji. Biden podkreślała zarazem dwa priorytetowe, równorzędne cele: Rosja ma nie wygrać z Ukrainą, a wojna o wciąż lokalnym charakterze pod żadnym pretekstem nie może się przerodzić w otwarty i groźący użyciem broni jądrowej konflikt mocarstw. „Nie mamy zamiaru wszczynać w Ukrainie III wojny światowej”, mówił amerykański przywódca, gdy rosyjska armia stała jeszcze pod Kijowem, i podtrzymuje to dzisiaj, po ponad roku. Zachowanie Bidena nie jest żadną wolną albo zdradą. Przeciwnie, przyjęcie Ukrainy do NATO jeszcze w trakcie konfliktu z Rosją było wykluczone właściwie od samego początku.

A jednak, choć szczyt NATO przyniósł w końcu jasne deklaracje, różnice w gronie sojuszników nie zniknęły. Debata w świecie anglojęzycznym o zakończeniu konfliktu i przyszłych

gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy jest żywa i dużo bardziej pluralistyczna. Warto mieć w niej rozeznanie, aby nie mylić głosu marginesu i centrum tego sporu.

Przepaść

Między oficjalnymi deklaracjami polityków i dyplomatów a tym, jakie faktycznie nastroje panują na najwyższym szczeblu, ziele przepaść. „Debata o Ukrainie pęka na pół”, konkludował na łamach „Foreign Policy” jeszcze w marcu 2023 r. profesor Harvardu Stephen Walt. Opisywał, jak sprawa się ma za kulisami Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, spotkania chyba najważniejszego dla euroatlantyckiej dyskusji o bezpieczeństwie. „Nikt w Monachium Rosji nie broni – pisał Walt – (...) ale zauważyłem przepaść między wyrażanym publicznie optymizmem i bardziej pesymistycznymi ocenami wygłaszanymi prywatnie”.

„Żaden z moich rozmówców nie spodziewał się rychłego końca wojny i nikt nie uważał, że Ukraina będzie w stanie odzyskać całość utraconych ziem, z Krymem włącznie – przyznawał. – Większość osób, z którymi rozmawiałem, spodziewała się dalszego wycieńczającego pata, który może doprowadzić do zawieszenia broni za parę miesięcy. Zachodnia pomoc nie jest więc środkiem do osiągnięcia zwycięstwa, jej prawdziwym celem jest stworzenie Kijowowi korzystnej pozycji negocjacyjnej, gdy sytuacja dojrzeje do rozmów”.

O podobnym rozdzwieku pisał na Twitterze Matthew Light, profesor z Uniwersytetu w Toronto, krymolog i ekspert w dziedzinie bezpieczeństwa zajmujący się krajami byłego Związku Radzieckiego. Light opisywał

rozmowę z dwoma zachodnimi dyplomatami, którzy przekonywali, że NATO w ostatnich miesiącach doświadczyło wielkiego ożywienia, impet do zmian jest duży, a morale i nadzieje wysokie. „Od zbrojeń w Europie, przez otwartą drogę do akcesji Szwecji, po większe zaangażowanie na wschodniej flance – mamy sukcesy i jest się z czego cieszyć”, przekonywali go rozmówcy.

Light zestawiał te wypowiedzi z osądami rozmówców z Europy Środkowej, gdzie nastroje są odmienne. Brak wytyczonej jasnej drogi Ukrainy do NATO, niedostatek jednoznacznych i wiążących deklaracji w tej i innych sprawach jest odbierany nie tylko jako doraźny błąd, ale wręcz jako historyczne zaniedbanie. A nawet więcej – ośmielenie Rosji i tchórzostwo. Relacja Lighta być może przejawia pesymizm Warszawy, Wilna czy Tallina – bo liderzy w tych stolicach mimo wszystko doceniają rozszerzenie NATO. Ale nie da się odmówić mu racji, gdy pokazuje, że to, co dla jednych w świecie „kolektywnego Zachodu” oznacza sukces i postęp, dla drugich jest niczym więcej niż realizacją planu minimum. I ten podział istnieje.

„W NATO są państwa, które widzą wojnę w Ukrainie jako konflikt egzystencjalny i uważają, że należy zrobić wszystko, aby został wygrany. Ale są też kraje oddalone od wojny, które nie uważają jej za aż takie egzystencjalne zagrożenie i obawiają się eskalacji w kierunku konfliktu nuklearnego. Biden ma dylemat. Z jednej strony, jest bardzo jednoznaczny adwokatem sprawy pomocy Ukrainie, (...) ale z drugiej, nawet w jego własnej administracji są eksperci, którzy uważają, że Waszyngton powinien skupić się w większym stopniu na Chinach i zostawić więcej samodzielności Europie”, mówi Emma Ashford z Georgetown University i think tanku Stimson Center.

Ashford przestrzegająca jeszcze przed szczytem w Wilnie, że „nawet szczerzy zwolennicy członkostwa Ukrainy w NATO wiedzą, że nie stanie się to w najbliższej przewidywalnej przyszłości. Administracja Bidena myśli więc o alternatywnych gwarancjach dla Ukrainy w sprawie zbrojeń czy tzw. modelu izraelskiego dla Kijowa”.

Umowny Wschód chce programu maksimum i traktuje obiekcje wobec przyjęcia Ukrainy jako wyraz nie politycznego realizmu, lecz naiwności lub upartego niezrozumienia zagrożenia. Wystarczyło jednak czytać ukazujące się na bieżąco analizy, wsłuchiwać się w komunikaty napływające od administracji Bidena (i, szerzej, z Waszyngtonu), żeby oszczędzić sobie zdziwienia i rozczarowania. Dziś sednem dyskusji jest co innego.

Wątpliwości

Sednem dyskusji w świecie anglojęzycznym jest raczej inna niż NATO formuła włączania Ukrainy w zachodnie struktury bezpieczeństwa. Lub obiecanie Ukrainie szybkiego członkostwa i wykorzystanie tej propozycji jako argumentu w negocjacjach z Moskwą w przypadku rozmów pokojowych. W tym kierunku zdaje się zmierzać prezydent Macron. Nie chcecie Ukrainy w NATO, to wycofajcie swoje wojska i zgódźcie się na inny model, który będzie odpowiadał interesom Europy – tak w skrócie przedstawia się ta propozycja.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego nie NATO teraz i nie NATO w najbliższej przyszłości, jest dość oczywista: nawet w samych Stanach Zjednoczonych są wątpliwości wobec przyjęcia Ukrainy, kraju o nieprzewidywalnych elitach i mającego (legalne i uzasadnione) roszczenia terytorialne wobec agresywnego sąsiada. A także mierzącego się ze stałym ryzykiem destabilizacji nawet w warunkach pokoju. To co innego niż przyjmowanie Estończyków, Polaków czy Rumunów, którzy gwarantowali długoterminowy i przewidywalnie proeuropejski oraz proamerykański kurs. Poza tym do władzy w USA czy Francji mogą dojść politycy (jak Trump czy Le Pen), którzy na lata i tak odłożą jakiegokolwiek realne dyskusje o akcesji.

„Každą receptą na trwałą pokój musi uznać złożoność sytuacji. Gdy dojdzie już do negocjacji, prezydent Zełenski powinien powrócić do propozycji przedstawionej podobno już w marcu zeszłego roku, mówiącej o poniesieniu starań o akcesję. Zamiast tego, jak sugerował sam Zełenski, Ukraina powinna przyjąć model

izraelski – zbudować liczną i zaawansowaną armię, podpartą mocną bazą przemysłową i szerokim wsparciem z zewnątrz”, pisał na łamach „New York Timesa” Stephen Wertheim z Carnegie Endowment for International Peace i Uniwersytetu Yale.

Model izraelski

To, co przyjęło się już nazywać modelem izraelskim, oznacza najczęściej zobowiązanie zamożnych państw i producentów uzbrojenia, że będą wspierali odbudowę ukraińskiego potencjału militarnego, nie szczędząc grosza i własnego know-how. W razie zagrożenia zaś związałyby się konkretnymi zobowiązaniami dotyczącymi pomocy, jednak bez czegoś w rodzaju art. 5, czyli ryzyka, że cały Sojusz Północnoatlantycki zostanie wciągnięty w wojnę w obronie państwa, które nie jest członkiem ani NATO, ani Unii Europejskiej. Analogia z Izraelem polega na tym, że formalnie USA nie są zobowiązane prowadzić wojen w obronie Izraela, ale wszyscy zdają sobie sprawę, że nie pozwolą na upadek Tel Awiwu – Izrael nie ma formalnych gwarancji bezpieczeństwa, jednak nikt nie zaprzeczy, że cieszy się realnym sojuszem z USA. Coś takiego, mówią Wertheim i inni realisci, powinno być wzorem na przyszłość dla Ukrainy.

To nie znaczy, że nie istnieją przeciwnicy podobnego rozwiązania. Są, i to liczni. Komentatorzy, od Eliota Cohena na łamach „The Atlantic” po Iana Brzezinskiego na stronach internetowych Carnegie Endowment, przekonują i podnoszą własne argumenty. Na razie szczyt NATO ostudził nadzieje i przytłumił obawy. Ale debata się nie skończy – wręcz przeciwnie.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Nadszarpnięte więzi

Izraelski rząd i amerykańscy Żydzi przestają się rozumieć

Jakub Katulski

Mówienie, że Izrael ma szczególną relację ze Stanami Zjednoczonymi, to truizm, ale warto temu się przyjrzeć, zwłaszcza dzisiaj, kiedy postępuje rozdźwięk między aktualnym rządem Beniamina Netanjahu a administracją Joeego Bidena. Wedle popularnej opinii za dobre stosunki Tel Awiwu z Waszyngtonem ma odpowiadać przede wszystkim obecność w Stanach licznej diaspory żydowskiej, która miałaby lobbować na rzecz państwa żydowskiego. To mogło być prawdą jakiś czas temu, lecz dzisiaj lwia część politycznego wsparcia dla Izraela płynie ze środowisk amerykańskich ewangelików. A stosunki Izraela z żydowską diasporą są coraz trudniejsze, tym bardziej teraz, gdy znaczna większość amerykańskich Żydów popiera administrację Bidena, a relacje ich prezydenta z Netanjahu są raczej chłodne. Jeszcze gorsza jest jego opinia o liderach Religijnego Syjonizmu – ministrach Becaletu Smotriczu i Itamarze Ben-Gwirze.

Biden w wywiadzie udzielonym CNN 9 lipca zaznaczył, że właśnie ci członkowie rządu Netanjahu są odpowiedzialni za przemoc na Zachodnim Brzegu ze względu na ich naciski na rozbudowę żydowskiego osadnictwa na terytoriach okupowanych i odrzucenie praw Palestyńczyków. Dodał również, że jego administracja nie będzie w najbliższym czasie mediować między Izraelem i Arabią Saudyjską, na co liczył Netanjahu, przedstawiając właśnie Rijad jako potencjalnego kandydata do przystąpienia do porozumień abrahamowych. Co więcej, Biden ani myśli zaprosić izraelskiego premiera do Białego Domu, choć w najbliższym czasie do Stanów Zjednoczonych



na zaproszenie Kongresu przyjedzie prezydent Icchak Herzog i najprawdopodobniej w prezydenckiej rezydencji spotka się z Bidenem. Herzog przez polityków i sympatyków izraelskiej koalicji rządowej jest traktowany jak członek opozycji, co tylko pogłębia zarówno polaryzację w kraju, jak i poczucie rozbratu ze Stanami Zjednoczonymi. W idealnej sytuacji w sukurs Netanjahu mogłaby przyjść właśnie amerykańska diaspora żydowska, lecz dzisiaj trudno liczyć na jej lobbying.

Związki krwi i tradycji

Mit politycznego wsparcia płynącego ze strony żydowskiej diaspory w Stanach Zjednoczonych wynika w dużej mierze zarówno ze związków kulturowych, jak i z systemu prawnego Izraela, który umożliwia każdemu, kto ma przynajmniej jednego żydowskiego rodzica, babcię

lub dziadka, aliję, czyli imigrację do Izraela. To sprawia, że wielu członków amerykańskiej diaspory ma w Izraelu krewnych albo sami w pewnym momencie mieszkali w tym kraju i być może służyli w Siłach Obrony Izraela.

Co więcej, spora część żyjących w diasporze Żydów korzysta z przeznaczonego dla młodzieży programu Taglit – Birthright Israel, uruchomionego w latach 90. jako wspólne przedsięwzięcie amerykańskich przedsiębiorców, Agencji Żydowskiej i izraelskiego rządu, jak również społeczności żydowskich na całym świecie. Program oferuje uczestnikom 10-dniowy bezpłatny wyjazd do Izraela, podczas którego żydowska młodzież spotyka się z izraelskimi rówieśnikami i żołnierzami, odwiedza miejsca istotne dla kultury i historii Żydów. Niektórzy uczestnicy wracają zachwyceni, ale inni uważają, że program przekazuje



Zdjęcie, na którym minister Chikli szeroko uśmiecha się w kierunku osób protestujących przeciwko reformie sądownictwa, wywołało burzę w internecie.

po prostu izraelską rządową propagandę. Dlatego lewicowa żydowska organizacja Jewish Voice for Peace prowadzi kampanię namawiającą młodych amerykańskich Żydów do bojkotu programu. Niemniej jednak zdaniem Pew Research Center do 2020 r. skorzystało z niego aż 20% amerykańskich Żydów do 46. roku życia.

Tej siły nie należy bagatelizować, gdyż w Stanach Zjednoczonych według badań Pew Research Center z 2020 r. mieszka około 7,5 mln Żydów, co jest liczbą porównywalną z żydowską populacją samego Izraela albo nawet ją przewyższającą. Przy czym badacze z PRC biorą pod uwagę przede wszystkim osoby wyznające judaizm i te, które deklarują, że „czują się Żydami” ze względu na „historię rodzinną”. Badanie to jest w pewnych aspektach podważane ze względu na trwającą od lat

w kręgach akademickich, politycznych i teologicznych dyskusję o tym, kto jest Żydem, ale daje możliwość oceny wielkości diaspory.

Izrael – tak, Netanjahu niekoniecznie

Tak duża grupa etniczna, reprezentowana we wszystkich klasach społecznych Stanów Zjednoczonych, zdaje się naturalnym sojusznikiem Izraela, a tym bardziej sojusznikiem pożądanym. Część amerykańskich Żydów czuje się jednak rozczarowana izraelską polityką i niechętnie wspiera działania czy plany Beniamina Netanjahu. Świadczy o tym wyraźnie choćby badanie think tanku Jewish Electorate Institute z 23 czerwca, poświęcone preferencjom wyborczym i politycznym amerykańskich Żydów. Wynika z niego, że o ile 73% respondentów

stwierdza, że są emocjonalnie związani z Izraelem, o tyle aż 62% negatywnie ocenia działania Netanjahu. 61% uważa też, że przeprowadzana przez jego rząd reforma sądownictwa w istocie osłabia izraelską demokrację. Jednocześnie największej ankietowanych (37%) właśnie przyszłość demokracji oceniono jako najistotniejszy problem, w obliczu którego stoi dzisiaj Izrael. To, w połączeniu z faktem, że 63% badanych pozytywnie ocenia Bidena i niewiele mniej jest zadowolonych z Partii Demokratycznej, natomiast aż 80% krytycznie patrzy na Donalda Trumpa, na którego powrót liczy Netanjahu, świadczy o tym, że izraelski rząd i amerykańscy Żydzi mają zupełnie inne cele polityczne.

Amerykańscy Żydzi znajdują jednak także inne powody do krytykowania Izraela, a jest wśród nich fala przemocy na Zachodnim ▶

► Brzegu. Niektóre organizacje pozarządowe zrzeszające amerykańskich Żydów, takie jak J Street, New Israel Fund czy Związek Judaizmu Reformowanego (zrzeszający ponad 800 reformowanych synagog z niemal 900 tys. wiernych), na początku lipca wystosowały oświadczenia krytykujące rząd Netanjahu i jego ministrów za stworzenie klimatu politycznego, który przyzwala na stosowanie przez żydowskich osadników na Zachodnim Brzegu przemocy wobec Palestyńczyków. Jej celem ma być umocnienie stałej kontroli Izraela nad tym obszarem i zmuszenie Arabów do opuszczenia swoich domów, by zrobili miejsce osadnikom.

Uśmiech ministra Chikiego

Można pomyśleć, że jedna jaśkółka wiosny nie czyni, bo wciąż działają w Stanach Zjednoczonych organizacje, które otwarcie wspierają Izrael, co świadczy o polaryzacji diaspory. Ale nawet ich przedstawiciele, z AIPAC, Ligi Przeciw Zniesławieniom czy American Jewish Committee, podczas spotkania z ministrem gospodarki Nirem Barkatem, który odwiedzał Boston, przekazali politykowi, że ekstremistyczni członkowie obecnego rządu

podkreśliło, że niezależność sądownictwa jest czynnikiem wyróżniającym izraelską demokrację, a rząd Netanjahu stara się ją ograniczyć.

Nie oznacza to bynajmniej, że Izrael nie może szukać żadnego oparcia w amerykańskiej diasporze. Wciąż organizowane są wydarzenia mające pokazać bliskość relacji dwóch największych społeczności żydowskich na świecie. 4 czerwca ulicami

Chikli skrytykował J Street również za to, że organizacja została ufundowana przez liberalnego miliardera George'a Sorosa. Z jednej strony, jest on znany z finansowania organizacji, które nierzadko zajmują stanowisko krytyczne wobec Izraela, ale z drugiej, stał się swoistym potworem, którym zachodnia prawica straszy opinię publiczną, a także bohaterem licznych teorii spiskowych.

W Stanach Zjednoczonych według badań Pew Research Center z 2020 r. mieszka około 7,5 mln Żydów.

Nowego Jorku przeszła parada Cielebrate Israel z ponad 40 tys. uczestników, w której udział wzięli izraelski minister ds. relacji z diasporą Amichai Chikli. Po tej paradzie stał się on bohaterem dość absurdalnej kłótni z organizacjami z diaspory, ponieważ w internecie opublikowano zdjęcie, na którym Chikli szeroko uśmiecha się w kierunku osób protestujących przeciwko wspomnianej reformie, przykładając palce do kącików ust. Fotografia obiegła media społecznościowe jako dowód obscenicznych gestów i negatywnego stosunku ministra do protestujących, gdyż na pierwszy rzut oka wydaje się, że

Chikli uznał, że za swoje zachowanie przeproszać nie musi, ale ściągnął też na siebie krytykę mediów, takich jak magazyn „Jerusalem Post”, które zauważyły, że podczas wizyty w Nowym Jorku nie poświęcił czasu na publiczne spotkanie z lokalną społecznością żydowską. Andrew Lapin, który w styczniu opisywał sylwetkę nowo wybranego ministra dla Żydowskiej Agencji Telegraficznej, zwrócił uwagę na to, że Amichai Chikli jest krytyczny nie tylko wobec amerykańskich liberalnych polityków, takich jak Joe Biden, ale też w odniesieniu do społeczności LGBTQ i nazywa Paradę Równości w Tel Awiwie, którą nawet prawicowi politycy starają się chwalić, skandaliczną. To, razem z jego otwartą krytyką reformowanego judaizmu, największego nurtu w Stanach Zjednoczonych, świadczy, że jako minister odpowiedzialny za relacje z diasporą po prostu nie rozumie amerykańskich Żydów.

Skoro liderzy amerykańskiej społeczności żydowskiej, nawet ci, którzy wspierają Izrael politycznie i finansowo, raczej z obawą patrzą na izraelski zwrot ku prawej stronie sceny politycznej, zadaniem ministra powinno być łagodzenie ich obaw i budowanie pozytywnych relacji. Zdaje się jednak, że amerykańska diaspora i izraelska klasa polityczna powoli przestają wzajemnie się rozumieć, co już dzisiaj przez publicystów po obu stronach oceanu jest uważane za istotny problem.

Jakub Katulski

Trwająca w Izraelu reforma sądownictwa nie podoba się wielu żydowskim filantropom z USA, nawet tym, którzy przez wiele lat inwestowali w Izraelu.

są znaczącym utrudnieniem w ich pracy, gdyż lobbowanie na rzecz Izraela oznacza, że konieczne jest również tłumaczenie działań Religijnego Syjonizmu.

Trwająca w Izraelu reforma sądownictwa nie podoba się też wielu żydowskim filantropom ze Stanów Zjednoczonych, nawet tym, którzy przez wiele lat inwestowali w Izraelu i przekazywali pieniądze na rzecz rozwoju państwa żydowskiego i jego relacji z zagranicznymi partnerami. Kilkanaście osób, w tym Charles Bronfman stojący za programem Taglit – Birthright Israel, podpisało na początku roku list, w którym

lewą ręką pokazuje on demonstrantom środkowy palec. Jeśli jednak przyjrzeć się uważniej, widać, że Chikli trzyma w dłoni małą flagę Izraela, a sam polityk tłumaczy się, że chciał jedynie zachęcić protestujących do uśmiechu. Winą za sytuację minister obarczył fotografa Jacoba Kornbluha z adresowanego do amerykańskich Żydów magazynu „Forward”, jak również organizację J Street, którą uznał za wroga Izraelowi ze względu na to, że w 2015 r. poparła porozumienie JCPOA, dotyczące kontroli irańskiego programu rozwoju broni jądrowej, oceniane przez Izrael jako zagrożenie dla bezpieczeństwa.

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Kochóm Kurpsie!

Z Krakowa daleko do Kurpiów. Moje szlaki wędrowne opłatały przez lata całą Polskę, ale Kurpie leżały wciąż obok, w najlepszym razie na którejś z moich tras przejazdowych. A przecież z czytanego w dzieciństwie „Potopu” pamiętałem dialog Andrzeja Kmicica toczony z ludźmi „w konopnych koszulach i skórach wilczych”: „– Kto ty? Czy nie Szwed? – Nie! – Niech ciebie Bóg bronil!”. Ciebie, Kurpsie, psiasek, psiwo... – po latach zgłębiałem tę kurpiowską mowę w trakcie moich studiów polonistycznych, na ćwiczeniach z dialektologii.

Mimo to nie pamiętałem o Kurpiach. I nie wiem, czemu Kurpie pamiętały o mnie. Od paru lat wójt gminy Kadzidło zaznajamiał mnie z tym regionem, przysyłał kurpiowskie wycinanki, oprawione obrazki, książki wydawane przez gminę, raz nawet kurpiowskiego kiereca, ozdobnego, barwnego pajaka do zawieszenia pod sufitem. Po czym, minionej jesieni, zadał mi pytanie, czy zechcę przyjąć godność honorowego obywatela gminy.

Nie byłem godzien – nie miałem wobec Kurpiów żadnych zasług. Ale jak mogłem odmówić? Był czerwiec, gdy wsiadłem w Krakowie do auta profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Oleny Duć-Fajfer, polskiej Łemkini, którą również obdarowano honorowym obywatelstwem. Towarzyszyła nam Anna Kluz-Łoś, dziennikarka Radia Kraków, od lat specjalizująca się w problematyce polskich mniejszości.

Jako ekipa krakowska zamieszkaliśmy w Tatarach, jednej z wsi gminy Kadzidło, w stuletnim, drewnianym domu otoczonym z trzech stron lasem. Śniadanie, jakie dostaliśmy nazajutrz, było chyba najlepsze, jakie jadłem w życiu: domowe jajka o niezrównanym smaku, domowy twaróg rozplwający się w ustach, miód z własnej pasieki, dżem z czarnych jagód... Nie byłem już w stanie skuć się na rozłożone przed nami wiejskie szynki i kiełbasy.

Gospodarze z Tatarów nosili nazwisko Prusaczyk. Z czego wniosek, że przed wiekami otarli się zapewne o te tereny zarówno litewscy Tatarzy, jak i pogańscy Prusowie. Z kolei gospodyni, pani Ela, była z pochodzenia Kaszubką. Wrosła przez małżeństwo w społeczności „puszczaków”, lecz – mówiła – gdy czasem jedzie do swych Kartuz, rozrzewnia ją brzmienie kaszubskiej mowy. Ania zamknęła się z panią Elą i długo ją nagrywała. Ja zostałem na zewnątrz: słuchałem rosy skapującej z drzew i oszałamiającego śpiewu ptaków.

W Kadzidle każdy z nas, honorowych, wziął udział w panelu: w ciągu dziesięciu minut mieliśmy powiedzieć coś o sobie. Potem odbyła się sesja rady gminy: na wniosek

wójta radni przegłosowywali na naszych oczach (zawsze jednomyślnie!) kolejne kandydatury. Wójt, przewodnicząca rady i prezes Związku Kurpiów wręczali nam olbrzymich rozmiarów dyplomy, oprawione kurpiowskie wycinanki, bukiety kwiatów oraz „Słownik dialektu kurpiowskiego”. Z internetu dowiedziałem się potem, że autor słownika, Henryk Gadomski, urodził się „we wsi Tatarzy w gminie Kadzidło”.

Nazajutrz, w trakcie zainscenizowanego wesela kurpiowskiego, wręczano nam olbrzymie figury wyrzeźbionego w drzewie „kurpiowskiego Nepomuka”. Szliśmy po tego Nepomuka marszem przez całe Kadzidło, od kościoła do Zagrody Kurpiowskiej, razem z zespołami folklorystycznymi z Wileńszczyzny i z Bośni, a potem na scenie patrzyliśmy na wirujące kolorowe stroje, słuchaliśmy śpiewów i gawęd. Na straganach rozłożono kurpiowskie wycinanki, sprzedawano regionalny specyfik – „psiwo kozicowe”. Rozbrzmiewała melodia „Jadą goście, jadą, koło mego sadu, / Do mnie nie przyjadą, bo nie mam posagu”. W domu sprawdziłem: tak, to była pieśń kurpiowska.

Wójt Kadzidła swój region podnosi i do ludzkości, i do polskości, w dodatku do polskości zawsze otwartej.

Wójt gminy Kadzidło nazywa się Dariusz Łukaszewski. Włodarz już 17 lat i przez większość tego czasu wnioskuję o kolejne obywatelstwa honorowe – z całej Polski. Nie jest Kurpiem, urodził się w Szczytnie, w rodzinie o korzeniach mazowiecko-wileńskich, ale osiadłszy w Kadzidle, poświęcił życie Kurpiom i uparcie włącza swój region w życie całego kraju. Mój gospodarz opowiadał, jak przed paru dniami zabrał go wójt do Kruszynian – do meczetu i mizaru tamtejszych muzułmanów. A ileż to razy celem podróży wójta była Litwa: pod jego współredakcją ukazał się niedawno dwujęzyczny, 25. tom wydawanej w Kadzidle Biblioteczki Kurpiowskiej, zatytułowany „Znad Laudy i Niewiaży”. Przed laty apelował Cyprian Norwid o „podnoszenie ludowego do ludzkości” i wójt to właśnie robi, skoro swój region podnosi i do ludzkości, i do polskości, w dodatku do polskości zawsze otwartej, w której jest miejsce i dla PiS, i dla PO, bo wójt potrafi rozmawiać z każdym... Świetny byłby z niego prezydent Rzeczypospolitej. Tylko odbierać go Kadzidłu – żal.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Waszyngtonu fantazjowanie o Indiach

Wątpliwe nadzieje na uczynienie z New Delhi kluczowego sojusznika w rywalizacji z Chinami

Howard W. French

Howard W. French jest amerykańskim dziennikarzem, pisarzem, fotografem. Uczy studentów dziennikarstwa w Columbia University Graduate School of Journalism. Pracował jako reporter, a potem jako szef biura „New York Timesa” w Afryce i w Chinach, na Karaibach i w Ameryce Środkowej. Pokłosiem jego zainteresowania Afryką i Chinami są książki, które czekają na polskie przekłady: „A Continent for the Taking. The Tragedy and Hope of Africa” (Kontynent do wzięcia. Tragedia i nadzieja Afryki), „China’s Second Continent. How a Million Migrants Are Building a New Empire in Africa” (Drugi kontynent Chin. O tym, jak milion migrantów buduje nowe imperium w Afryce), „Everything Under the Heavens. How the Past Helps Shape China’s Push for Global Power” (Wszystko, co pod sklepieniem niebios. O tym, jak przeszłość wspiera dążenie Chin do globalnej potęgi) oraz „Born in Blackness. Africa, Africans and the Making of the Modern World” (Urodzeni w czerni. Afryka, Afrykańczycy i tworzenie nowoczesnego świata). Na łamach „Foreign Policy” ukazują się cotygodniowe rozważania Frencha na temat polityki międzynarodowej. Prezentujemy fragmenty ciekawej analizy wątpliwych nadziei Stanów Zjednoczonych na uczynienie z Indii ich kluczowego sojusznika w rywalizacji z Chinami. To amerykańskie myślenie życzeniowe ma zresztą swoje realne konsekwencje. Pozwoliło New Delhi zająć pozycję giganta w zakresie importu broni. Analiza została opublikowana 21 czerwca br. w witrynie internetowej „Foreign Policy”: foreignpolicy.com/2023/06/21/modi-biden-meeting-china-counter-arms-sales-democracy-economy/.

W kwietniu tego roku Indie stały się najludniejszym państwem świata, osiągając liczbę 1,425 mld obywateli. Zepchnęły w rankingu Chiny, które dzierżyły pozycję lidera od połowy XVIII w. Wzbudziły tym samym przesadne, jak się wydaje, nadzieje, że pojawienie się na światowej scenie nowego giganta może zmienić rozwijającą się, przerażającą rywalizację o sumie zerowej pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem. To myślenie życzeniowe, albo raczej urojenie, przybiera kilka form. Jedną z nich, najmniej prawdopodobną, jest wyobrażenie, że Indie – jako największa demokracja na świecie – dojdą w jakiś sposób do porozumienia z Zachodem i wpłyną na zrównoważenie rywalizacji z Chinami. Nieco mniej naiwny wariant zakłada, że nawet jeśli Indie nigdy nie staną się cichym sojusznikiem Zachodu, ich rosnące bogactwo i potęga na tyle odwrócą uwagę Chin, iż uniemożliwią konfrontację ze Stanami Zjednoczonymi i partnerami, którym USA gwarantują bezpieczeństwo. To w związku z tymi marzeniami Waszyngton dał po raz pierwszy ciche przyzwolenie firmom z Indii, kraju niezwiązanego traktatem sojuszniczym z USA, na produkcję zaawansowanych silników do samolotów myśliwskich zaprojektowanych w Stanach Zjednoczonych. Umowa ta, w połączeniu z umożliwieniem New Delhi zakupu amerykańskich dronów Predator oraz innymi oczekiwanyymi przetomowymi decyzjami w zakresie porozumień zbrojeniowych, spowodowała, że Narendra Modi (premier Indii – przyp. P.K.) zaczął wychwalać „bezprecedensowe

zaufanie” pomiędzy jego rządem a administracją Bidena. (...)

Jest coś w bardzo dużych krajach, co sprawia, że złudzenia, które wokół nich narastają, oddziałują z niemal nieodpartą siłą. W odniesieniu do Chin jeszcze pokolenie temu panowało złudzenie, że Zachód niezmiernie się wzbogaci, sprzedając średnio jeden metr tkaniny, jedną koszulę czy jeden nowy samochód każdemu chińskiemu konsumentowi (...). W ten sposób Chiny przyciągnęły masowe inwestycje z Zachodu i rzeczywiście dokonały swoistego otwarcia. Zachodnie firmy, a także konsumenci zyskali, ale Chiny cały czas działały na własnych warunkach, co wydaje się logiczne. Oznaczało to odgródzenie wielu sektorów chińskiej gospodarki od zachodnich firm, jak również kopiowanie wielu najbardziej dochodowych biznesów stworzonych przez Zachód. Skopio-wawszy je, Chiny pozwalały działać rodzimym firmom jako narodowym czempionom i uzyskiwać ogromne zyski, chroniąc je wysokimi murami przed niechcianą, obcą konkurencją.

Rzut oka na historię indyjskiego dyplomatycznego tańca ze Stanami Zjednoczonym uprzytomnia, że co najmniej od upadku ZSRR w Waszyngtonie cyklicznie odżywały nadzieje, iż uda się skłonić Indie do zmiany ich dłuгоletniego nastawienia, że nie należy angażować się po stronie dominującego mocarstwa bez względu na to, kto nim jest. Miałem okazję opisywać taki moment, odwiedzając ten kraj za czasów premiera Manmohana Singha na początku obecnego wieku. W 2006 r. ówczesny prezydent George W. Bush zaproponował Singhowi



W 2019 r. 10% indyjskich obywateli znajdowało się poniżej progu ubóstwa określonego przez dochód w wysokości 2,15 dol. na dzień.

przełomową współpracę z USA w zakresie budowy cywilnych elektrowni atomowych, pomimo amerykańskich obaw co do indyjskiego nuklearnego programu zbrojeniowego. Podczas pierwszej z dwóch wizyt złożonych przez Singha w Białym Domu za następcy Busha indyjski premier przyjęty został z honorami jako pierwsza zaproszona przez Baracka Obamę głowa państwa. Przy każdej takiej i innej okazji Amerykanie pozwalali sobie snuć marzenia o tym, że Indie, nawet stopniowo, stworzą ze Stanami Zjednoczonymi sojusz wielkich demokracji. Pisałem już o poważnych problemach z demokracją w Indiach pod rządami Modiego i nie będę się powtarzał. Powiem tylko, że obok sceptycyzmu co do zerwania przez to państwo z polityką neutralności i zawarcia strategicznego przymierza z USA istnieją też głębokie i rosnące obawy co do zdrowia indyjskiej demokracji (potwierdzeniem tych obaw jest wysunięcie pod adresem przywódcy opozycji Rahula Gandhiego, po skrytykowaniu przezeń premiera Modiego, oskarżenia natury kryminalnej i usunięcie go z niższej izby parlamentu – przyp. P.K.). (...)

Indie cierpią na poważne niedostatki demokracji także w innym rozumieniu, np. jeśli chodzi o względnie równy udział obywateli w korzyściach płynących ze wzrostu gospodarczego. Obok informacji o prześcignięciu Chin w liczbie ludności media przedstawiały dane o spodziewanym wzroście ekonomicznym w Indiach. (...) Jakie to ma jednak znaczenie dla życia przeciętnego obywatela tego kraju? Dochód per capita stanowi tam ledwie jedną szóstą dochodu w Chinach, choć na początku lat 90. zeszłego wieku był mniej więcej równy chińskiemu. Prawdę mówiąc, przepaść między oboma krajami może jeszcze się powiększać pod rządami Modiego. Przyjmując dość szeroką definicję klasy średniej, Indie odnotowały znaczący wzrost tego segmentu populacji. Niemniej jednak w 2019 r. 10% indyjskich obywateli znajdowało się poniżej progu ubóstwa określonego przez dochód w wysokości 2,15 dol. na dzień. Oznacza to, że w Indiach ludzie wciąż są znacznie biedniejsi niż w jakimkolwiek kraju afrykańskim. Jednocześnie około jednej czwartej populacji pozostaje analfabetami,

a wiele osób ma tylko szczątkową umiejętność czytania i pisania. Również odsetek pracujących kobiet spadł w ostatnich latach do zaledwie 23%. To nieco ponad jedna trzecia poziomu obserwowanego w Chinach i w wielu krajach zachodnich. Jest prawdopodobne, że uprzemysłowienie w Indiach, które wielu ekonomistów postrzega jako najpewniejszą drogę wyjścia z ubóstwa, osiągnęło szczyt w 2002 r.

[Nasuwa się pytanie], dlaczego kraj o zarysowanym wyżej profilu miałby być największym importerem broni na świecie. Przywódcy Indii (...) winni to uzasadnić (...). Oczywiście częścią odpowiedzi może być problem z Chinami, który motywuje Zachód do współpracy w tym względzie, pomijając zwykłą (zachodnią – przyp. P.K.) pogoń za zyskiem.

Ale inną, prawdopodobnie ważniejszą częścią odpowiedzi w kontekście zbrojenia się Indii jest ich sąsiad i główny rywal – Pakistan. Gospodarcza kondycja tego kraju i dobrobyt obywateli stoją pod jeszcze większym znakiem zapytania niż w Indiach, a mimo to wydaje on ogromne pieniądze na wojsko. Indie i Pakistan – dwa państwa posiadające broń nuklearną – nie zaznały prawdziwego, stabilnego pokoju, odkąd w 1947 r. zostały od siebie oddzielone i uzyskały niepodległość z rąk Wielkiej Brytanii. Waszyngton naciska ponoć na Arabię Saudyjską, aby znormalizowała stosunki z Izraelem. Które jednak z wielkich mocarstw – Stany Zjednoczone, sojusznik Pakistanu Chiny, Rosja albo Europa – angażuje swoją dyplomację na wysokim szczeblu, aby pomóc trwale pokonać różnice dzielące tych południowoazjatyckich rywali w sprawie Kaszmiru oraz w innych kwestiach? Fakt, że nie sposób tu kogokolwiek wskazać, obnaża okropną rzeczywistość rywalizacji wielkich mocarstw – niezmiernie rzadko ma ona na uwadze dobro wspólne.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

Zaorać przeciwnika

Korwin karmi się oczekiwaniem ludzi, że coś się wydarzy

Rozmawia Mateusz Demski

Nęci cię w książce eksperyment, by sobie wyobrazić, że królem Polski zostaje Janusz Korwin-Mikke.

– Tak, z tytułem Jego Wysokość Janusz Korwin-Mikke Pierwszy Król Wszytek Ziem Polskich ku Chwale Boga Konfederacko Zjednoczonych, ale gdy nurkuję w swoją wyobraźnię, karoca zamienia się w dynię, doradcy w szczury, król kuśtyka po schodach, pijąc z pantofelka, i krzyczy: *pro fide rege et lege!* (za wiarę, króla i prawo – przyp. red.), królowa drobi za nim kroczkami gejszy, córki dworu zmienione w złote rybki ćpają z kadzielnicy, hrabiowie jak smoki chleją z fontanny, zagryzając korniszonami, a potem król każe ściąć chorą na syfilis wróżkę chrzestną, uprzednio nieco ją gwałcąc – co miało pewne uzasadnienie w obyczajach ludzi związanych z Konfederacją.

Wiem, czyta się to inaczej niż moje poprzednie książki, bo „Chłopcy” nie są zbiorem monologów na temat rzeczywistości, w których jestem jedynie przekątnikiem. By zajrzeć do świata korwinistów i konfederatów, musiałem wejść tam cały, pobawić się literaturą i teatralnym przedstawieniem tego świata. Nie mógłbym też bezkrytycznie cytować anegdot Korwina – a uwielbia je stosować do ubarwienia wywodu – bo bywają nonsensem.

Korwin mówił o czarnuchach, o obijaniu mord i paleniu ciągników protestującym rolnikom, o biciu dzieci, o kobietach, które zawsze troszczyły się gwałci. By przywołać tylko parę przykładów.

– Korwin zawsze był medialnym ekspansjonistą bez granic, mniej lub bardziej oderwanym od rzeczywistości. Już w latach 70., gdy zaczął pisać, jego teksty pokazywały



MARCIN KĄCKI

nie tyle nawet determinację, ile pasję wobec wielu wspomnianych przez ciebie tematów. W głębokim PRL-u promował ultraliberalizm, pisał o walce z podatkami, kiedy w zasadzie ich nie było, bo nie było sektora prywatnego. Nienawiść do kobiet i jego mizoginistyczne felietony to też już lata 70., podobnie jak tekst o narkomanach „Niech wymrą”. Dla jednych to dowód stałości poglądów, dla drugih – rozmiłowanie się z przemianami społecznymi albo odrzucanie rzeczywistości. A w ostatnich latach dostał internet, czyli nową platformę do szerzenia tych poglądów.

Na Facebooku obserwuje go ponad 20 tys. osób.

– Jeszcze do niedawna, nim zamknęli mu konto, miał 800 tys. W latach 80. prowadził małą, niszową gazetkę „Stańczyk”, potem pisał felietony w „Najwyższym Czasie!”. Kiedy odkrył Twittera, Facebooka, mógł na nieporównywalnie większą skalę przekonywać do swojej wizji. Jest przy tym urodzonym performerem, to jego żywioł. Karmi się oczekiwaniem ludzi, że coś się wydarzy.

Oglądałem archiwalne nagrania spotkań z nim i widziałem, że przez kilkanaście minut potrafi mówić bez sięgania po argumenty skrajne, ale nigdy nie wytrzymuje. Jak sala przysypia, to wyjeżdża z wątkami pobudzającymi. Korwin wie, że w internecie – tak jak kiedyś w telewizji, w radiu – wygrywają ci, którzy mają pod ręką szybkie hasło, populistyczny greps, by – jak mówią jego zwolennicy – zaorać przeciwnika. Zresztą przecież sieć to nie miejsce na merytorykę czy umiarkowane poglądy, one są tam objawem słabości.

I myślisz, że to przyciąga młodzież?

– Kiedy jesteś nastolatkiem, to masz chłonny umysł, ale nie na tyle dojrzały intelektualnie, żeby być krytycznym wobec każdej materii. Nie nuansujesz rzeczywistości. Nie bierzesz pod uwagę tego, że życie społeczne to równanie z wieloma niewiadomymi. Korwin w gruncie rzeczy jest dla dzieciaków jak nauczyciel matematyki od równań z jedną niewiadomą. Jeśli z firmą ci nie idzie, to winna jest Unia Europejska; jeśli w szkole ci nie idzie – winny lewacki system edukacji; jeśli

z kobietą ci nie idzie – winna kobieta. Dla młodego człowieka, spragnionego wiedzy, ale też podatnego na formatowanie, to podróż zawsze do wyniku zero-jedynkowego. Pamiętajmy poza tym, że w pewnym momencie Korwin został królem internetu. Nikt tak nie potrafił poruszać się w sieci. Kiedy inni politycy zastanawiali się, gdzie jest spacja na klawiaturze, on wprowadził mikropłatności na swoją kampanię wyborczą i objaśniał świat na YouTube. W 10-minutowym filmiku udzielał odpowiedzi na wszystkie pytania: od seksu i kobiet, przez gotowanie, po naprawianie gospodarki, edukacji, historię, przemysł zbrojeniowy, wojnę i życie zwierząt, a to często porównując z osobami LGBT+.

Przypomina mi się wypowiedź Ludwika Dorna z twojej książki, który wspomina, jak w klasie jego córki wszyscy w wyborach przewodniczącego zagłosowali na głupka i chuligana. Kiedy zapytał ją, dlaczego, odpowiedziała: „Bo się umówiliśmy, że będzie śmiesznie”. W Polsce część wyborców też się umówiła, że chce śmiesznie. Korwin na tym płynie.

– Wykorzystuje generatory algorytmów, które promują to, co w danej chwili jest popularne. Tak działa internet: czytane jest to, co jest popularne, bo jest popularne. Polecam tu raport firmy badawczej WiseRabbit za 2022 r. o najmłodszych pokoleniach korzystających z sieci. Wynika z niego, że za wiarygodne uznają one te informacje, które są właśnie popularne. Ostoja wiarygodności są dla nich youtuberzy i influencerzy, ale co się dziwić, skoro Quiny Mirjam ma ponad 3,5 mln obserwujących, a pod jej filmem o tym, jak najlepiej zawiązać kucyk, jest tysiąc komentarzy.

Korwin powiedziałby, że jej miejsce jest w kuchni.

– Jest świadomy, że mamy silne spory dotyczące emancypacji kobiet. Pewnego razu przychodzę do niego, a on mówi: „Idę do Stanowskiego, muszę przyostrzyć o kobietach, bo to nośny temat”. „Po co?”, spytałem, a on, że wtedy media o nim mówią. I rzeczywiście, po tym jak Korwin obrażał kobiety, wskaźnik trendów Google’a nagle skoczył mu do góry. Korwin ma jakąś intuicyjną wiedzę

By zajrzeć do świata korwinistów i konfederatów, musiałem wejść tam cały.

na ten temat, jest długo w tej grze i doskonale potrafi tym żonglować. Nawiasem mówiąc, był też brydzytą, mistrzem kraju, i jego przyjaciele mówią, że dzięki temu nabył umiejętność wprowadzania przeciwnika w stan fałszywej świadomości.

Zastanawia mnie, czy ta strategia przynosi Korwinowi korzyści polityczne. Pisziesz, że sami internauci ukuli frazę, że „Korwin uruchamia protokół 1%” – tuż przed wyborami kompromituje partię wypowiedziami o Hitlerze, Żydach, kobietach, gejach, przez co słupki poparcia spadają.

– Gdy zaczyna mówić wszystko, co myśli, wychodzi z tego – na pierwszy rzut oka – połączenie fałszyzmu, ksenofobii, mizoginizmu i nienawiści do wszelkich „jednostek słabych”, które uważa za frajerów i darmozjadów. Dlaczego hajluje w euro-parlamencie? Nie znalazłem u niego fascynacji Hitlerem i hitleryzmem na poziomie bazy ideologicznej. Robi to raczej dlatego, że nie wolno, że robienie tego bulwersuje,

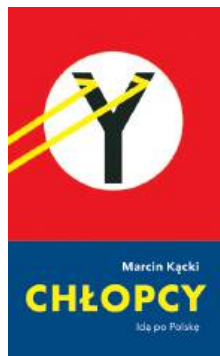
a to, co bulwersujące, łąduje w mediach. Wykorzystuje zatem mechanizmy samych mediów. I ponieważ tak mu się podoba. Możemy założyć, że tkwi w nim taki demon nieprzewidywalnego 10-latk. Potwierdzają to członkowie rodziny, którzy mówią, że ma w sobie dziecięcą przekorę. A według działaczy nie ma żadnych hamulców, bo ma zbyt dużą potrzebę uwagi i już trzy pokolenia korwinistów chciały go chować na wybory.

Byli tacy, którzy wprowadzali go w błąd co do miejsca spotkania w kampanii.

– Choćby we Wrześni w 2007 r., ale i tak przyjechał, wszedł na scenę, było dobrze, odetchnęli, ale gdy miał kończyć, zobaczył dziewczynkę na wózku inwalidzkim i chlapaną, że zdrowe dzieci nie powinny się zadawać z kalekimi. Nawet jeśli się wie, jak w demokracji działają instrumenty wpływu i odbioru, pewnych rzeczy się nie mówi z przyzwoitości, dla zachowania kultury politycznej, ale dla niego to raczej zbyt mało przekonujące powody.

A czy wyobrażasz sobie polską albo jakąkolwiek inną politykę bez takiego Korwina? Sam piszesz o alt-rightowcach w USA, których można uznać za multi-Korwinów i którzy mają kosmiczny wprost wpływ na młodych Amerykanów.

– Każdy kraj ma takie postacie. Korwin jest tak naprawdę produktem demokracji, którą gardzi. W PRL-u był dwukrotnie internowany za działalność opozycyjną, bo totalitaryzm dopuszcza tylko jedną skrajność, swoją własną. Piękno, ale też paradoks demokracji polega właśnie na tym, że mamy ludzi z lewa, z prawa, z centrum i radykałów. Zresztą przy takiej polaryzacji nie ma dzisiaj neutralnych politycznie liderów opinii. Każdy kanał na YouTube jest medium tożsamościowym i albo sięga po polityczne metafory, albo znajdują się one w komentarzach. Nawet w mojej „Wyborczej”, gdy ▶



Marcin Kaćki – reporter, redaktor magazynu „Wolna Sobota” w „Gazecie Wyborczej”, dramaturg. Autor książek, m.in. „Maestro. Historia milczenia” (2013), „Białystok. Biała siła, czarna pamięć” (2015), „Poznań. Miasto grzechu” (2017) czy „Oświęcim. Czarna zima” (2020). Jego najnowsza książka to „Chłopcy. Idą po Polskę”.

► wejdiesz w artykuł, założmy, o zwyczajach dzikich kaczek, w komentarzach znajdziesz wpisy typu „Kaczyński może stąd odlecieć”.

A w rolę medium tożsamościowego, gdy uczestnicy odnajdują w nim swoje poglądy, wchodzi dzisiaj prawie każdy profil w social mediach. Jeżeli ktoś ma kilkadziesiąt tysięcy obserwatorów, to już jest prawie kościół, z liderem, czyli kapłanem, strażnikami doktryny i zwieraniem szeregów wobec ataku. Nie da się na takim profilu dyskutować z wyznawcami i nieważne, czy mówimy o fandomie prawicowym, czy lewicowym. Korwin też ma taki kościół, w którym wierni nie pozwolą skrzywdzić kapłana i jego doktryny, a każdą, nawet najbardziej bzdurną tezę, typu „jak Grenlandia stopnieje, to będzie więcej wody, a nie susza”, uznają za oranie lewaków.

Mamy zatem miliony takich kościółków, a dekadę temu doszła nowa religia, czyli manosfera, społeczność sfrustrowanych przemianami obyczajowymi i kulturowymi młodych mężczyzn, którym blisko do Korwina i jego mizoginizmu.

Ten wizerunek ma swoją nazwę, mówi się o incelach. W USA już ponad dekadę temu odnotowano nagły wzrost liczby mężczyzn, którzy definiują się poprzez niezdolność do nawiązania relacji z kobietami. Ich wściekłość stała się paliwem politycznym dla Donalda Trumpa.

– Jest na ten temat świetna książka, „Kill All Normies” Angeli Nagle, która przestudiowała tę grupę społeczną w USA i jej przejście z subkultury do mainstreamu. Są już badania społeczne, które mówią o porzuceniu i osamotnieniu dotykającym tych mężczyzn i o tym, jak wielu z nich pozostaje na utrzymaniu rodziców. Siedząc w domu, uciekają w gry wideo i pornografię. Podobne zjawisko widać w Polsce, choć nie jest jeszcze dobrze zbadane. Nie zajmuje się tym ani lewica, ani prawica, ciągle niewiele wiedzą o tym również dziennikarze.

Wiemy, że prawie połowa młodych mężczyzn w wieku 18-35 lat chce głosować na Konfederację. To oczywiste, że słuchają haseł Korwina, Mentzena, Berkowicza o tym, że

przyczyną ich problemów jest emancypacja kobiet i ich silniejsza pozycja na rynku pracy. Liderzy opinii incelowych pielęgnują ten gniew. Karmią swoich followersów ginocentrycznymi teoriami, czyli że kobieta jest biologicznie uwarunkowana do szukania silnego samca i siedzenia w domu. Albo czytają Rolla Tomassiego, który przekonuje, że kobieta powinna być wisienką na torcie męskiego życia, nigdy głównym celem. Wszystko zgodnie z dowcipem Korwina, że jak kobieta jest w salonie, a nie w kuchni, to znaczy, że łańcuch jest za długi.

W internecie czytane jest to, co jest popularne, bo jest popularne. Najmłodsze pokolenia za wiarygodne uznają te informacje, które są popularne.

W USA incele stali się realną siłą polityczną, co ma dramatyczne skutki. Piszesz o youtuberze, który w internecie narzekał na odrzucenie ze strony kobiet, aż pewnego dnia zadźgał nożem trzech kolegów, zastrzelił dwie studentki i staranował samochodem kilku przechodniów. I tym zainspirował do zamachów kolejnych.

– Większość strzelanin, do których w ciągu ostatnich 15 lat w Stanach Zjednoczonych doprowadzili biali mężczyźni, miała podglebie mizoginistyczne: Rodger, Harper-Mercer, Crusius czy Betts, który przed mordem zrobił listę „szmat do zgwałcenia”. To chłopcy ledwo 20-letni, którzy zostawili manifesty o nienawiści do kobiet. W Polsce nie ma jeszcze łatwego dostępu do broni, co postuluje Konfederacja, a przecież i tak według różnych badań 400 kobiet rocznie ginie u nas w wyniku przemocy.

Najważniejsze jednak, że do kultury politycznej został włączony język pogardy, który dał incelom zielone światło do jawnej nienawiści. Donald Trump z „łapania za cipki” zrobił niemal swoje hasło wyborcze, a Roosh Valizadeh, amerykański blogger altrightowy, pisał po wygranej Trumpa, że jeśli teraz tak mówisz, to mówisz jak prezydent Stanów Zjednoczonych.

Cytujesz tu Jakuba Majmura, który pisał w „Krytyce Politycznej” o tym, jak amerykańska alt-prawica, konserwatywna część sieci tworzą swój język mizoginii i antyfeminizmu, zdobywając w ten sposób elektorat. Stwierdził on jednocześnie, że lewicowo-liberalny świat nie potrafi równie skutecznie zagospodarować sieci. Nie umie nawet rozmawiać sam ze sobą.

– W tym felietonie, który w gruncie rzeczy przeszedł bez echa w lewicowej bańce, Majmurek zarzucił

lewicy skłonność do dogmatyzmu. Zobaczmy: po prawej stronie liderem może być zdemoralizowany typ, taki jak Trump, jeśli tylko robi „coś w naszej sprawie”. Lewica ciągle szuka świętych bez skazy, lewicowego Dalajamy, choć i jego autorytet ostatnio upadł. To jak w aktywizmie, gdzie nie ma miejsca na najmniejszy brak spójności. No ale w końcu mamy kilka aktywistycznych rewolucji naraz, a skoro tak, to wiadomo, że ruchy rewolucyjne pilnują struktur przez systematyczne testy na jednolitość i spójność ideologiczną.

Mam też wrażenie, że ludzie z lewej strony dyskursu przez tę wewnętrzną czujność obawiają się nawet nie jakichś konfederatów, ale własnej grupy kulturowej, by nie zostać przytłaczanym na niespójności. A to obniża jakość debaty, bo rzadko wychodzi ona poza przewidywalny i poprawnopolityczny dyskurs.

Dla prawicy takie kwestie chyba nie mają znaczenia.

– Bywalcy forów konfederackich nie odczuwają strachu przed ostracyzmem, dlatego że nikt ich nie kanceluje (od *cancel culture*, kultura unieważniania – przyp. red.), bo kancelowanie dotyczy własnego środowiska, któremu daje to poczucie sprawczości. A jak skancelować takiego Korwina, który ma to gdzieś? Albo, nie wiem, ministra Czarnka, za

którym stoi cały rząd, który również jest niekancelowalny?

Dlatego prawicowy internet zagospodarował nie tylko to, co wulgarne, perwersyjne, zdemoralizowane, ale i poczucie humoru w stylu „South Parku”, gdzie atakowano wszelkie świętości i poprawności, i jawi się młodym jako wolnościowy.

Kancelowanie odbywa się i z lewa, i z prawa, ale to lewica wiezie prym w *no platform!* – pomijaniu w dyskusji skrajnych idei. No i takie *no platform* mieliśmy z konfederatami i incelami, a teraz mają oni 15%. Nic nie znika, gdy ci się nie podoba, tylko schodzi pod radar.

No właśnie, tak pojmowany kanceling usuwa problemy z widoku, sypcha je głębiej.

– Dwa lata temu obserwowałem dyskusję Korwina w internecie z młodzieżówkami partyjnymi. Na czacie było kilkuset zagniewanych korwinistów i prawie nikogo z innej opcji politycznej, kto broniłby i wspierał swoich rozmówców. Z żalem patrzyłem, jak bezwzględnie upokarzani są działaczka lewicowa i chłopak od liberatów. Z jednej strony można zrozumieć, że ktoś nie chce się konfrontować z kimś, kto posługuje się językiem pogardy, ale z drugiej, jeśli odda się wszystkie pola, to inni pomyślą – zwłaszcza w sieci, zwłaszcza młodzież – że to oni mają rację i że przewodzą. I być może dlatego Konfederacja jest skuteczniejsza, bo stwarza swoją dyscypliną pozory wszechobecności. Oczywiście nurt lewicowy czy liberalny nie dopuszczają dyscypliny i hierarchizowania, mają w swojej naturze kontestację, nawet wewnętrznych struktur, weryfikację autorytetów, ale potrafią tygodniami rozbijać się między sobą w inbach o najmniejsze ideologiczne pierdolety, a nie pójść na konfrontację z korwinistami, bo się brzydzą albo *no platform!*

A jeszcze w tym całym bluszczu informacyjnym toczą się niezwykle intensywne wojny kulturowe: o prawa osób LGBT+, kobiet, osób opresjonowanych. Te wojny, choć przecież słuszne, też wykorzystują radykalne hasła, co rodzi jeszcze większą kontrewolucję po drugiej stronie.

Ale w Konfederacji także nie ma zgody, to nie jest łatwa koalicja. Trudno powiedzieć, co tych wszystkich ludzi, takich jak Korwin, Winnicki i Braun, skleja.

– Łączy ich nienawiść do lewactwa i wewnętrzne poczucie wolności w kontrze do państwa. Sami korwiniści dzielą się na tyle odłamów, że nawet w książce nie wystarczyło na wszystkich miejsca. Libertarianie, którzy państwo uważają za opresję; paleolibertarianie, czyli konserwatywni libertarianie, którzy nie ufają ludzkiej naturze, więc dla nich drogowskazem jest Kościół i silna rodzina; monarchiści; minarchiści; anarchokapitaliści; zieloni konserwatyści. Braun to już w ogóle wyższe studium performatywne – trudno powiedzieć, na ile to cynik, na ile organiczny trickster (ktoś, kto oszukuje, zwodzi, myli tropy – przyp. red.), który chce, żeby na tronie Polski zasiadała Matka Boska ze swoim synem. Polecam Konfederację Gietrzwałdzką i kilkustronicowy manifest Brauna, który mówi – o ile dobrze zrozumiałem, bo to zawiła lektura – że gdyby Jezus Chrystus wrócił, to trzeba mu się oddać w jakimś porządku admi-

może dostać premię zaufania za niezłomność i teatralną obstrukcję.

Na koniec chciałbym zapytać, czy nie było ci trudno wejść w szeregi chłopców, jak ich nazywasz, idących za Korwinem, ludzi, którzy sięją kseno- i homofobiczną oraz antyfeministyczną propagandę? Nie pojawił się w tobie cień moralnej wątpliwości?

– Jestem reporterem. Ciekawi mnie człowiek i to, z czego jest zbudowany, a z reguły składa się z dobrego i złego. Wydaje mi się, że to dobro jest raczej niehumanitarne, dlatego ciągnie mnie do natur skomplikowanych. Byłem oskarżany o to, że rozmawiam z Maestro, czyli pedofilem, że chodzę do faszystów w Białymostku, ale rolę reportera jest słuchać ludzi i pokazywać czytelnikom niuanse świata – nawet jeśli nie akceptują poglądów bohaterów. Teraz chodziłem do Korwina i jego ludzi. Nigdy nikt nie traktowałem jak demona, po prostu jestem ciekaw, skąd się bierze taki system poglądów, który będzie miał wpływ na przyszłość i rozwój świata, choć w książce wykorzystuję na ostro ironię, bo to jakoś moje naturalne narzędzie twórcze.

Korwin jest tak naprawdę produktem demokracji, którą gardzi.

nistracyjnym. Do tego Mentzen apelujący do młodych przedsiębiorców, że mogą latać i generować tyle śladu węglowego, ile tylko będą chcieli, a który na razie pochował swoje stare pomysły typu 10 lat za aborcję i pruje z falą sondażową i piwną.

Myślisz, że naprawdę mają szansę w wyborach na jesieni?

– Widać pewne sondażowe tendencje. Na pierwszej linii pojedynku między Koalicją Obywatelską a Prawem i Sprawiedliwością. Na trzecie miejsce wysuwa się Konfederacja. Czy opozycja wygra przy tak dużym rozbiściu? Wątpliwe. Jeśli wygra PiS, to ma raczej rząd mniejszościowy i koalicję z Konfederacją, choć Mentzen przekonuje, że to wykluczone. Jestem jednak ciekaw, czy wytrzyma ciśnienie dołów na stanowiska, a jeśli wytrzyma – to wcześniejsze wybory. Konfederacja

Już pięć, sześć lat temu widziałem pewne tendencje, a gdy trzy lata temu zacząłem pisać książkę, były one bardzo silne. Wygrana Trumpa, brexit, wojny kulturowe, ruch #MeToo. To były silne akcje, które musiały wywołać reakcje. Nie przypuszczałem jednak, że moja książka tak szybko stanie się aktualna, a Konfederacja już w tych wyborach będzie liczącą się siłą.

Na tym – jak sam powiedziałeś – polega paradoks demokracji.

– Demokracja oprócz tego, że jest piękna, wspaniała i możemy się w niej rozwijać, bywa też – jak pisał Henry Louis Mencken, którego cytuję na początku książki – kultem szakali wyznawanym przez osły. A w tym wszystkim jest ta nasza mała Polska. Pytanie, z jakim rządem jesienią.

Mateusz Demski

Trzeba zniszczyć ten teatr

Próby poskromienia niesforne Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie i jego dyrektora Krzysztofa Głuchowskiego trwają już grubo ponad 500 dni

Tomasz Miłkowski

Pod koniec czerwca marszałek województwa małopolskiego wyjawiał zamiar ogłoszenia konkursu na stanowisko dyrektora Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że kontrakt kierującego tym teatrem Krzysztofa Głuchowskiego kończy się 31 sierpnia 2024 r., a więc za rok z okładem. Co więcej, marszałek Witold Kozłowski chce rozstrzygnąć konkurs do października tego roku. Oznacza to, że ewentualny kandydat na stanowisko miałby nie więcej niż miesiąc na przygotowanie koncepcji programowej swojej dyrekcji, co zamienia konkurs w farsę. Skąd ten pośpiech?

Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Próby poskromienia niesforne teatru trwają już grubo ponad 500 dni, a ich kalendarium dowodzi rzadkiej konsekwencji w dążeniu do pozbycia się dyrektora i przekazania teatru pod wygodniejsze dla władzy skrzydła. Prawdę mówiąc, samorząd małopolski, który jest organizatorem Teatru Słowackiego, nie interesował się jego pracą aż do wystawienia „Dziadów” Adama Mickiewicza w reżyserii Mai Kleczewskiej (premiera 19 listopada 2021 r., w 120. rocznicę premiery „Dziadów” pod kierunkiem Stanisława Wyspiańskiego). A ściślej – aż do momentu, gdy zdecydowanie negatywną opinię o tej inscenizacji wyraziła małopolska kurator oświaty Barbara Nowak. Wprawdzie pani kurator spektaklu Kleczewskiej nie widziała, ale nie przeszkodziło jej to w sformułowaniu zalecenia dla szkół: „ODRADZAM organizację wyjść szkolnych na spektakl »Dziady« w Teatrze J. Słowackiego. W mojej ocenie, haniebne jest używanie

dziela wieszcz A. Mickiewicza dla celów politycznej walki współczesnej opozycji antyrządowej z polską racją stanu”. Opinię pani kurator wsparł minister Czarnek, który także „Dziadów” nie widział, ale uznał, że służą tej sprawie.

Na tym się nie skończyło, bo wkrótce odezwał się minister kultury prof. Piotr Gliński, wówczas jeszcze wicepremier, który wyraził przekonanie, że kontrowersyjność „Dziadów” (on też ich nie widział) przekroczyła dopuszczalne granice, i wycofał się ze współfinansowania „Słowaka”, pozbawiając teatr niebagatelnej dotacji, co postawiło pod znakiem zapytania przygotowanie kolejnych premier w sezonie. Z pomocą pośpieszyli wtedy widzowie, którzy w odpowiedzi na apel teatru złożyli się na uzupełnienie brakującej kwoty. Dzięki temu doszło do premiery musicalu „1989”, kolejnego wielkiego hitu teatru.

Tymczasem walka władzy z teatrem nasilała się, bez związku zresztą z jego kondycją artystyczną i niebawem powodem „Dziadów”, a potem innych spektakli.

Paliwa do wendety przeciw teatrowi dostarczyła zapowiedź występu, a potem koncert w jego murach Marii Peszek. Wywołało to istny szok u marszałka i jego akolitów, poruszonych domniemaną „wulgaryzacją sceny”. Rozsierdzony Kozłowski zapowiedział rychłe odwołanie Głuchowskiego, odpowiedzialnego za naruszanie teatralnego sanktuarium. Trafiła jednak kosa na kamień i dyrektor nie ustąpił pod groźbą expulsi. Ponieważ marszałek nie znalazł sposobu, aby pozbyć się dyrektora za niesubordynację programową – prawo gwarantuje bowiem samodzielność programową dyrekcji – intensywnie szukano haków. Tak

„haczek” znaleziono, bo dyrektor, jak się okazało, w okresie pandemii wynajął firmę sprząającą bez przetargu, dzięki czemu – uwaga! – zaoszczędził pieniądze teatru. W opinii marszałka było to wykroczenie wielkiej wagi, rozpoczął więc procedurę odwoławczą, kierując skargę do odpowiednich organów kontrolnych. Organy nie podzieliły opinii marszałka o wadze domniemanych nadużyć i nie sformułowały wniosku o odwołanie dyrektora, co wcale nie przeszkodziło marszałkowi w kontynuowaniu tzw. procedury odwoławczej i posuwaniu się w tym poza wszelkie przewidziane prawem granice. W zasadzie procedura taka trwać może miesiąc, a w wyjątkowych wypadkach dwa miesiące. Kiedy rozmawiałem z dyrektorem Głuchowskim na początku roku, mijało 12 miesięcy (teraz mija ponad 500 dni) od wszczęcia tego permanentnego stanu odwoławczego, co Krzysztof Głuchowski oceniał jednoznacznie jako dewastujący pracę teatru mobbing. „Fakty są takie: to trwa – mówił dyrektor – jestem mobbingowany przez organizatora, poddawany codziennej presji. Zmagam się z trudnościami finansowymi, ponieważ pieniądze, które daje organizator, nie są wystarczające. Każdego dnia ktoś może mnie odwołać. Nie znam dnia ani godziny – tak się nie pracuje”.

Ten stan nieustannego napięcia potwierdza Lidia Bogaczówna, aktorka związana z Teatrem Słowackiego niemal od 40 lat: „Jesteśmy wykończeni psychicznie. Jak w takich warunkach skupić się na grze, skoro dopada nas bolesna prawda życia? Nie znamy naszej przyszłości, przyszłości naszego teatru, któremu oddaliśmy wszystkie nasze siły i marzenia ostatnich lat. Udało nam się, opłaciło się i teraz politycy, którym



Za dyrektorem stoi zespół teatru. Nz. konferencja prasowa w związku z rozpoczęciem procedury odwołania Krzysztofa Głuchowskiego. Kraków, 17 lutego 2022 r.

teatr jest obojętny, bo nie chodzą, mają to zepsuć w imię... no właśnie, w imię czego? Osobistych ambicji? Nierozumienia misji teatru? Wolności twórczej, która się nie poddaje? Niech się politycy zajmują sobą, tam się kłóć, niszczyć, dzielić, wykańczają, a nam niech dadzą w spokoju zajmować się przywarami ludzkimi”.

A jednak dyrektor Głuchowski i cały zespół wciąż pracują pod tą silną presją. Teraz dodatkowo marszałek rozpoczyna wspomniany konkurs na stanowisko dyrektora. To rodzaj symptomatycznej odpowiedzi na skierowany do niego list zespołu „Słowaka” z postulatem przedłużenia kontraktu Krzysztofa Głuchowskiego na kolejną kadencję. Protest zespołu wobec tego nowego pomysłu marszałka spotkał się z milczeniem urzędu. Podobnie jak wyrazy solidarności ze strony innych teatrów, artystów, polityków czy radnych Krakowa.

Lidia Bogaczówna apeluje do marszałka: „Całe środowisko, kolejne teatry apelują o wycofanie się z zaplanowanego konkursu. To nie wstyd wycofać się po tak szerokich »konsultacjach« społecznych – bo apelują również Widzowie. Zmiana decyzji

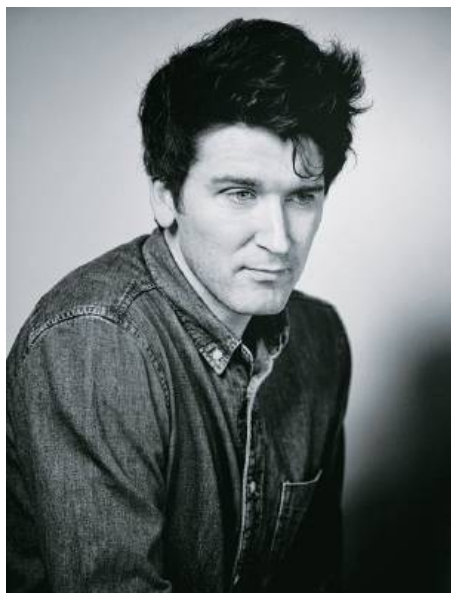
świadczyłaby o Pańskiej mądrości, przezorności i trosce o tę wspaniałą rozwijającą się instytucję kultury. Powinien Pan być z nas dumny, przykro, że Pan tego nie okazuje, bo zdobyliśmy w ciągu ostatnich lat najważniejsze nagrody. Widzowie przyjeżdżają do nas z całej Polski, bilety do nas się zdobywa. Co Pan miał na myśli, pisząc, że konkurs przyczyni się do dalszego rozwoju? Jeszcze więcej nagród? Jesteśmy na tej drodze, ale na to trzeba pracować parę lat”.

Agnieszka Przepiórska, aktorka, która dołączyła do „Słowaka” dwa lata temu (w obsadzie „Dziadów” jako pani Rollison, ostatnio w spektaklu „Szymborska. Kropki, przecinki, papierosy” w roli tytułowej), solidaryzuje się z zespołem: „Dołączyłam do Zespołu Teatru Słowackiego właśnie ze względu na Krzysztofa Głuchowskiego. Intuicyjnie czułam, że ten znakomity zespół pod jego przewodnictwem jest na fali wznoszącej. Pracowitość aktorek i aktorów, oddanie teatrowi i sztuce, a z drugiej strony opieka formalna, cały system antyprzemocowy, formularze ewaluacyjne sprawiają, że Teatr Słowackiego stał się dla mnie bezpieczną

i rozwojową przestrzenią do pracy i spełniania artystycznych marzeń. Krzysztof Głuchowski uzmysłowił mi, że artyści nie mogą być marginalizowani, że nasza praca jest istotna i buduje tkankę społeczną. Mamy prawo mówić donośnym głosem i nasze postulaty powinny być uwzględnione albo chociaż wzięte pod uwagę. Niepokojąca jest buta i arogancja, z jaką marszałek się do nas odnosi”.

Część artystów i obserwatorów uważa, że to osobista niechęć Kozłowskiego do dyrektora. Może. Ale w gruncie rzeczy to mało istotne, bo jakkolwiek oceniać tę sytuację, wpisuje się ona w realizowany przez Prawo i Sprawiedliwość plan podporządkowania wszystkich instytucji artystycznych, aby za ich pośrednictwem rozstrząsać jedynie słuszną piśmowską wizję świata.

A dlaczego konkurs ma się odbyć w trybie ekspresowym? To proste: lichy nie śpi, w razie przegranych przez PiS wyborów nowy minister kultury z kręgów dzisiejszej opozycji mógłby konkurs odwołać albo unieważnić. Jeśli dyrektor zostanie wybrany i powołany przed wyborami, trudniej będzie to odkręcić. ■



29. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Marcin Masecki Big Band – Suita Jubileuszowa

Marcin Masecki to jeden z najbardziej wszechstronnych i oryginalnych polskich muzyków. Pianista, kompozytor, dyrygent, aranżer, pedagog. Wirtuozowskie łączenie gatunków i łamanie granicy między sztuką wysoką a rozrywkową stało się jego znakiem rozpoznawczym. Z okazji 70-lecia odbudowy Starego Miasta przygotował specjalną „Suitę Jubileuszową”. Składają się na nią m.in. fragmenty jego trzech symfonii, koncertu fortepianowego i polonezów. Usłyszymy je w nowych aranżacjach na orkiestrę jazzową, z udziałem znakomitych muzyków. Suitę zwieńczy premiera utworu napisanego dla Starówki, zatytułowanego „Chodźcie wszyscy na Starówkę”. Koncert organizowany jest wspólnie z Muzeum Warszawy. A Starówka świętuje urodziny od piątku do niedzieli, 21-23 lipca. Chodźcie wszyscy!

(ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl oraz urodzinystarowki.pl.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 22 LIPCA, GODZ. 19

KURTYNA W GÓRĘ

NA POWAŻNIE

Przymiarka do epopei

Nie pierwsza to próba scenicznej (także jednoosobowej) prezentacji „Pana Tadeusza”, ale bodaj pierwsza tak ukazana. Stanisław Miedziwski, mistrz reżyserii monodramów, i Mateusz Nowak, mający za sobą kilka spektakli zrealizowanych z Miedziwskim, zaprosili na pokaz – przymiarkę do monodramu. Miała to być próba przyszłego spektaklu, czegoś, co się wykluje i po konfrontacji z widzami stanie bardziej konkretne.

Tymczasem fragmenty Mickiewiczowskiej epopei interpretowane przez Nowaka, któremu Miedziwski na żywo przekazywał swoje sugestie, wpisując strofy poety w swoje własne wspomnienia i sieć skojarzeń, okazały się spektaklem pełnym, choć niegotowym, którego siłą było ukazanie procesu pracy nad tekstem, jego sensem i głębszym znaczeniem. Przy okazji wyszło na jaw, że „Pan Tadeusz” wcale nie jest taką miłą gawędą ku pocieszeniu serc, jak mogłoby się wydawać, ale zawiera wiele wątków o gorzkiej wymowie i dalekich od radosnego delectowania się przeszłością. Tak czy owak, publiczność podczas słupskiego festiwalu Sam na Scenie przyjęła tę formułę dyskursu z entuzjazmem. Może więc warto potraktować te pokazy jako gotowe nie-przedstawienie, otwarty warsztat, który z jednej strony pozwala wnikać za kulisy pracy nad spektaklem teatru jednego aktora, a z drugiej odkrywa mniej widoczne na pierwszy rzut oka walory powszechnie, wydawałoby się, znanego utworu. Gorąco namawiam twórców i producentów tego pokazu, aby nie poniechali formy publicznego zmagania się z dziełem Mickiewicza.

Tomasz Miłkowski



„Impromptus. Opus powojenne”
według „Pana Tadeusza”
Adama Mickiewicza,
próba monodramu, reżyseria
Stanisław Miedziwski,
wykonanie Mateusz Nowak,
Teatr Rondo w Słupsku,
premiera 16 czerwca 2023



Ucieczka z niewoli, czyli Włoszka w Algierze

Akcenty patriotyczne zostały tu wyciszone, na pierwszym planie znalazły się komiczna sytuacja miłosna i fikcyjne tytuły: Kajmakan oraz Pappataci, które nadają sobie wzajemnie bohaterowie tej opery. Kolorowe kostiumy i rekwizyty nieustannie przetaczają się przed oczami publiczności zgromadzonej w zabytkowym Teatrze Stanisławowskim w warszawskich Łazienkach. Konwencja zabawy i bliskowschodniego klimatu na wesoło dopełniają dzieła.

Bronisław Tumitowicz

Gioacchino Rossini, „L’Italiana in Algeri”,
kierownictwo muzyczne Dawid Runtz,
reżyseria Jitka Stokalska, Polska Opera Królewska,
premiera 24 i 25 czerwca 2023

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Rozkołysani w tańcu

Kilka dni w Zakopanem, gdyż jak co roku jestem w jury konkursu na literacką książkę o tematyce zakopiańskiej. Teraz mniej turystów, bo drożyzna, więc rzeka ludzka, która zawsze płynie Krupówkami, mniej gęsta, chociaż i tak za gęsta. A w niej już zwyczajowo od kilku lat Arabowie, całe rodziny; uwagę zwracają kobiety, niektóre nawet z zakrytymi twarzami, szczególnie ubrane. Jakby ukrywały jakieś wielkie powaby seksualne. Nie mogę się pogodzić z tym, jak islam traktuje kobiety. I jak one się czują, sunąc w swoich sutannach w upale, w tłumie polskich kobiet, często półnagich, w szortach uwypuklających pośladki, z odkrytymi brzuchami, z kolczykami w pępkach. Jacy są pisowscy i rydzikowi talibowie, każdy widzi, ale kolczyków w obnażonych pępkach nie zakazują, na razie.

Przyznajemy nagrodę Natalii Budzyńskiej za książkę „Witkiewicz. Ojciec Witkacego”. Bardzo ciekawie opowiedziane życie Stanisława Witkiewicza. Niezwykły przypadek, gdy syn, zdolny, odmienny, trochę wariat, zjadł niemal zupełnie pamięć o wybitnym przecież ojcu. Stary Witkiewicz był nie tylko wybornym malarzem, twórcą stylu zakopiańskiego w architekturze, a to nie byle co, ale też pełnym, niezwykłym człowiekiem. Ta książka przywraca pamięć o nim.

Dawny zakopiański dworzec, kończy się wielka rekonstrukcja. W jego pachnącej nowością części powstała Mediateka i tam otwarcie festiwalu literackiego. Kawał drogi od naszego hotelu, a moje drugie biodro kiepskie. To sztuczne, wstawione w marcu, jest jak nowe, a tu od razu nawala drugie. Kolejna operacja, mam nadzieję, w listopadzie. To miesiąc tak ponury, że jakby wszędzie był szpital.

Willa Oksza blisko naszego hotelu (o diabelskiej nazwie Boruta, a przylega jak na złość do terenu kościoła), z galerią XX-wiecznej sztuki związanej z Tatrami; willa drewniana w stylu zakopiańskim. Dużo pięknych dzieł, obrazy Witkiewicza, jego syna Witkacego, Rafała Malczewskiego, prace Zofii Stryjeńskiej – przypominał mi się jej piękny portret mojego ojca, który mam w domu – poza tym sztuka ludowa, dużo fotografii. To muzeum, rozkoszne, bo drewniane i małe jak rzeźbione pudełko, nadało pewien głębszy sens temu dniowi, do tej pory raczej pustemu, więc nawet jedzone w pobliżu naleśniki, zatopione w owocach i bitej śmietanie, urosły do rangi wydarzenia. I niezwykła panorama gór widziana z Równi Krupowej, miejsca w Zakopanem, gdzie jest spory kawał

płaskiego, pustego terenu, zarosłego tylko trawami, teraz niekoszonymi. I ten widok!

Agata Tuszyńska miała w Mediatece spotkanie autorskie, nazajutrz z nią intymnie i serdecznie rozmawiam, nie tylko na tematy żydowskie, które ją najbardziej interesują. Potem z żoną spacer pod Reglami, celem żętyca w szafasie. Pamiętam ten szafas z dawnych lat, nie wiem, czy jeszcze jest, a mam wielką słabość do żętycy. Jest szafas i są wyborne oscypki, ale nie ma żętycy, rozczarowanie aż boli. Do szafasu zachodzi znany rzeźbiarz Marcin Rząsa z żoną, po bundz, którego też nie ma. Zapraszamy do siebie, mieszkają niedaleko. Galeria z rzeźbami jego słynnego ojca, Antoniego Rząsy. Pokazuje swoją pracownię, maleńką, pełną drewna i niezliczonych dłut. Rozmowy o sztuce przy kawie. Tacy ludzie, jakby się ich znało całe życie.

Kilka dni odwyku od polityki, wracam w poniedziałek i od razu widzę, jak na Jasnej Górze prezes i jego klan kołyszą się tanecznie w rytm nabożnych pieśni. Tańczy podobny do Shreka opasty Sasin, tańczy szparagowa-

Jacy są pisowscy i rydzikowi talibowie, każdy widzi, ale kolczyków w obnażonych pępkach nie zakazują, na razie.

ty Błaszczak, tańczy zwalisty Czarnek, prezes jak piłeczka w środku przebiera nóżkami, kuriozalny widok. I triumfujący ojciec dyrektor, który dostaje od PiS historyczny miecz „z czasów Mieszka I”, kosztował ćwierć miliona złotych. „Alleluja i do przodu!”, woła z ołtarzy jasnogórskich prezes, naśladując zwyczajowy okrzyk bojowy ojca dyrektora. Jak trwoga, to do Rydzika? Mszę celebrytuje abp Jędraszewski, jakby zakonserwowany od wieków, mumia kościelna. Jasna Góra zamieniona w Ciemną Górę.

Czy Polska będzie mocarstwem nuklearnym? Urojenia wielkościowe są typowe dla nacjonalistów. Premier Morawiecki jasno zadeklarował, że Polska jest gotowa na udział w programie, w ramach którego Stany Zjednoczone udostępniają swoją broń jądrową wybranym krajom NATO. „Biorąc pod uwagę fakt, że polskie przywództwo składa się dziś wyłącznie z patentowanych degeneratów, prośba o umieszczenie w Polsce broni jądrowej grozi tylko jednym. Taka broń zostanie użyta”, powiedział Miedwiediew. Ma nawet trochę racji ten paranoik. ■

Armia sybiraków

Po raz pierwszy z Syberii, miejsca zsyłki kolejnych pokoleń Polaków, udało się tak licznie rodaków wyprowadzić. Przewodników było dwóch: Anders i Berling

Paweł Sergiejczyk

W polskiej świadomości narodowej – a także w polityce historycznej naszego państwa po 1989 r. – szczególnie eksponowaną rolę odgrywają konflikty polsko-rosyjskie. Oczywiście ma to uzasadnienie, wszak od końca XV w. państwo polsko-litewskie stoczyło wiele wojen z Moskwą, a w wieku XVIII w wyniku własnej słabości znalazło się pod dominacją Petersburga, który pod koniec tego stulecia zgodził się na rozbiory Rzeczypospolitej, przejmując większość jej terytorium. Walka z Rosją stała się zatem w XIX w. fundamentem tożsamości Polaków jako nowoczesnego narodu.

Były jednak w naszych dziejach momenty współpracy z Rosjanami, również na polu wojskowości. Z tyłu pokoleń polskich oficerów służących w armii carskiej (i to już od czasów napoleońskich!), a później radzieckiej, pamięta się jedynie postać Romualda Traugutta (i to dlatego, że po latach służby w mundurze rosyjskim dołączył do powstania styczniowego), a w wymiarze negatywnym – Konstantego Rokossowskiego i Karola Świerczewskiego. A przecież chodzi tu nie tylko o kariery pojedynczych Polaków, z których część wybrała świadomą rusyfikację. W XIX i XX w. kilka razy z woli władz rosyjskich powstawało polskie wojsko.

Tak było po kongresie wiedeńskim w 1815 r., gdy car Aleksander I zgodził się na utworzenie nad Wisłą armii Królestwa Polskiego, nad Niemnem zaś – Korpusu Litewskiego. I choć obie formacje miał pod swoją pieczęć carski brat, wielki książę Konstanty, trudno ich nie uznać za kontynuację

wojska Polski przedrozbiorowej – zarówno w wymiarze kadrowym, jak i symbolicznym (mundury, sztandary). Kres tego etapu polskiej wojskowości przyniosła dopiero klęska powstania listopadowego w 1831 r.

Kolejny moment polsko-rosyjskiej współpracy wojskowej to lata I wojny światowej i rewolucji rosyjskich z 1917 r. W momencie obalenia caratu w armii rosyjskiej służyło ok. 20 tys. polskich oficerów, w tym 119 generałów. Jeden z nich, Józef Dowbor-Muśnicki, stanął na czele sformowanego na Białorusi I Korpusu Polskiego, który liczył ok. 29 tys. żołnierzy. Później powstał jeszcze II Korpus, do którego dołączyła część żołnierzy II Brygady Legionów Polskich z gen. Józefem Hallerem na czele, a także III Korpus, działający głównie na Ukrainie. Początkowo wrogiem tych polskich jednostek, które powstały za zgodą rosyjskiego Rządu Tymczasowego, byli Niemcy, ale po przejęciu władzy przez partię Lenina to właśnie oddziały bolszewickie stały się wrogiem nr 1, zwłaszcza na wschodnich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej.

A skoro jesteśmy przy bolszewikach, to nie należy zapominać, że od początku istnienia Armii Czerwonej nie brakowało w jej szeregach Polaków. Już wiosną 1918 r. powstał Czerwony Pułk Rewolucyjnej Warszawy, który po kilku miesiącach wszedł w skład Zachodniej Dywizji Strzelców Polskich. Formacją tą dowodzili Stefan Żbikowski i Roman Łągwa – warszawscy komuniści, którzy zdobyli doświadczenie wojskowe w armii carskiej. Mimo ich późniejszego zaangażowania w budowę państwa radzieckiego padli, tak jak wielu ich



rodaków i towarzyszy, ofiarą „wielkiej czystki” w latach 1937-1938.

Polacy po Katyniu

Trudno nie postrzegać tamtej likwidacji polskich komunistów w ZSRR w kontekście całej polityki Stalina wobec narodu i państwa polskiego. Masowych zbrodni i wywózek Polaków z ziem ukraińskich i białoruskich w ramach „operacji polskiej” NKWD w drugiej połowie lat 30., paktu Ribbentrop-Mołotow, wkroczenia Armii Czerwonej 17 września 1939 r. i zagarnięcia połowy terytorium II Rzeczypospolitej, masowych aresztowań, a potem deportacji Polaków na Syberię i do Kazachstanu w latach 1940-1941, wreszcie wymordowania na rozkaz radzieckiego kierownictwa polskich oficerów w Katyniu i innych miejscach.

Szczególnie ta ostatnia decyzja wyraźnie pokazywała, że wiosną 1940 r. Moskwa nie brała pod uwagę możliwości jakiegokolwiek współpracy wojskowej z Polakami. Wtedy sojusznikiem Stalina był Hitler, który też nie potrzebował żadnych polskich żołnierzy. Sytuacja zmieniła się po agresji III Rzeszy na ZSRR w czerwcu 1941 r. Rosjanie znaleźli się w tak trudnej sytuacji, że każdy oddział wojska był dla nich cenny. I wtedy przypomniano sobie o Polakach. Lata 1941-1943 to



Tockoje, obóz armii gen. Andersa.

walczył z Rosjanami w Legionach Polskich (doszedł tam do stopnia podporucznika). W 1920 r. obaj bronili niepodległej Polski przed najazdem bolszewickim i zostali za to odznaczeni orderami *Virtuti Militari*. Obaj stanowili zatem część naszej narodowej historii i obaj zasługują na dobrą pamięć nie tylko tych Polaków, których wyprowadzili „z domu niewoli”.

Lepsi i gorsi sybiracy

Warto sobie uświadomić, że wśród tych Polaków było aż trzech późniejszych prezydentów Rzeczypospolitej: Stanisław Ostrowski i Ryszard Kaczorowski (wyszli z Andersem) oraz Wojciech Jaruzelski (wyszedł z Berlingiem). Dwaj pierwsi sprawowali ten urząd na emigracji w Londynie – Ostrowski w latach 1972-1979, a Kaczorowski od lipca 1989 r. do grudnia 1990 r., czyli dokładnie w tym samym czasie, gdy Jaruzelski był prezydentem w Warszawie, kiedy PRL stawała się znowu Rzeczpospolitą Polską. I znów jak nierówno rozkłada się dziś narodowa pamięć: prezydenci emigracyjni chowani są z wszelkimi honorami w warszawskiej Świątyni Opatrzności Bożej, gdzie stworzono dla nich specjalne mauzoleum, a prezydent Jaruzelski nawet podczas pogrzebu był obiektem niewybrednych

skomplikowana gra polsko-radziecka wokół kwestii polskiego wojska na terenie ZSRR. Skomplikowana, bo strony były nierówne, w dodatku nie ufaly sobie, ale potrzebowały siebie nawzajem.

Nie wchodząc w szczegóły tej dyplomatycznej i politycznej rozgrywki, trzeba tylko stwierdzić, że jej ostateczny efekt był dla sprawy polskiej nadzwyczajny. Utworzona w 1941 r. Armia Polska gen. Władysława Andersa co prawda opuściła terytorium radzieckie i przeszła na Bliski Wschód,

To był historyczny fenomen – po raz pierwszy z Syberii, stanowiącej od XVIII w. miejsce zsyłki kolejnych pokoleń Polaków, udało się wyprowadzić tak licznie naszych rodaków, niczym biblijnych Żydów „z ziemi egipskiej, z domu niewoli”. Tyle że w Biblii Mojżesz był jeden, a podczas II wojny światowej mieliśmy dwóch takich przewodników: Andersa i Berlinga. W dzisiejszej polityce historycznej ten pierwszy uchodzi za bohatera narodowego i symbol niezłomnego antykomunizmu, ten drugi zaś – za

Nie chce się pamiętać o uroczystości sprzed 80 lat, gdy 15 lipca 1943 r. w Sielcach nad Oką odbyła się przysięga ponad 14 tys. żołnierzy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

ale miała swój udział w walce z Niemcami, m.in. przy wyzwolaniu Włoch. Natomiast powstała w maju 1943 r. w Sielcach nad Oką 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki pod dowództwem gen. Zygmunta Berlinga, rozwinięta następnie w I Korpus Polskich Sił Zbrojnych, a później w Armię Polską, towarzyszyła Armii Czerwonej w wyzwolaniu ziem polskich spod okupacji niemieckiej.

A przecież obie te armie, liczące na terytorium radzieckim po kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, składały się z cudem uratowanych sybiraków dowodzonych przez oficerów, którzy uniknęli śmierci w dołach katyńskich.

sowieckiego agenta, renegata i dezertera. Pierwszemu buduje się pomniki, a pomniki drugiego się niszczy. Tymczasem obaj generałowie o niemieckich nazwiskach i protestanckich korzeniach jako więźniowie NKWD w 1940 r. podjęli bardzo ryzykowną grę z radzieckimi służbami, która jednak doprowadziła ich na stanowiska dowódców polskich armii w ZSRR. Co ciekawe, to pochodzący z Kongresówki Anders zaczynał karierę wojskową w armii carskiej (podczas I wojny światowej doszedł w niej do stopnia rotmistrza kawalerii), podczas gdy urodzony w Galicji Berling należał do Związku Strzeleckiego, a potem

ataków ze strony prawicy, która do końca jego życia odmawiała mu patriotyzmu, a nawet Krzyża Zesłańców Sybiru, choć z oczywistych względów mu się należał.

Mamy bowiem w Polsce sybiraków lepszych i gorszych. Lepsi to ci, którzy opuścili Związek Radziecki z gen. Andersem i po wojnie znaleźli się na Zachodzie; gorsi zaś to ci, co „nie zdążyli do Andersa”, jak 19-letni Wojciech Jaruzelski czy jego o dwa lata młodszy kolega Florian Siwicki (później również generał i minister obrony narodowej w ekipie Jaruzelskiego), jedyną zatem szansą stało się dla nich wojsko Berlinga i układanie ▶

► sobie życia w Polsce Ludowej. O tym, kto trafił do której armii, najczęściej decydował przypadek, gdyż Polacy w ZSRR nigdy nie przestali być nacją „podejrzaną”, więc ich droga z Syberii czy Kazachstanu do polskich jednostek zwykle nie była łatwa. Wielu z nich zresztą nie doczekało końca wojny, ginąc w walce z Niemcami w dwóch olbrzymich masakrach mających znaczenie bardziej propagandowe niż strategiczne: pod Lenino w październiku 1943 r. i pod Monte Cassino w maju 1944 r. Tych drugich czci się teraz bez umiaru, o tych pierwszych wspomina niechętnie, choć sens (a może należałoby powiedzieć: bezsens) ich śmierci powinno się mierzyć jedną miarą.

Ale jednej miary nie ma i raczej nie należy się jej spodziewać. Bo wojsko gen. Berlinga nie tylko nie uznawało zwierzchnictwa rządu RP w Londynie (choć Narodowe Siły Zbrojne też nie uznawały, mimo to są dziś obiektem państwowego kultu), lecz w dodatku zostało utworzone na mocy decyzji Stalina i rękami polskich komunistów – a to już w antykomunistycznej Polsce jest grzechem niewybaczalnym.

Dłatego nie chce się upamiętnić o tamtej wyjątkowej uroczystości sprzed 80 lat, gdy 15 lipca 1943 r.,

po 17 września 1939 r. stała się dla Stalina znacznie bardziej wiarygodnym przedstawicielem tej części Polaków, która zdecydowała się na współpracę z władzami radzieckimi. To Wasilewska stanęła na czele Związku Patriotów Polskich, który miał otoczyć opieką ludność polską w ZSRR i sprawować polityczną zwierzchność nad dywizją kościuszkowską. Ona również towarzyszyła gen. Berlingowi podczas tamtej przysięgi, gdy polska flaga toptała obok flag największych potęg antyhitlerowskiej koalicji: ZSRR, USA i Wielkiej Brytanii.

Nie tylko Wasilewska

Artur Hajnicz, wówczas młody komunistą, a później znany dziennikarz, wspominał po latach w rozmowie z Teresą Torańską pierwsze spotkanie z Wasilewską w Moskwie: „Szczelnie wypełniona długa sala kinowa. Pojawia się Wanda Wasilewska, wysoka, chuda, w wojskowej pelerynie zarzuconej na ramiona. Silnym, głębokim głosem, w którym słychać przejęcie, zaczyna opowiadać o bitwie pod Lenino. O tym, jak polska 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, dowodzona przez gen. Zygmunta Berlinga, przy boku niezwyciężonej

w spódnicy. Ona rzeczywiście mówiła Sienkiewiczem”.

Człowiekiem, który nazwał tak Wasilewską, był Jerzy Putrament, inny polski pisarz przebywający wówczas w ZSRR. Jego droga do komunizmu była jeszcze bardziej kręta, gdyż zaczął w latach 30. jako aktywny działacz Młodzieży Wszechpolskiej (czyli endeckiej młodzieżówki) na uniwersytecie w Wilnie, a niedługo później związał się z grupą literacką Żagary, którą wylansował Stanisław Cat-Mackiewicz na łamach konserwatywnego „Słowa”. W sprawie Wasilewskiej Putrament jednak przesadził – nie była „Sienkiewiczem w spódnicy”, choć pewnych walorów literackich jej całkowicie zapomnianym już powieściom odmówić nie sposób. Bardziej jednak niż do autora Trylogii nawiązywała Wasilewska do postawy Adama Mickiewicza, który podczas Wiosny Ludów utworzył we Włoszech Legion Polski, a kilka lat później próbował powtórzyć ten zamysł u boku Turcji podczas wojny krymskiej z Rosją. Ta druga inicjatywa wojskowa naszego wieszczą, przerwana jego nagłą śmiercią w Konstantynopolu, miała zresztą charakter podwójny: obok Legionu Polskiego miał powstać Legion Żydowski.

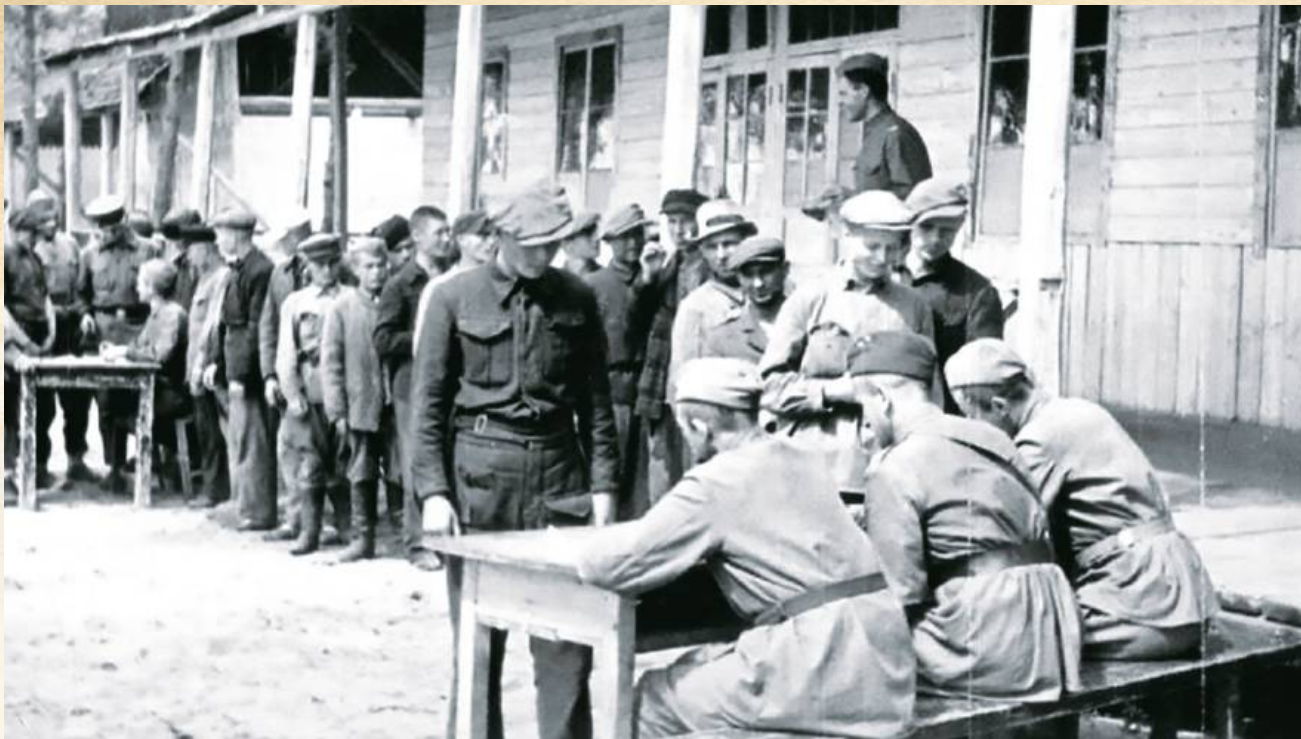
Anders i Berling – obaj stanowią część naszej narodowej historii i obaj zasługują na dobrą pamięć nie tylko tych Polaków, których wyprowadzili „z domu niewoli”.

w rocznicę zwycięstwa grunwaldzkiego, w Sielcach nad Oką odbyła się przysięga ponad 14 tys. żołnierzy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Przysięgę odbierał ks. mjr Wilhelm Kubsz, rodowity Ślązak, tuż przed wojną wikary na Polesiu, po 1941 r. żołnierz w radzieckim oddziale partyzanckim. Najważniejszą postacią dla kościuszkowców była jednak pisarka Wanda Wasilewska, córka Leona Wasilewskiego, znanego działacza PPS, współpracownika Piłsudskiego i pierwszego ministra spraw zagranicznych II RP. W latach 30. stopniowo ewoluowała od wyniesionego z domu niepodległościowego socjalizmu do radzieckiego komunizmu, ale ponieważ oficjalnie cały czas była działaczką PPS, a nie zlikwidowanej tuż przed wojną KPP,

Armii Czerwonej brawurowo pokonała hitlerowskich bandytów. (...) Nic o morderczych bojach, które zdziaskowały dywizję nieprzygotowaną do walki! Ale za to sporo barwnych anegdot. O przestrzelonej czapce i podartym szynelu płk. Włodzimierza Sokorskiego. O bohaterach, których uznano za poległych w czasie bitwy, a potem cudem się odnaleźli: płk. Bolesławie Kieniewicz, poecie Lucjanie Szenwaldzie czy późniejszym generałe Juliuszu Hübnerze, którego nawet pożegnano wydrukowanym w prasie wojskowej nekrologiem i któremu »pośmiertnie« nadano tytuł Bohatera Związku Radzieckiego, a potem odnalazł się w szpitalu. Jak zahipnotyzowany chłonę każde jej słowo. I nagle słyszę, jak ktoś siedzący obok pochyla się i szepcze mi do ucha: Sienkiewicz

Wanda Wasilewska, która była doktorem polonistyki po Uniwersytecie Jagiellońskim, z pewnością widziała analogię między własną aktywnością a działaniami Mickiewicza. Tym bardziej że dywizja kościuszkowska była na swój sposób legionem polsko-żydowskim. Elementem żydowskim byli tam przede wszystkim dawni działacze Komunistycznej Partii Polski, tacy jak Roman Werfel, który po latach wyjaśniał Teresie Torańskiej: „Z dawnej komunistycznej partii zostały niedobitki, my wszyscy jesteśmy niedobitkami, a więc tymi, których Stalin nie zdążył dobić, trzecim garniturem KPP-owskiej kadry”.

Rzecz jasna, nie znaczy to, że wśród owych „niedobitków” byli sami komuniści z żydowskimi korzeniami. Im jednak pobyt w Związku



Zapisy do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki w Sielcach.

Radzieckim dawał szansę przeżycia w czasach, gdy ich bliscy w okupowanej Polsce masowo ginęli w komorach gazowych. Dla tych polskich Żydów lub Polaków pochodzenia żydowskiego służba w mundurze kościuszkowskim była więc najczęściej nie tylko pierwszym kontaktem z wojskiem w ogóle, ale także okazją do osobistej zemsty na hitlerowcach. Była też najkrótszą drogą do Polski, bo akurat oni – pomni doświadczeń „wielkiej czystki” i ciągle aktualnej groźby stalinowskiego antysemityzmu – chcieli powrotu nad Wisłę szczególnie mocno. A skoro powstało polskie wojsko, znaczyło to, że po wojnie powstanie znów państwo polskie, tyle że lepsze niż II Rzeczpospolita, gdyż bardziej sprawiedliwe i pozbawione narodowościowych uprzedzeń.

„Cud nad Oką”

I rzeczywiście wrócili, zadając kłam dzisiejszej IPN-owskiej propagandzie twierdzącej, że byli patriotami sowieckimi, nie polskimi. Wrócili, by budować Polskę Ludową, a nie „17. republikę”. Wrócili w polskich mundurach, choć zwykle były to mundury oficerów politycznych – taką funkcję

wprowadzono w armii Berlinga na wzór Armii Czerwonej. Jednak w powojennej Polsce zwykle nie zajmowali najbardziej eksponowanych stanowisk partyjnych i państwowych (takich było zaledwie kilku: Hilary Minc, Roman Zambrowski, Aleksander Zawadzki, Piotr Jaroszewicz, Włodzimierz Sokorski). Raczej można było ich spotkać na niższych szczeblach władzy, a szczególnie silną pozycję zdobyli sobie w polskiej kulturze. Spośród pisarzy i poetów w mundurach 1. Dywizji warto wymienić autora „Marszu Pierwszego Korpusu” („Spoza gór i rzek wyszliśmy na brzeg”) Adama Ważyka, wspomnianego już Jerzego Putramenta, Leona Pasternaka, Lucjana Szenwalda (zginął w sierpniu 1944 r. na Lubelszczyźnie), Arnolda Ślückiego. Jeszcze w Sielcach utworzono Teatr 1. Dywizji, który potem stał się Teatrem Wojska Polskiego. Od początku kierował nim znany aktor i reżyser Władysław Krasnowiecki, a pierwszą gwiazdą tej sceny stała się Ryszarda Hanin. Przy armii Berlinga powstała również Wytwórnia Filmowa „Czołówka”, w której pracowali późniejsi czołowi filmowcy PRL: Aleksander Ford, Jerzy Bossak, Stanisław Wohl, Ludwik Perski, bracia Adolf i Władysław Forbertowie.

Nie brakuje dziś historyków i publicystów, którzy nazywają tamto wojsko „polskojęzycznymi oddziałami Armii Czerwonej”. Ale to nieprawda. Bo choć z rozkazu Stalina oddelegowano do 1. Dywizji wielu radzieckich oficerów, zwykle byli to oficerowie polskiego pochodzenia, którzy często zostali na stałe w PRL. Wyraźnie więc chodziło o utworzenie odrębnego Wojska Polskiego, z polskimi orłami na czapkach, choć orzeł ten nie miał korony, ale to też nie pierwszy raz w naszej historii – wszak legioniści Piłsudskiego, jako wojsko demokratyczne i republikańskie, na swoich maciejówkach także nosili orzełki bez korony.

Tak, Stalin chciał mieć „swoich” Polaków w polskich mundurach, bo chciał również mieć „swoje” państwo polskie. A tych Polaków mógł znaleźć jedynie wśród niedawnych ofiar swojego terroru: zesańców syberyjskich oraz „niedobitków” z Katynia i z KPP. Była to zatem armia cudem ocalałych obywateli II RP, którym ten sam Stalin postanowił darować nie tylko życie, lecz i nowe państwo polskie. Niestety, 80 lat po tym „cudzie nad Oką” dzisiejszym Polakom trudno zrozumieć, jak wielką to miało wówczas wartość.

Paweł Siegiejczyk

Aktorka i premier

Nina Andrycz i Józef Cyrankiewicz: Między miłością niemożliwą, związkiem niekoniecznym a samotnością we dwoje

Liliana Śnieg-Czaplewska

To absolutnie pewne, że poznali się w teatrze już po wojnie, choć wcześniej gdzieś się zetknęli. Premier zachwycił się ujrzaną na scenie Niną, co wprowało w ruch machinę towarzysko-matrymonialną. (...) Do teatru, gdzie zobaczył Ninę, poszedł jako urzędujący premier (to ważne, bo nie wszyscy premierzy, zwłaszcza urzędujący, chodzą do teatru). Po wojnie J.C. w oczach opinii publicznej uchodził za kawalera i zachowywał się jak kawaler. A on, „kawaler ze świeżego odzysku”, rozglądał się za kandydatką na żonę, bo odczuwał potrzebę założenia rodziny (nie udało mu się, co przyznawała Nina w chwili szczerej autorefleksji: „Tyle przeszedł, tyle wycierpiał i trafił na takiego potwora jak ja”).

Lucyna Tychowa, reżyserka teatralna, twierdzi, że była świadkiem, jak się zakochał w Ninie Andrycz: „Siedziałam w tej samej łóż. Nina w takiej okropnej sztuce Morstina o krzyżakach była dziewczyną w męskim przebraniu i potem, gdy tak pięknie, po męsku siadła na ławce, prezentując swoje bardzo dobre uda, zobaczyłam, jak Cyrankiewicz do przodu się przechylił, a Włodek Sokorski, babiarz straszny, powiada do niego: »Dobra, co?«”.

Zadzwoiłam do Lucyny Tychowej, nagrałam się na automatyczną sekretarkę, a pod koniec dnia rozmawialiśmy.

Pani Lucyno, daty mi się nie zgadzają. Gdyż Nina grała Ryngallę w „Zakonie krzyżowym” półtora roku po ślubie.

– Pani wie, że książka wydrukowana, nic nie poprawię...

Wspólnie zastanawialiśmy się, w której sztuce Józef mógł zachwycić się Niną. Pani Lucyna obstawiała „Szkolę obmowy” Bogusławskiego, premiera 20 grudnia 1946 r. (...)

Nina dowiedziała się od znajomego dziennikarza Zbigniewa Mitznera, co oznaczają inicjały „J.C.” na karteczce dołączanej do bukietów przysyłanych do garderoby. Przekazywał zaproszenia raz po raz na kolację „od swego niemiłosiernie zajętego szefa”, ona się droczyła, w końcu pan Józef osiągnął swoje.

To moja przyszła żona

Nina była gwiazdą długo przed poznaniem Cyrankiewicza. „Miałam Polskę u stóp. A premiera ani nie znałam, ani nie szukałam”, stwierdziła.

„To moja przyszła żona”, zwierzył się Cyrankiewicz Zbigniewowi Mitznerowi. Ten ostatni wyjaśnił Ninie, że premier rządu marzy, by ją poznać. Nina jednak zwlekła.

Nina była gwiazdą długo przed poznaniem Cyrankiewicza. „Miałam Polskę u stóp. A premiera ani nie znałam, ani nie szukałam”.

A pan Zbigniew w roli duenii?

– Nie, w roli podczaszego, jak gdzieś prostował Józef. A potem spytał: Czy pani zechciałaby odwiedzić mnie sama, bez kochanego Zbysia? Przedtem przyjrzałam się, jak mieszka, jak mówi. Był ładny... nieprawdopodobnie. Jak Yul Brynner, amant mojego pokolenia. Gołił głowę, bo miał piękną czaszkę. Jak za pierwszym razem do niego przyszliśmy z kochanym Zbysiem, otworzył mi drzwi. Aż mnie zatkało,

taki był piękny. Hollywoodzka piątka w sensie urody [Cyrankiewicz śmiał się z siebie: „Yul Brynner dla ubogich” – przyp. L.Ś.-C.]. Patrzę dookoła, a tam książki wszędzie, o, tak jak u mnie, na parapetach, pod oknami, na etażerze, na stole, pod stołem, wszędzie. Odrabiał cztery stracone w Oświęcimiu lata. Młody organizm wszystko zniósł. Męczennik, a trafił na taką cholerę jak ja. Powinnam być zakochana, oddana, jakbym zaszła w ciążę, to oczywiście powinnam urodzić, chociażby jedno. On już by z powodu tego jednego umierał ze szczęścia.

A tu... zabiłam parę razy. Ale ja kochałam swoją pracę bardziej niż małżeństwo. To bardzo prosta sprawa. Prawdziwa aktorka rodzi przede wszystkim rolę, nie dzieci. To nie mina ani poza. Prawda. Ostatecznie, jak za drugim razem szłam na skrobankę, matka dostała histerii, błagała mnie na kolanach: „Nie rób tego drugi raz. Bo on ci tego nie daruje. Za pierwszym razem pogodził się,

ale drugiego razu nie daruje, znienawidzi cię w rezultacie, bo okazujesz, że ci na nim nie zależy”.

A pani co?

– Poszłam i wyskrobałam. Każdy pracuje na to, co ma. My, kobiety bezdzietne, pracujemy na to, żeby w końcu być same. Na swoją samotność. Nie ma co się ani rozczulać, ani użalać, tylko starać się zrozumieć. Taką psychiką, ten stopień samodzielności. Do niektórych czasem taki moment przychodzi, że zdają sobie



Koniec lat 50., w jednym z ośrodków Urzędu Rady Ministrów.

sprawę, że to był błąd. Ale np. do Greta Garbo nie przyszedł. Umarła sama, samiutka, w samotności. Nic jej w życiu nie wyszło, i to po stawie o wiele większej niż moja.

A do pani idolki Marleny Dietrich przyszedł?

– Marlena sobie nie żałowała. I dziecko urodziła, i żyła z każdym, kto jej się podobał, ptci obojga. Jej córka parszywka napisała okropną biografię, że matka się puszczała nieomal z każdym, kogo spotkała. Bzdury ciężkie. Ona się puszczała tylko z tymi, którzy jej się podobali. Trudno się nie puścić z młodym Garym Cooperem.

E tam, pani Nino, dojrzały wcale nie gorszy.

– Smukły, z niebotycznymi nogami. Zresztą Marlenie też się nogi zaczynały pod szyją. Poznałam ją, jak była w Polsce na koncertach.

Ninie, jak wynika z jej opowieści, wcale się do skonsumowania znajomości z J.C. – „zwierzęciem politycznym czystej krwi”, o „mentalności racjonalistycznej, kartezjańskiej”, na którego spadł niewyobrażalny kosztmar Auschwitz – nie spieszyło.

Nina Andrycz: Miałam w podróżach zagranicznych większe powodzenie niż on, nie zawiodłam go w żadnym kraju, ani Zachodu, ani Wschodu.

Mitzner, autor tego opisu osobowości premiera, miał oświadczyć Cyrankiewiczowi, że „gdyby tak w przyszłości Bermanowi i spółce udało się wpakować ciebie do więzienia, boś jest klasowo obcy, ta dziewczyna na pewno przynosiłaby ci paczki. Ona, uważasz, prócz talentu i urody ma jeszcze charakter”.

Podobno na takie dictum Cyrankiewicz rozpromienił się, wyciągnął butelkę, którą w Londynie dostał po wizycie w siedzibie Partii Pracy, i Mitzner „nieco sobie tyknął”. A potem towarzyszył obojgu w roli przyzwolki w mieszkaniu premiera przy Zygmunto夫斯基. Za to już ich drugie spotkanie odbyło się sam na sam...

Prof. Magdalena Raszewska sugeruje, że w zaaranżowanie mariażu Niny i Józefa miała swój wkład aktorka Zula Dywińska (1913–1980). Tymczasem Nina i Zula nie mogły się różnić bardziej. Zula, obłudnie wygadana,

„infantylnie niemal nieprzyzwoita”, „półdiabłą teatralną” (tak ją nazwano w czasach, gdy grała w teatrze Critcot), tańczy, śpiewa, szaleje. Nina – wprost przeciwnie.

Jasne, że Zula znała Cyrankiewicza, obracała się w środowisku awangardy krakowskiej, a to było zdecydowanie lewicowe. Poza tym Józef paniom nie odmawiał, dobre serce miał. Łączył Zulę i Józefa także... Zygmunt Kłopotowski, jej mąż, a jego towarzysz z konspiracji.

Pisze prof. Raszewska: „Dalej mamy dwie wersje historii (...): jedna mówi, że to Zula wyswatała Cyrankiewicza z Niną Andrycz, druga zaś twierdzi odwrotnie, że to Nina Andrycz odbiła Cyrankiewicza Dywińskiej. Można (wówczas) protektor wiele wyjaśnia”.

Jest jeszcze wersja trzecia: ta prawdziwa. Swaty były Ninie tak potrzebne jak zeszłoroczny śnieg; Józef świetnie wiedział, kogo chce na żonę, wybierał i decydował. (...)

Nina i Józef pobrali się po krótkiej znajomości. Zakochany premier

żonę nazywał Pupsicą. „Mama nazywała mnie Pupsik (laleczka po rosyjsku), a on to przerobił na Pupsico, bo twierdził, że brzmi bardziej seksualnie, i pupa, i siusianie w tym jest”. To prawda. W końcu do małego dziecka mówi się o tej czynności „psipsi”.

Tak do siebie mówili, kiedy się kochali.

No dobrze, kiedy on ją bardzo kochał.

Pożycie małżeńskie

Początki są obiecujące: po dwóch latach remontu Nina i Józef wprowadzają się na czwarte piętro. Około 175–185 m kw., z kuchnią węglową. Drugi lokal ma ok. 60–70 m kw., dwa piętra niżej. Dzięki Kirze Gałczyńskiej wiem, że mówił o nim dowcipnie „chata za wsią”.

Ich małżeństwo dzieli się na kilka etapów. Pierwszy okres jest ▶

► szczęśliwy. On jest w niej nieprzytomnie zakochany, a ona, piękna kobieta w rozkwicie urody, o doskonałej prezencji, staje się obiektem zainteresowania wszystkich. Trwa to krótko, parę latek ledwie. Józef był szczerze zakochany. Liściki, miłe, figlarne, świadczą o prawdziwym uczuciu Piosika do Pupsika. Potem ona podkreśla, że go nie kocha, ale lubi jego adorację, stara się wspierać jego zakręty polityczne, jak „łączenie partii” (choć notuje w kalendarzu: „On mi nic nie mówi”), no i dwa razy nie chce jego dziecka. Następuje faza wzajemnego rozczarowania. Także trwa parę lat.

Kolejny etap następuje, gdy Józef poznaje panią Krystynę, a jej dzieci budzą w nim instynkt opiekuńczy, choć małżonkowie mieszkają, gdzie mieszkali. Przemieszcza się kochanka.

Ostatni etap to chłód... On nadal robi, co i z kim chce. Nina udaje, że nic złego się nie dzieje, a mąż „jest bardzo zajęty”.

Józef Cyrankiewicz. Inteligent o świetnej prezencji, jako premier urządował tak długo, jak żaden inny w historii kraju, całe 22 lata.

Nina Andrycz: Byłam świadkiem, jak on to przeżył strasznie! Odcierpiał. Od tej pory zaczął pić. Zaczął wstawać w nocy i wychodzić do kuchni, kiedy ja już spałam, i popijał do księżyca w towarzystwie wiernego psa. Nakryłam ich na tej czynności, zrobiłam skandal i mówiłam o lekarzu. Przed zjednoczeniem przecież tak nie pił. A potem zaczął jeździć jak wariat po szosach z szybkością niedopuszczalną. To była jakaś amerykańska maszyna bentley, a potem najnowszy model mercedesa, prowadził świetnie, miał talent w tym kierunku. Proponowałam mu, żebyśmy się nie pobierali. On na to: „Kochanek w młodości to ja miałem wiele, teraz chcę żonę taką jak pani”. „A skąd pan wie, że ja będę dobrą żoną?” „Oj, wiem, pani jest prawa”. Prawa, prawa, a potem cholera wylazła. Wylazła, bo rodzić nie chciałam, ale nie zdradziłam go nigdy. I reprezentowałam go pięknie za granicą. Miałam w podróżach zagranicznych większe powodzenie niż on, nie zawiodłam go w żadnym kraju, ani Zachodu, ani

Wschodu. Mało tego, dostawałam takie prezenty jak żadna inna.

Jak po ślubie przyjęło panią w teatrze?

– Rozpacz była. Absolutna! Że teraz będzie robiła, co chce. A ja nic nie chciałam. Na tym polegał dowcip. Podlizuchy, manipulanci, zawistnicy, hipokryci i intryganci robili swoje. W oczy prawili komplementy, dogadzali Matką Boską i Joanną d’Arc. Nie chwalmy PRL, bo można go nienawidzić za zniewolenie polityczne, ale chwalmy za świetne teatry, co napisała filozof Barbara Skarga. Teatry były po prostu wspaniałe. A tylu poetów od Tuwima po Iwaszkiewicza napisało wtedy swoje najlepsze wiersze. Ja tylko stwierdzam, że były rzeczy złe i dobre. Ja nie kochałam PRL, ale kochałam teatry PRL. Mama była już stareńka, schorowana, już nie miała tego drygu. Mieszkała oddzielnie w niewielkim osobnym mieszkaniu, z zasobów URM (przy ul. Bartoszewskiego, niedaleko Teatru Polskiego). Po rozwodzie szef URM zasugerował: „Skoro mieszka pani sama w takim dużym mieszkaniu, może dobrze byłoby wziąć mamę do siebie?”. Też tak uważałam. I jak Józef się wyprowadził, ona się wprowadziła. Nie, to było później, gdy już byliśmy oficjalnie po rozwodzie.

Macierzyństwo, czyli premierowi też się odmawia

Gdy Ewie Wachowicz, Miss Polonia z 1992 r., zaproponowano posadę rzeczniczki w rządzie Waldemara Pawlaka, wypowiedziała pamiętne słowa: „Premierowi się nie odmawia”. Posadę przyjęła, a powiedzenie stało się kultowe (cokolwiek to znaczy).

Macierzyństwo nie stało się udziałem Niny, ona premierowi odmówiła, a potem całe życie śpiewała na tę samą nutę: „Aktorka rodzi role, nie dzieci”. Fakt, że premier był mężem, nie pracodawcą, dla niej nie miał znaczenia.

Wiele osób słyszało: „Aktorka rodzi role, nie dzieci”. Reżyser Maciej Prus też: „Macierzyństwo zmieniała w poezję: »Rodziłam role, nie dzieci«”.

Argument, że dużo aktorek rodzi jedno i drugie, z góry skazany był na porażkę. Nie rezygnowała z powtarzania tej śpiewki coraz młodszym rozmówcom w teatrze i poza nim.

W kalendarzyku w grudniu 1949 r. Nina notuje: „A on przyzwyczaja się do moich chorób, trem przed premierą, nerwów po premierze, dziwnego faktu, że nie chcę zająć z nim w ciążę. Matka, po trzech latach małżeństwa, zapytała, czy naprawdę nie chcę rodzić. »Ależ ja rodzę bez przerwy. Role«, odparłam. Rozmowa się urwała”.

Oczywiście chodzi o Reginę Cyrankiewiczową, teściową, Nina ją też „załatwiła” swoją ulubioną frazą.

Na drugim piętrze w alei Róż 8, tuż obok „chaty za wsią”, drugiego lokum premiera, mieszkał z partnerką Bohdan Lewandowski, najwyższy rangą polski urzędnik w ONZ (w latach 1972–1983 zastępca sekretarza generalnego Kurta Waldheima). Prof. Barbara Liberska, ekonomistka, pamięta, że kiedy zapraszała Ninę na przyjęcia w małym gronie, ta zawsze najpierw upewniała się, kto będzie, wypytywała o pozostałych gości. Gdy obecność potwierdził ktoś, kto lubił być w centrum uwagi, odmawiała. „Lubiła być clou wieczoru, świecić światłem samodzielnym, niepodzielnym”, mówi prof. Liberska. (...)

Marta Lipińska kilkakrotnie rozmawiała z Niną o macierzyństwie, gdy grały w telewizyjnym spektaklu „Dom nad Loarą” Margaret Storm Jameson, adaptacji powieści o ruchu oporu we Francji. „Po próbach i nagraniach, kiedy jechałam do Współczesnego przy Mokotowskiej, proponowałam: »Podrzucę panią w aleję Róż, skąd do teatru dwa kroki«. Chętnie korzystała. Już miałam samochódzik, wtedy w naszym środowisku rzadkość, a ona bidulka, pozbawiona atrybutów władzy premierowej, nie miała ani samochodu, ani kierowcy. Próby na Woronicza nagrywano specjalną techniką, ampeks, »jednym ciurkiem«, niemiała sztuka. Urodziłam córkę w styczniu 1973 r., więc to musiało być na jesieni 1972 r. O ciąży lojalnie uprzedziłam reżysera, on scenografkę, bo miałam dość duży brzusek, ale ciąża nie dokuczała mi



Jeden z wakacyjnych wypadów Niny Andrycz, już po rozstaniu z mężem.

ani przez chwilę. Pani Nina podczas naszych podróży kilkakrotnie wygłaszała słynną tezę, że aktorka powinna rodzić role, nie dzieci. »Pamiętaj, pani Martusiu, koniecznie dużo dbać o siebie, myśleć o sobie i tak pięknie grać, jak pani gra«. Wiedziała, co mówi, we Współczesnym widziała wszystkie moje role. Siedziałam obok, prowadząc samochód, w ciąży z pierwszym dzieckiem, i myślałam: »Boże, kobieto, co mi mówisz«. Byłam przepełniona szczęściem, czułam już pierwsze ruchy dziecka, takiej słodkiej rybki, nie wyobrażam sobie przejścia przez życie bez urodzenia dziecka ukochanemu mężczyźnie. Więc te teorie w ogóle do mnie nie trafiały. Tym bardziej postanowiłam nie mówić, że właśnie jestem w ciąży.

Trzeci raz spotkałam Ninę kilka lat później na Nowym Świecie, gdy szła do albo z Kameralnego, a ja z moją małą Anusią za rączkę do Kielmana, świetnego szewca. Nina, zawsze sama piękna, myślę, była wrażliwa na piękno, a moja Ania była dzieckiem zjawiskowym. Oczy jak latarnie w kolorze zielonym, co rzadkie u dzieci,

**Kochałam swoją pracę bardziej niż małżeństwo.
To bardzo prosta sprawa. Prawdziwa aktorka rodzi przede wszystkim role, nie dzieci.**

ciemna główka. Nina spojrzała na małą i aż ją zatkało. Powiedziała: »Hmm, *charmain, charmain*«, na co moja rezolutna mała spytała: »A cio to, cio to?«, co w jej języku znaczyło: »Co ona mówi?«. Pani Nina dodała: »Wie pani, mówię po francusku, żeby małej nie przewrócić w głowie«. (...)

„Wpadki” były trzy. Sprawcą pierwszej ciąży Niny był Włodek Łukaszewicz, Łukasz, kolega aktor. Klezczał, oświadczał się, nic nie wyprosił, jak premier. O ile odrzucenie oświadczenia Łukasza łatwo zrozumieć, bo oferował „tylko” zwyczajne życie, żmudne dorabianie się rówieśników, z kwilącym dzieckiem w wynajętym mieszkanku, o tyle trudno pojąć dwukrotne odrzucenie próśb premiera, za którym stały korzyści płynące z atrybutów sprawowanej władzy.

Cyrankiewicz marzył o rodzinie i stabilizacji, co wiedzą ci, którzy go naprawdę znali.

Gdy 21 lipca 1947 r. Nina wychodzi za mąż, ma niespełna 35 lat. Dzisiaj to nic, ale wtedy sporo, oj, sporo. Zarówno jak na pannę młodą, jak na pierworódkę, którą dwukrotnie miała szansę się stać. Z szansy nie skorzystała. I już.

„Pierwsza ciąża zdarzyła się po ponad roku małżeństwa; druga najpóźniej w 1950 r. – mówi Barbara Rusinek-Mączyńska. – Któregoś dnia po powrocie do domu usłyszałam fragment rozmowy ojca z bardzo smutnym J.C.: »Znowu to robiła...«. Nastoletnią dziewczynę nie bardzo interesowały cudze problemy małżeńskie, ale wtedy zrobiło mi się naprawdę żal premiera. Widać, że był zdruzgotany i bardzo przeżywał postępowanie żony”. (...)

Gdy Maria Borys zorientowała się, że córka znów nie zamierza donosić ciąży, próbowała ją skłonić do zmiany decyzji. Nic nie wskórała.

Kiedyś spytałam Ninę, czemu zlekceważyła jej radę, skoro matka „życzyła pani najlepiej na świecie”. Nina na to bez sekundy wahania:

„Nie miała kompetencji do wypowiedziania się w tych sprawach”. Nina słuchała matki mocno wybiórczo. Jak jej pasowało, to tak, a jak nie, to nie. Tematu nie drążyłam.

Wtedy do męża dotarło, że przegrał na całej linii i z tej maki chleba nie będzie. (...)

Wybory Niny są konsekwentne: nie wyraża zgody na bycie matką, do czego każda kobieta powinna mieć prawo. Chce być żoną premiera, ale nie matką jego dziecka, chce realizować własny program na życie bez wyrzeczeń na rzecz rodziny. Bo świat poza teatrem może nawet istnieć, ale się nie liczy...

Andrzej Hausbrandt zauważa, że cena za uprawianie zawodu aktora przez duże A jest wysoka: „Sukces najczęściej jest sumą wyrzeczeń. Z przyjemności, życia osobistego, spokoju, stabilizacji. [...] Sukces to obsługiwanie swojej popularności, ▶

► budowanie jej i utrwalanie. Sukces to mordercza harówka do ostatniego potu. Sława aktora dramatycznego jest nietrwała jak jego dzieło. Jak rola, która rodzi się na scenie każdego wieczora i z końcem spektaklu gaśnie”. (...)

Mogę, ale nie chcę

Dr Maria Wierzbicka (ur. 1939), historyczka, córka polityka i dyplomaty Adama Rapackiego: „To musiało być w Natolinie, na jakimś uroczystym obiedzie, przy długim stole pełnym gości, gdzie toczyła się interesująca

rozmowa o podróżach. Mnie posadzono naprzeciwko pani Niny, która zaczęła opowiadać o jakiejś swojej oficjalnej podróży po ZSRR. Byłam młodą dziewczyną, więc tylko słuchałam z zainteresowaniem. Pani Nina opowiadała osobom wokół, jak na jednym ze spotkań w kotłowni zabrała głos jakaś kotłowniczką z tekstem: »Widno czto wy dietiej nie raždali«, na co Nina: »No ja raždat mogu«. Jak jej zależało, umiała wystać jasny przekaz, aby prosta kotłowniczką zrozumiała: »Mogę, ale nie chcę«”.

Teresa Popielarska (rocznik 1934) jako harcerka z gimnazjum

im. Powstańców Warszawy występowała przed Niną i gwiazdami Polskiego. „To było pewnie z okazji święta 1 Maja albo 22 Lipca, przed 1953 r. – to był rok matury. Pamiętam, jak posągowa pani Andrycz schodziła po schodach w pięknej sukni. Śpiewaliśmy piosenki harcerskie i tańczyliśmy, bardzo przeżyaliśmy nasz występ, lecz wrażenia nie zrobiliśmy. Nie było uśmiechu, kontaktu, była obojętność. Po latach w książce o harcerstwie zobaczyłam jej piękne zdjęcie w białej sukni, w otoczeniu dzieciaków w harcerskich mundurkach. Dzieci ocieplają wizerunek, szkoda, że mój hufiec tyle szczęścia nie miał”.

Wanda Ochabówna: „Gdy spędzałam wakacje w ośrodku URM w Sopocie, był rok bodaj 1958, pani Nina ciągle miała o coś pretensje do nas, dzieci. Że za głośno, że w łazienkach zostawialiśmy nieporządek, że za rzadko korzystamy ze spłuczki, czepiała się. Dlatego jej nie lubiliśmy”.

Krystyna Pacho, córka wiceministra zdrowia, która mieszkała w alei Róż: „Na tej samej klatce miałam przyjaciółkę Małgosię Korzycką, córkę wicepremiera z ramienia ZSL. Kwitło życie podwórkowe, wracało się ze szkoły, zjadało obiad, odrobiło lekcje i szło na podwórko, na trzepak, grało w pikuty, w czym się wyspecjalizowałam. Prawdziwe dzieciństwo. W Dolince Szwajcarskiej, na którą wychodziły okna kamienicy, szaleliśmy, nikt nas nie pilnował i pewnie nieźle się wydzieraliśmy. Kierowca pani Niny chodził po rodzicach. »Proszę uczyć dzieci, żeby nie krzyczały na dworze, bo to przeszkadza pani Andrycz«. Nie znosiliśmy jej, wręcz nienawidziliśmy! Bo nie była w stanie zamknąć okna, inni mieli się zamknąć”.

Prawda, dzieci nie były jej „elektorem”, nie musiała o nie zabiegać.



**JEŚLI DZIŚ
PADNIE MADRYT
JUTRO PADNIE
WARSZAWA**

POLSKIE WĄTKI
W WOJNIE DOMOWEJ
W HISZPANII
(1936-1939)

**07.07.2023
01.10.2023**

MUZEUM X PAVILONU
CYTADELI WARSZAWSKIEJ
UL. SKAŻAŃCÓW 25
WARSZAWA

Organizatorzy:  Partnerzy:  Patronat:  Patronat medialny: 

Fragmenty książki
Liliany Śnieg-Czaplewskiej
*Nina i Józef. Sceny
z życia, które minęły*,
Rebis, Poznań 2023



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

„Jeśli dziś padnie Madryt, jutro padnie Warszawa” – taką parafrazą jednego z najgłośniejszych haseł mobilizujących Europę i świat do przeciwstawienia się faszyzmowi, który hiszpańską wojnę domową 1936-1939 potraktował jak poligon przed rozpętnaniem II wojny światowej, nazwano niezwykle, choć skromną wystawę. Prezentuje ona, często po raz pierwszy publicznie, polskie wątki w tej wojnie. Dostępna jest w Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej od 7 lipca do 1 października br. Kuratorami wystawy są Weronika Krzemień (Muzeum Niepodległości w Warszawie, to z jego zbiorów pochodzą eksponaty) i Jeremi Galdamez (Stowarzyszenie Ochotnicy Wolności). Polskie wątki to świadectwa i pamiątki pozostałe po dąbrowszczakach czy – szerzej – wszystkich Polakach walczących w tej wojnie po stronie Republiki. I tych w milicjach robotniczych czy anarchistycznych, i tych z Brygad Międzynarodowych, i tych, którzy współorganizowali służby medyczne. Ekspozycja nie opowiada całej historii konfliktu, międzynarodowego tła tej wojny, w której państwa demokratycznej Europy bynajmniej nie stanęły po stronie demokratycznie wybranego rządu Frontu Ludowego. Takich skrupułów nie mieli faszysty niemieccy i włoscy, którzy wsparli

postawili sobie za cel, żeby każdy eksponat był przypisany do tego, kto nim dysponował, żebyśmy wiedzieli, do kogo należał beret, do kogo legitymacja brygadzysty, a do kogo błoczek na recepty czy dokumentacja lekarska. Dzięki temu poznajemy kilkudziesięciu bohaterów i bohaterek hiszpańskich walk o naszą i naszą wolność. W większości, mimo wcześniejszych wystaw w czasach PRL, możemy te przedmioty zobaczyć po raz pierwszy. Można też powiedzieć, że tak jak na muralu upamiętniającym dąbrowszczaków, który od kilku lat można oglądać na ścianach skłotu Przychodnia na ulicy Skorupki w Warszawie (autorstwa Adama Walasa, który teraz zaprojektował plakat całej wystawy), w tej prezentacji nacisk został położony nie na sam wysiłek zbrojny i walkę, ale na elementy projektu reform społecznych, które wywołały pucz Franco oraz wsparcie Hitlera i Mussoliniego.

Wśród artystów tworzących bogatą oprawę graficzną całego konfliktu i starcia byli również wybitni polscy graficy żydowskiego pochodzenia, jak choćby Mauricio Amster, autor m.in. projektu graficznego cenionego i nagradzanego do dzisiaj elementarza antyfaszystowskiego – walka z analfabetyzmem

Hiszpania 1936-1939 — wojna zapomniana, zakurzona, wyparta

z całą krwawą mocą pucz frankistowskich generałów. Dramatyczne konsekwencje miało wsparcie udzielone walczącej Republice jedynie przez Związek Radziecki i Komintern.

I w tym kontekście nie można zapominać o fenomenie wsparcia Republiki przez ochotników z kilkudziesięciu krajów świata, którzy dotarli do Hiszpanii zarówno z zamiarem zbrojnego oporu przeciw faszyzmem, jak i z politycznym, świadomym poparciem dla szerokiego programu reform społecznych zapoczątkowanego przez władze republikańskie. Do Hiszpanii przybyli ludzie najszerzej rozumianej lewicy, choć niekoniecznie zawsze afiliowani do formalnych partii czy organizacji. Wystawa pokazuje również tę różnorodność, jeśli chodzi o polskich „ochotników wolności”. Byli wśród nich komuniści, socjaliści, anarchiści, działacze związkowi, lekarze, artyści, robotnicy. Kobiety i mężczyźni. Szacuje się, że w walce wzięło udział ok. 5 tys. bojowników i bojowniczek, wśród nich sporą grupę stanowili polscy Żydzi.

Na wystawie w skrzydle plakatowym X Pawilonu znajdujemy sporą, choć niewielką w stosunku do zbiorów Muzeum Niepodległości, prezentację plakatów antyfaszystowskich. Oprócz tego oglądamy dokumenty, listy, odznaki, elementy wyposażenia wojskowego (tylko jeden pistolet, za to także legendarny kompas mjr. Henryka Toruńczyka, dowódcy w ostatnim okresie XIII Brygady Międzynarodowej im. Jarosława Dąbrowskiego, a potem wszystkich oddziałów międzynarodowych). Autorzy wystawy

w Hiszpanii czy pośród samych walczących po stronie Republiki była sztandarowym wyzwaniem politycznym. Możemy oglądać także plakaty Mariana Rawicza, którego fascynacje nowymi technikami fotograficznymi, fotomontażem i typografią uczyniły jednym z najbardziej cenionych grafików książkowych w ówczesnej Hiszpanii.

Losy weteranów Brygad Międzynarodowych były powikłane, niejednokrotnie tragiczne, bohaterskie, często wciąż pozostają niezbadane. Dlatego wielkie uznanie dla osób i instytucji (Muzeum Niepodległości), które przygotowały tę ekspozycję.

Cóż, tamci bojownicy mieli rację, demokratyczna Europa się myliła i nie wykazała się determinacją, żeby zatrzymać faszyzm, kiedy to było jeszcze możliwe. Niemiecki Legion Condor, który zbombardował Guernicę (co uwiecznił Pablo Picasso, a w sali obok ekspozycji można zobaczyć kopię tego obrazu autorstwa Wojciecha Fangora), po dwóch latach zrzucał bomby na Warszawę. Wizyta w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej na tej wystawie może być skromnym gestem pamięci, która tym walczącym po prostu się należy, wbrew polityce historycznej usiłującej od kilku dekad wymazać fenomen tego oporu. Społeczna niezgoda doprowadziła do zachowania ulic Dąbrowszczaków w kilku polskich miastach. Warto wiedzieć więcej niż tylko to, że byli, że ostrzegali, że ginęli. Że choć ówczesna Polska pozbawiła ich obywatelstwa, a dzisiejsza nie chce pamiętać, to demokratyczna Hiszpania wciąż darzy ich wdzięcznością i upamiętnia. ■

POMOŻESZ?
BO MOŻESZ.
MASZ TO
W GENACH!



Żyję dzięki
Dawcy szpiku.
HANIA

**ZOSTAŃ
DAWCĄ SZPIKU!**

ZAREJESTRUJ
SIĘ NA
dkms.pl

W ciągu 12 lat działania Fundacji DKMS zarejestrowaliśmy ponad 1,7 miliona potencjalnych Dawców szpiku i komórek macierzystych.

Każdego dnia kolejni Dawcy z naszej bazy dają szansę na życie chorym na białaczkę i inne nowotwory krwi zarówno w Polsce, jak i na świecie.

PRZYŁĄCZ SIĘ DO WALKI Z NOWOTWORAMI KRWI!

ZOSTAŃ POTENCJALNYM DAWCĄ SZPIKU I KRWIOTWÓRCZYCH KOMÓREK MACIERZYSTYCH.

Dowiedz się więcej i zamów pakiet rejestracyjny na **dkms.pl**

✉ Ludobójstwo niezapomniane

Red. Jerzy Domański w swoim komentarzu stwierdził, że „pisanie o ludobójstwie, jakiego doświadczyli Polacy na Wołyniu, jest jak bicie głową w mur. Mur wypełniony niewiedzą, obojętnością i świadomie zafałszowaną historią. Ale też, co jeszcze gorsze, hipokryzją, obłudą i głupotą polityków”.

Główną przyczyną tego stanu rzeczy jest moim zdaniem zaciekle rusofobia naszych polityków. Władze ukraińskie o tym wiedzą i dlatego nas lekceważą, i to mimo udzielania im ogromnej pomocy materialnej i wsparcia politycznego. To bardzo źle rokuje na przyszłość. Poza nienawiścią do Rosjan nic bowiem nie łączy polskich i ukraińskich polityków. Jeśli uda się Ukrainie pokonać Rosję, będzie ona naszym największym wrogiem spośród państw ościennych.

W świetnym artykule „Cień przeszłości” Bohdan Piętko pisze: „Ryszard Szawłowski, politolog i specjalista z zakresu



prawa międzynarodowego, który analizował zbrodnie nacjonalistów ukraińskich od strony prawnej, sklasyfikował zbrodnie ukraińskie na Polakach wyżej niż niemieckie i sowieckie, jako specjalnie kwalifikowaną zbrodnię ludobójstwa, którą określił łacińskim terminem *genocidium atrox* (ludobójstwo zwyrodniałe)”. Chcę przypomnieć, że tymi zwyrodniałymi mordercami byli, w zdecydowanej większości, przedwojenni obywatele polscy, a nie Niemcy czy Sowietci.

Co nam czynić pozostało? Wojciech Młynarski radził: róbmy swoje. Postanowiłem więc, że w Narodowym Dniu Pamięci Ofiar Ludobójstwa 11 lipca będę wywieszał narodową flagę przepasaną kirem, a także przypominał innym ten dzień żałoby narodowej.

Wiesław Krzywicki



Przy okazji rocznicy zbrodni na Wołyniu nie można pominąć faktu, że i u nas czci się wielu morderców. Wystarczy przypomnieć „Ognia”. W Zakopanem postawiono mu pomnik, przy odsłonięciu którego obecny był prezydent Lech Kaczyński. Rodziny ofiar „Ognia” protestowały, ale jako że „Ogień” mordował także

przedstawiciele ludowej władzy, zasłużył na honory. Słowacy nakręcili film o rozbojach i morderstwach, których on i jego banda dopuścili się na Spiszu i Orawie, ale polska telewizja nie zgodziła się go wyświetlić. Mamy też świadectwa mordów i rozbojów dokonywanych przez niektórych „żołnierzy wyklętych”, ale ponieważ walczyli z władzą ludową, oddaje się im teraz cześć. Tych „wyklętych” wprowadził na salony prezydent Bronisław Komorowski.

Piotr Gordon

Jak można porównywać mordowanie ludzi ze względu na pochodzenie, a tym była rzeź wołyńska, z wywózką ludności ukraińskiej i nie tylko z terenów działania nacjonalistów UPA? Obecnej władzy odpowiada krytyka akcji „Wisła”, tak jak krytykuje wszystkie poczynania poprzedniej władzy, nazywając ją komunistyczną. Krytykując akcję „Wisła”, nie mówi się, że dzięki niej parę miesięcy po wywiezieniu ludności ukraińskiej z tych terenów w 1947 r. przestała działać partyzantka UPA. Nigdzie nie czytałem, ilu ludzi (Polaków, Ukraińców) uratowano dzięki zaprzestaniu walk. Ze źródeł historycznych wiem, że na Ukrainie Zachodniej UPA walczyła do 1954 r., lecz nie podaje się, jakie były straty ludzkie po obu stronach. Czytam wszystkie artykuły i opracowania na temat akcji „Wisła”, lecz nigdzie nie podawano, że już pod koniec lat 50. pozwolono, a wręcz zachęcano, aby wywiezieni wracali na swoje ziemie. Niewielu to zrobiło, gdyż nie mieli do czego wracać, a zostali wywiezieni na bogate tereny poniemieckie.

Adam Sulima

f Głową w mur

Polskim politykom brakuje odwagi, by wymagać czegoś od partnera, któremu przecież tak bardzo się pomaga. A dla Ukraińców temat jest bardzo niewygodny. Zwłaszcza prezydent Duda jest w tym zakresie wręcz żenujący i pozbawiony krzty przyzwoitości. Doprowadzenie do ekshumacji i godnego pochówku ofiar to obowiązek naszych władz.

Ukraińcy swój mit niepodległościowy w znacznej mierze oparli na zbrodniach z OUN i UPA. Czasem ze względów czysto pragmatycznych, co nie znaczy, że strona polska ma to w milczeniu akceptować. Powinna przynajmniej wyrazić dezaprobatę. Niestety, to wszystko świadczy bardzo źle o polskiej i ukraińskiej klasie politycznej. A Kreml, będący mistrzem manipulacji, z tego korzysta i obawiam się, że nadal będzie korzystać. Bo nie sądzę, że klasa polskich i ukraińskich elit politycznych znacznie się poprawi.

Bogusz Dawidowicz



„Rosja będzie grała Wołyniem, dopóki politycy z Warszawy i Kijowa tego problemu nie załatwią”, pisze Bohdan Piętko. Na razie Wołyniem gra Ukraina, żądając postawienia pomnika upowskim mordercom w zamian za obietnice ekshumacji ofiar banderyzmu. To tak, jakby Niemcy nie pozwolili ekshumować ofiar obozów koncentracyjnych, dopóki Polska nie wybuduje pomników esesmanom. To nie w Rosji kultywuje się tradycje UPA czy SS Galizien. I to nie w Rosji urodziny Bandery są świętem państwowym. Załatwić problem? Ciekawe jak, skoro faszystowski banderyzm wręcz kwitnie na Ukrainie, szczególnie w zachodniej części. Skoro ci, którzy mienią się wielkimi patriotami, wysuwają roszczenia wobec Niemiec, powinni też wystąpić o reparacje w stosunku do Ukrainy. Z tym że różnica między dzisiejszymi Niemcami a Ukraińcami jest taka, że dziesięciu na dziesięciu Niemców zapytanych o Hitlera odpowie: *Hitler kaput*, natomiast dziesięciu na dziesięciu Ukraińców zapytanych o Bandere powie: *Bandera, nasz giero!* Niestety, Polska dla Ukraińców to po prostu dojna krowa, która daje sprzęt, pieniądze czy schronienie. Nic więcej.

Michał Czarnowski



SZLACHETNE MALUCHY W MONTE CARLO

4 lipca z Bielska-Białej wyruszyła Wielka Wyprawa Maluchów – Monte Carlo. Obok nestorów, Sobiesława Zasady i Longina Bielaka, wśród uczestników znalazły się takie sławy sportu samochodowego jak Rafał Sonik, Kajetan Kajetanowicz i Bartosz Ostasowski. Celem zorganizowanej wyprawy 35 załóg jest wsparcie akcji zebrania miliona

złotych na pomoc i leczenie dzieci poszkodowanych w wypadkach drogowych. Po ośmiu dniach podróży i przejechaniu 4 tys. km przez siedem krajów maluchy dotarły do Monte Carlo.

Zdjęcia dzięki uprzejmości agencji fotograficznej East News.



FOT. WIELKA WYPRAWA MALUCHÓW/EAST NEWS, PAWEŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS



1. Inauguracja Wielkiej Wyprawy Maluchów – Monte Carlo. Sobiesław Zasada (po prawej) i Longin Bielak. Załoga fiata 126p ma razem 190 lat. Warszawa, 26 czerwca 2023 r.

2-4. Choć piękne, okolice jeziora Garda i serpenty wokół Mont Blanc były dla maluchów i ich kierowców wymagającym testem.

5-7. Przejeżdżająca ulicami Monte Carlo kawalkada wzbudzała powszechne zainteresowanie.



ERA FABRYKOWANIA RZECZYWISTOŚCI

**Boimy się, że sztuczna inteligencja odbierze nam pracę.
Dużo większym zagrożeniem jest dezinformacja**

Kornel Wawrzyniak

– Wchodzimy w erę, w której nasi wrogowie mogą wmówić nam, że dowolna osoba powiedziała dowolną rzecz, i to w dowolnym czasie. Nawet gdyby ten ktoś nigdy by tego nie zrobił. Nasi wrogowie mogą sprawić, że mógłbym teraz powiedzieć (...), że Donald Trump to dupek. Widzicie, nigdy nie powiedziałbym takich rzeczy, przynajmniej nie w wystąpieniu publicznym, ale mógłby to zrobić ktoś taki jak komik Jordan Peele. To niebezpieczny czas. Musimy być dziś bardzo czujni w stosunku do tego, jakim treściami w internecie ufamy – mówi na nagraniu w serwisie YouTube były prezydent USA Barack Obama. Okazuje się jednak, że to iluzja wytworzona za pomocą sztucznej inteligencji. Wszystkie zacytowane słowa podkłada amerykański satyryk Jordan Peele, który z wykorzystaniem technologii deepfake chciał przestrzec przed nią świat, a przede wszystkim amerykańskie służby. Filmik Peele’a ukazał się w 2018 r. i dla wielu nawet obecnie może pozostawać jedynie ciekawostką, lecz ostatni rok pokazał, że sztuczna inteligencja ma ogromne możliwości generowania autentycznie wyglądających treści, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Wystarczy przypomnieć fałszywe zdjęcia z zatrzymania Donalda Trumpa przez policję czy papieża Franciszka w absurdalnie wyglądającej kurtce Balenciagi. Powinniśmy dzisiaj bać się nie tego, że AI odbierze ludziom pracę, tylko tego, że jako globalne społeczeństwo możemy stracić pojęcie „faktu”, tonąc powoli w fałszywych treściach generowanych przez algorytmy.



Na początku marca 2023 r. założyciel portalu śledczego Bellingcat Elliot Higgins opublikował na Twitterze spreparowaną serię zdjęć z zatrzymania Donalda Trumpa.

Brzmi to jak fantastyka naukowa, a przecież wystarczy cofnąć się o rok, aby zobaczyć, że po części już w tej wizji żyjemy. W połowie marca 2022 r., czyli dwa tygodnie po ataku Rosji na Ukrainę, w mediach społecznościowych pojawiło się nagranie prezydenta Zełenskiego ogłaszającego kapitulację Ukrainy, oddającego Donbas Rosji i wzywającego obywateli do zaprzestania walk. Film był oczywiście fałszywką, w dodatku nieudolnie spreparowaną (Zełenski z nagrania jest wyższy

niż w rzeczywistości, ma szersze ramiona, nie zgadza się też kolorystyka i oświetlenie pomieszczenia). Nie zmienia to faktu, że ktoś włamał się na serwery jedynej nadającej wtedy w Ukrainie stacji telewizyjnej Ukraina24 i próbował zmienić losy wojny tym podrobionym wystąpieniem.

Technologia

Termin deepfake wziął się prawdopodobnie od nazwy użytkownika DeepFakes, który pod koniec 2017 r.

opublikował na portalu Reddit kilka filmów pornograficznych z najpopularniejszymi wtedy gwiazdami Hollywood. Oczywiście filmy były fałszywkami, choć wyglądały zaskakująco realistycznie. DeepFakes użył sztucznej inteligencji, dzięki której dokleił aktorkom porno twarze gwiazd srebrnego ekranu. Oprócz

Warto też sprawdzać w dodatkowym źródle kontekst wystąpienia, czy ktoś rzeczywiście powiedział to, co widzieliśmy na filmie – wyjaśnia Kinga Klich z organizacji Demagog zajmującej się walką z dezinformacją.

Właśnie ten ostatni czynnik zacydował o tym, że na film z Zefen-skim poddającym Ukrainę mało kto

na Twitterze serię zdjęć z zatrzymania Donalda Trumpa. Widać na nich, jak 45. prezydent Stanów Zjednoczonych ucieka przed policją, zostaje złapany, a na kolejnych fotkach trafia na salę sądową. Mamy też wreszcie Trumpa w celi. Wszystkie zdjęcia wyglądają autentycznie. Są jednak spreparowane przez AI

o nazwie Midjourney V5.

Były prezydent USA nie ma zresztą w sieci łatwego życia.

Z silnika Midjourney korzysta twórca satyrycznego kanału na YouTube Justin T. Brown.

W swojej serii obrazków „Sztuczna inteligencja zrewolucjonizuje branżę szantażu” Brown preparował z pomocą sztucznej inteligencji fotografie przedstawiające amerykańskich polityków i biznesmenów w nieprawdziwych, ale bardzo kompromitujących sytuacjach. – Stworzyłem tę serię w celu wciągnięcia niektórych najbardziej wpływowych osób w Ameryce do rozmowy na temat zagrożeń związanych ze sztuczną inteligencją i dotarcia do jak największej liczby odbiorców – wyjaśniał w rozmowie z portalem PetaPixel. Po tym jak pochwalił się w portalu Reddit

Wchodzimy w erę, w której nasi wrogowie mogą wmówić nam, że dowolna osoba powiedziała dowolną rzecz, i to w dowolnym czasie.

filmów DeepFakes opublikował kod źródłowy do algorytmu, dzięki któremu osiągnął pokazany na forum Reddita efekt. Dlatego deepfake’a może teraz zrobić każdy za pomocą ogólnodostępnych w sieci programów.

Słowo deepfake stanowi zbitkę angielskich wyrazów: *deep learning* od podkategorii uczenia maszynowego i *fake* od fałszu. W skrócie, technologicznie deepfake to nowoczesny sposób obróbki nagrań wideo lub audio oparty na sztucznej inteligencji. Program uczy się naśladować i odtwarzać mimikę danej osoby, jej głos, ruchy, intonację, a nawet rodzaj używanego słownictwa. Wszystko na podstawie zbioru zdjęć, filmów i dźwięków dostarczonych algorytmom. Bardzo często oszuści tworzący materiały typu deepfake wykorzystują autentyczne nagrania, które łączą ze sztucznie wygenerowanym obrazem. To wszystko sprawia, że łatwo sfabrykować materiał, którym można zmanipulować opinię publiczną.

– Jako użytkownicy mamy spore szanse rozpoznać filmy z technologią deepfake. Przede wszystkim potrzebujemy krytycznego myślenia i czasu. Musimy na chwilę się zatrzymać i zwrócić uwagę na kilka szczegółów. Po pierwsze, czy ruch ust jest zsynchronizowany z tym, co słyszymy. Po drugie, czy osoba porusza się w sposób naturalny. Twórcy takich filmów często korzystają z niewiedzy użytkowników. Jeśli nie oglądamy regularnie np. wystąpień jakiegoś polityka, łatwiej nas nabrać na dobrze zrobiony deepfake, bo trudniej nam zauważyć odstępstwa od normy w zachowaniu danej osoby.

się nabrał. Prezydent występował w tamtym czasie w mediach codziennie. Wszyscy byli więc przyzwyczajeni do jego wizerunku i pomieszczenia, z którego nadaje. To pozwoliło szybko nawet zwykłym użytkownikom wykryć, że filmik jest fałszem. – Detale, na jakie warto zwracać uwagę przy filmikach, które podejrzewamy o manipulację deepfake, to wszystko, co dzieje się wokół twarzy, poczynając od jej kształtu. Czy źrenice mają ten sam kolor, jak wyglądają uszy, czy kolczyki są takie same. Do niedawna AI słabo sobie radziła z tworzeniem dłoni. Było to

Sztuczna inteligencja ma ogromne możliwości generowania autentycznie wyglądających treści, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

widac na zdjęciach papieża Franciszka, które obieły sieć. Na większości fotek miał trzy albo cztery palce. Widać, że dziś musimy być ekstremalnie czujni i zwracać uwagę na bardzo drobne szczegóły – podkreśla Klich.

Narzędzie dyskredytacji

W styczniu 2019 r. w portalu MIT Technology Review pojawił się artykuł analizujący cyberzagrożenia, którymi najbardziej należało się wtedy martwić. Wśród nich na pierwszym miejscu znalazło się wykorzystywanie fałszywych materiałów wideo i audio generowanych przez sztuczną inteligencję. Na początku marca 2023 r. założyciel portalu śledczego Bellingcat Eliot Higgins opublikował

wygenerowanymi zdjęciami Trumpa całującego się w obskurnym pokoju hotelowym z drugim mężczyzną, stojącym w samej bieliźnie, Brown został zablokowany przez Midjourney. – Ten rodzaj dezinformacji nadal będzie miał miejsce – skomentował blokadę, nawołując: – Następnym razem zostanie wykorzystany przez ludzi o złych intencjach, więc zaczniemy interesować się tym problemem.

Fałszywych nagrań było już wiele. „Pijana” wiceprezydentka USA Kamala Harris, politycy PiS grający w grę komputerową czy Joe Biden, który podczas przemówienia zaczyna śpiewać piosenkę dla dzieci. To ostatnie nagranie było zresztą oznaczone jako żart w serwisie YouTube. Problem w tym, że w internecie ▶

wszystko zaczyna żyć swoim życiem. W pewnym momencie nie wiadomo, jakie było źródło, a to można wykorzystać do dezinformacji. Dlatego fani Trumpa po obejrzeniu śpiewającego Bidena szybko okrzyknęli go starcem z demencją. Wpisywało się to w retorykę Trumpa jeszcze z czasu kampanii wyborczej, kiedy sugerował właśnie, że jego konkurent jest zbyt stary i niedołężny, aby sprawować najwyższy urząd w państwie.

Metoda na kumpla

Deepfake zagraża też zwykłym użytkownikom internetu. W maju doszło w Chinach do spektakularnego wyłudzenia pieniędzy. Opisywaliśmy na naszych łamach wyłudzenia poprzez platformy typu OLX i techniki phishingowe, kiedy to złodzieje podają się za instytucje czy banki, aby wyłudzić dane umożliwiające dostęp do konta. Niedawno pewien chiński oszust wszedł na kolejny poziom – wykorzystał sztuczną inteligencję, aby podszyć się pod znajomego proszącego o pożyczkę sporej sumy pieniędzy.

Według Agencji Reutera w chińskim Baotou złodziej korzystający z technologii deepfake podczas połączenia wideo poprosił

ofiary o pożyczkę 4,3 mln juanów (2,5 mln zł). Kobieta, widząc znajomą twarz, bez wahania przelała pieniądze na podany numer konta. Dwa lata wcześniej doszło zaś do wyjątkowo nowoczesnego okradzenia banku z pomocą samego audio. Rabusie podszyli się pod prezesa placówki, odwzorowując jego głos na podstawie zebranych wcześniej próbek. Zadzwonili do jednego z pracowników

na TikToku, uważając informacje stamtąd zaczerpnięte za wiarygodne. Jeżeli social media już teraz mają taki wpływ, to możemy sobie jedynie wyobrazić, co będzie w kolejnych latach – komentuje Kinga Klich.

W sieci można znaleźć sporo programów do weryfikowania filmików, czy nie są zmodyfikowane przez deepfake. Tutaj pojawia się jednak paradoks, ponieważ sami twórcy

Do niedawna sztuczna inteligencja słabo radziła sobie z tworzeniem dłoni.

banku i wydali mu polecenie autoryzowania przelewów na bardzo duże kwoty. Tym sposobem z banku w Dubaju skradziono 35 mln dol.

Deepfaki mogą uderzyć nie tylko w dobre imię polityków, ale również w zwykłych ludzi. Dzięki internetowi spopularyzował się w ostatnich latach szantaż oparty na groźbach opublikowania intymnych fotografii i nagrań, tzw. *sextortion*. Do tej pory szantażyści korzystali z prawdziwych materiałów, które w jakiś sposób wpadły w ich ręce. Dziś nie potrzebują nawet tego. Dzięki technologii i odpowiednim umiejętnościom można spreparować sekstaśmę lub gorące fotki tylko na podstawie zdjęcia ofiary (a tych w mediach społecznościowych raczej nie będzie brakuwało). Najgorsze jest to, że ofiarami wymuszeń padają również dzieci. Ich zdjęcia są przetwarzane i zamieszczane w materiałach pornograficznych, a następnie wysyłane do nich. To kolejny powód, aby dbać o bezpieczeństwo dzieci w internecie i nie rozpowszechniać ich wizerunku.

falszywych treści korzystają z tych narzędzi, aby udoskonalać swoje podrobione filmiki, by wyglądały jeszcze prawdziwiej. Na szczęście część fałszywek nadal można rozpoznać gołym okiem. Wystarczy być czujnym. – Bardzo dobra jakość filmów, wręcz perfekcyjna, ale też bardzo słaba, powinna budzić nasze podejrzenia. Nowoczesna technologia potrafi wykonać świetne jakościowo filmy, ale algorytmy tworzące deepfaki mają swoje wady, więc twórcy czasem sztucznie pogarszają jakość filmu, aby zakryć mankamenty, tzw. artefakty, które AI zostawia na oryginalnym materiale. Kilka tygodni temu w sieci pojawiło się nagranie polityków PiS grających w grę komputerową „CS”. Był to deepfake dźwiękowy. Głosy się zgadzały, jednak słowa były połączone w nienaturalny sposób. Gdy zwrócimy uwagę na takie detale, będziemy wiedzieć, że materiał stworzyła sztuczna inteligencja – tłumaczy Kinga Klich.

Mamy sporo narzędzi, które jako zwykli użytkownicy możemy wykorzystać, aby nie dać się nabrać na fałszywe treści. Jednak tempo naszego życia nie daje wiele czasu na dokładne analizowanie treści. Rzetelne sprawdzanie informacji to nadal domena mediów tzw. starego typu, takich jak dzienniki i tygodniki, oraz organizacji walczących z dezinformacją. Dziennikarze i specjaliści dysponują czasem na weryfikowanie wszystkich faktów.



Jak nie dać się fejkom

– Niestety, mamy coraz więcej młodych osób, które korzystają z TikToka jako głównego źródła informacji. I to zaczyna być problemem, jeśli chodzi o weryfikację prawdziwości pojawiających się tam materiałów. Część starszego pokolenia ma jeszcze nawyk sprawdzania „sensacyjnych” doniesień w dodatkowym źródle, takim jak gazeta czy telewizja. A młodzi często opierają się jedynie



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Powieść luksusowa

Swawolny harcownik krytycznoliteracki ukryty pod pseudonimem Adam Wrotz wzburzył ostatnio środowisko ludzi pióra tekstem, w którym zarzucał polskim powieściopisarzom, że nie nadążają za rzeczywistością. Oprócz tego, że napisał parę prowokacyjnych bzdur („nie powinno się chwalić pisarza za język, tak jak nie powinno się chwalić lekarza za użycie stetoskopu”) dla przyciągnięcia uwagi i wywołania ożywionej dyskusji, w dzisiejszych czasach zwanej inbą, zmieścił w swoim tekście kilka trafnych i istotnych akapitów.

Wrotz umie w internety, od lat tworzy zmyślnie tragikomiczny fanpage „Wiersze Mateusza Morawieckiego pisane w Excelu”, gdzie gładźba i pustosłowia premiera rozpisane na wersy stają się monumentalną grafomanią poetycką. Dla przykładu podam minimalistyczny *evergreen*, w którym na przestrzeni jednego zdania poeta Morawiecki potrafi skondensować całą swoją mitomańską naturę. Widzimy w tej „wypowiedzi lirycznej”, jak nasz pisowski premier zmaga się z kompulsywnym pragnieniem kłamstwa, które wprost ciśnię mu się na usta: „Od paru / dni, / właściwie / od / wczoraj”.

Wracając do inby o powieść – Wrotz jako „działacz internetowy” rozumie więc doskonale, że w necie tylko ten, kto sieje zamęt, zbiera kokosy. Wywołanie awantury za pomocą jakiejś wysoce kontrowersyjnej, a nawet zamierzenie głupawej tezy jest skutecznym wabikiem klikalności i czytelności. Nawet jeśli nałogowi inbowicze omiotą tylko wzrokiem leady, docelowa grupa czytelników zmierzy się do końca z tekstem, o którym inaczej nawet by nie usłyszała.

Do internetowego Dwutygodnika zaglądam ostatnio rzadziej, byłbym zatem esej przeoczył, gdyby nie święty oburz wszystkich dotkniętych ludzi pióra, który wybił poza skalę. Tymczasem jestem wdzięczny autorowi, że nade wszystko przypomniał pewien ponury fakt wydawcom, literaturoznawcom, a także czytelnikom, którym nieustannie i od dekad marzą się polska „Czarodziejska góra”, „Buddenbrookowie”, tudzież opasta, wielowątkowa, ważka intelektualnie i poruszająca żywe tematy współczesności powieści. „Mało się o tym mówi – gdyż generalnie mało się mówi o finansowych uwarunkowaniach twórczości artystycznej – że Mannowi przygotowanie takich potężnych epokowych zwierciadeł udało się w istotnej mierze dlatego, że był człowiekiem bogatym. Nie byłoby »Czarodziejskiej góry«, gdyby nie fortuna. Z kolei wielkiej polskiej powieści XIX wieku nie byłoby bez silnego zaplecza finansowego w postaci czasopism i gazet, dających twórcom

etaty felietonistów i drukujących powieści w odcinkach. Trzeba chyba powiedzieć gorzko i z bólem, parafrazując kultową serię memów: nowa »Czarodziejska góra« jest dla zarządu, panie Mireczku, dla pana jest książka o życiu na trzepaku. Nie mamy dużych, aktualnych powieści o dynamice XXI wieku, bo jesteśmy na to zbyt biedni. Produkcja dużej, aktualnej powieści to segment luksusowy”.

Ano właśnie – nie wszystkich ludzi literacko uzdolnionych stać na bycie pisarzem, a ta mniejszość, która jednak znajduje czas i siłę, by codziennie wracać przez parę lat do pisania prozy, tak by nadać jej formę powieściową, robi to po godzinach. Wydawcy nie są w stanie tak zaliczkować autorów, by rozłożona na kilkadziesiąt miesięcy praca przy książce dawała komfort odrzucenia innych zajęć, albowiem łatwo obliczyć, że płaca minimalna pomnożona przez średni czas powstania dużej powieści (przyjmijmy, że to dwa i pół roku) daje nam dzisiaj prawie równe 100 tys. zł. O takiej zaliczce dla autora prozy artystycznej nie słyszano

Dopóki praca powieściopisarza nie będzie opłacana porównywalnie do dupogodzin korpuludków, pozostaną nam książki o życiu na trzepaku.

od czasów legendarnego kontraktu Jerzego Pilcha ze Światem Książki, a działo się to 20 lat temu i w dodatku dotyczyło bodaj pięciu tytułów w transakcji łączonej. Powieści pisze się w Polsce hobbystycznie, trudno zatem się dziwić, że najczęściej reprezentują nurt konfesyjny, zwany przez Wrotza prywatnym – jako forma auto- lub quasi-autobiograficzna, książki te mogą powstawać z pominięciem etapu researchowania. Opowiadanie o sobie nie zawsze jest jednakowoż wpisane w rzeczywistość, jakiej chcieliby zaznać wyznawcy powieści jako zwierciadła przechadzającego się po gościńcu. Autor, który terapeutyzuje się w wolnych chwilach za pomocą monologu wewnętrznego, może mieć z rzeczywistością kontakt wysoce ograniczony, a nawet chcieć od niej uciec. Czas na lekturę wielkiej powieści o aktualnych problematach ludzkości to dobro luksusowe, co dopiero czas potrzebny na jej napisanie. Pozostają nam więc spowiedzi znerwicowanych ofiar przemocy domowej lub stylistyczne fajerwerki parodystów, ewentualnie musimy się przekonać do krótszych form, próż sylwicznych, mikropowieści, tudzież po prostu do poezji. Dopóki praca powieściopisarza nie będzie opłacana porównywalnie do dupogodzin korpuludków w open space’ach, pozostaną nam książki o życiu na trzepaku. ■

Albania – piękno w pigułce

Słoneczne lato w Kraju Orłów to gwarancja dzikiego piękna i autentyczności, z duchem komunistycznego totalitaryzmu w tle

Chrystian Ślusarczyk

Przez dziesięciolecia wiedza o tym państwie w dużej mierze opierała się na niesprawdzonych przeciekach. Albania, nazywana Koreą Północną Europy, przez cztery dekady pozostawała w nawet większej izolacji, a wyjazd do Kraju Orłów, jak Albańczycy mówią o ojczyźnie, był niemożliwy. Dziś gościnni mieszkańcy robią wiele, by przyciągać turystów. W przypadku Polaków i odwiedzających z naszej części Europy ich starania przynoszą efekty. Zachód, pamiętający niedawną totalitarną przeszłość Albanii, wciąż jest nieco nieufny.

Ten niewielki kraj (28 tys. km kw.), mniejszy od województwa mazowieckiego, zamieszkaany przez niecałe 3 mln osób, zadziwia różnorodnością pejzażu, klimatu, architektury i historycznej spuścizny. Położona w sercu Bałkanów Albania graniczy z turystycznymi konkurentami: Grecją, Macedonią Północną, Kosowem i Czarnogórą.

Historia Albanii zaczyna się już w starożytności. Pierwsi byli tam Ilirowie, potem pojawili się Trakowie. Od II w. p.n.e. tereny Albanii weszły w skład imperium rzymskiego. Potem stanowiły część Bizancjum. W XV w., podobnie jak całe Bałkany, Albanie podbili Turcy. Osmanowie pozostawali tam aż do roku 1912 (powstanie niepodległej Albanii). Pod koniec II wojny światowej władzę przejęła Albańska Partia Pracy z Enverem Hodżą na czele. Dyktatura tego satrapy zrujnowała Albanie. Szybko stała się ona najbiedniejszym krajem Europy. Dopiero śmierć Hodży w 1985 r. i reformy początku lat 90. zaczęły powoli wyprowadzać Albanie na ekonomiczną prostą.

Spuścizna po najgorszej wersji totalitaryzmu to dziś dodatkowa

atrakcja turystyczno-historyczna. Gdzie bowiem indziej na każdy kilometr kwadratowy przypada sześć (!) schronów? W całym kraju jest ok. 750 tys. bunkrów. Część można zwiedzać, większość jednak pełni już inne funkcje, czasem zaskakujące: kurnika, przechowalni sieci rybackich itp.

Albania, która za Hodży, w 1967 r., ogłosiła się pierwszym na świecie państwem ateistycznym, dziś szczydzi się religijną tolerancją. Około połowy Albańczyków wyznaje bardzo umiarkowany islam, a katolicyzm i prawosławie – po 10%. Meczetę można i warto zwiedzać, pamiętając oczywiście o zdjęciu obuwia i o nakryciu głowy przez kobiety.

Do aspirującej do UE Albanii od kilku lat możemy wjeżdżać na podstawie i paszportu, i dowodu osobistego. Lot na tirańskie lotnisko im. Matki Teresy trwa niecałe dwie godziny. Do dobrze skomunikowanej z wybrzeżem stolicy dostać się możemy taniymi liniami. Zmotoryzowani na dojazd z Polski muszą poświęcić dwa dni. Tranzyt przez zjawiskowe góry Kosowa czy Czarnogóry zajmie sporo czasu. Główne albańskie drogi są w zaskakująco dobrym stanie, a gęstość ulokowanych przy nich stacji paliw, myjni samochodowych oraz restauracji czyni z Albanii europejskiego lidera. Ceny paliw są nieco wyższe niż w Polsce. Za to znacznie mniej niż nad Wisłą wydamy w albańskich restauracjach i kawiarniach, a także sklepach spożywczych. Walutą Albanii jest lek. Na przełomie czerwca i lipca za 1 euro można było dostać 107 leków.

Język albański nie jest spokrewniony z żadnym językiem świata. Na szczęście coraz powszechniej stają się angielski i włoski. W miejscowościach turystycznych uzdolnieni językowo Albańczycy

zaskoczą nas całkiem niezłą wymową... polskich słów!

Morza dla każdego

Albanie od zachodu oblewają wody dwóch ciepłych mórz – Adriatyckiego i Jońskiego. Szerokie, piaszczyste plaże znajdziemy na północy, im dalej na południe, tym więcej żwirkowych i kamienistych. 20 km od granicy z Czarnogórą leży Shëngjin. To kurort kombinat. Wokół piaszczystej plaży powstały setki hoteli, z których część to bloki z wielkiej płyty. Rodzime biura podróży rzadko oferują wyjazdy do tej miejscowości, wychodząc z założenia, że znacznie ciekawiej jest w Durrës – największym porcie, mieście ze starożytnymi zabytkami, ale i pięknymi plażami w jego południowej części. Im bardziej na południe od Durrës, tym mniej betonowej infrastruktury i więcej dzikich, nadal jeszcze piaszczystych plaż. Tę okolicę możemy polecić zwolennikom kamperów. W rejonie 120-tysięcznej Vlory pocujemy się jak w Chorwacji. Piasek zastępują kamienie (np. Orikum Beach), a wybrzeże staje się bardziej urozmaicone (półwyspy, mierzeje, zatoczki) i malownicze.

Jeszcze piękniejsze krajobrazowo są okolice Dhërmi, zwane bałkańskimi Karaibami, gdzie dzikie góry stykają się z czystymi, błękitnymi wodami Morza Jońskiego. W Dhërmi, do którego prowadzi kręta szosa, dominują małe pensjonaty i bungalowy. Większość znajduje się w niewielkiej odległości od żwirkowej plaży.

Wizytówką albańskiego południa jest Saranda, 30-tysięczne miasto znajdujące się naprzeciwko greckiej wyspy Korfu. Należy do najchętniej odwiedzanych miejsc w Albanii. Turystów przyciągają liczne żwirkowe plaże i cudowne górskie krajobrazy



Most Gorica na rzece Osum w Beracie.

w otoczeniu plantacji owoców cytrusowych, gajów oliwnych, winnic i pastwisk. Tamtejszych darów natury warto spróbować na lokalnych bazarkach. Okoliczne wody obfitują w ryby i skorupiaki.

Biura podróży oferują sporo wyjazdów do pobliskiego Ksamil (jeszcze bliżej Grecji). Miejsce szczyli się zupełnie nie-europejskimi widokami, bajkowymi wysepkami, zatoczkami z ukrytymi tam niewielkimi plażami. Będąc w Ksamil, warto odwiedzić niedaleki Butrint, wpisany na Listę światowego dziedzictwa UNESCO, dawną kolonię iliryską, ośrodek portowy z czasów greckich i rzymskich, z których zachowały się m.in. ruiny zamku, domów i murów obronnych.

Tirana, Kruja i Skanderbeg



Serce Tirany to plac Skanderbega.

Wielki Meczet w Durrës.

Tirana to miasto kontrastów. Ślady starożytności mieszą się tam z komunistycznymi budynkami i bunkrami oraz supernowoczesną architekturą. Jest tu np. nowy stadion z wieżowcem hotelem nad trybunami. Serce miasta to plac Skanderbega z muzeum historycznym i wielką mozaiką pokazującą historię kraju. Warto wejść na wieżę zegarową, by podziwiać panoramę stolicy. Przy placu znajduje się też meczet Ethema Beja z bajecznym, pełnym malowideł wnętrzem.

Nieco dalej podziwiać możemy piramidę – dawne mauzoleum dyktatora Hođzy. Po 1989 r. budowla stopniowo niszczała, ale ostatnio przeszła gruntowną rewitalizację. Dziś jest supernowoczesnym pałacem techniki, nauki i rozrywki. Zastosowane tam technologie sprawiły, że Tirana z dnia na dzień stała się „Tel Awiwem Bałkanów”.

Nie da się mówić o historii Albanii, nie wspominając o Skanderbegu. Ten urodzony w miasteczku Kruja na początku XV w. przywódca i bohater narodowy przez lata opierał się liczniejszej i lepiej uzbrojonej armii tureckiej. Żaden z bałkańskich krajów, które także popadły w osmańskie jarzmo, nie ma w swojej historii prawie 50-letniego epizodu niepodległości. Symbolem odwagi i niezłomności oddziałów Skanderbega była obrona twierdzy w Krui. Dopiero czwarte oblężenie, już po śmierci Skanderbega, po zagłodzeniu albańskich obrońców przyniosło osmańskiej Turcji oczekiwany sukces.

Bohaterska postawa Skanderbega była czymś, z czym Albańczycy mogli się



► identyfikować. Kilka wieków później Skanderbeg stał się inspiracją dla zawiązania nowego państwa albańskiego. W kraju postawiono mu setki pomników. Jest też kilka muzeów. Zdecydowanie najciekawsze znajduje się w miejscu urodzenia bohatera – w Krui.

Symbolem miasta jest twierdza na wzgórzu. Istniała ona, zanim Skanderbeg ustanowił tu w XV w. swoją siedzibę. Sporym zniszczeniom uległa zarówno w czasie oblężenia, jak i podczas trzęsienia ziemi z 1617 r. Do twierdzy prowadzi uliczka handlowa, zwana tureckim bazarem, ze stylowymi domami z XIX w., w których mieszczą się sklepy z pamiątkami. W 1982 r. twierdzę zrekonstruowano, według pomysłu Pranvera Hodży, córki dyktatora. To, co możemy dziś zwiedzać (m.in. Muzeum Skanderbega z ciekawymi eksponatami), powstało niestety bez poszanowania prawdy historycznej.

Na wzgórzu znajduje się nie tylko twierdza z powiewającą gigantyczną flagą albańską. W dolnej części kompleksu powstało muzeum etnograficzne, mieszczące się w domu z okresu albańskiego odrodzenia narodowego. Można tu obejrzeć starannie urządzone wnętrza obrazujące życie różnych warstw społeczeństwa albańskiego w XIX w., m.in. pracownię czapek *qeleshe* – pamiątkę numer jeden dla każdego powracającego z Albanii.

Berat – miasto tysiąca okien

Dla wielu to najpiękniejsze miasto Albanii, nazywane – z czym trudno się nie zgodzić – miastem tysiąca okien. O tym, że nazwa ta nie jest na wyrost, najłatwiej przekonać się o wschodzie lub zachodzie słońca, kiedy odbija się ono w wąskich oknach białych domów.

Berat, założony przez Ilirów w VI w. p.n.e., sprawia wrażenie dwóch oddzielnych miast. Podczas zwiedzania nie można pominąć twierdzy (*kalaja*) na wzgórzu. Ma 24 wieże i dwie bramy, jej obwód to 1440 m, a w środku za kamiennymi murami kryją się wciąż zamieszkałe domostwa. Krążąc po wielowiekowych uliczkach, warto zajrzeć do Muzeum Onufrego,

by podziwiać zachowane tam ikony. Równie ciekawie prezentują się wąskie uliczki i stojące przy nich domy pokryte czerwoną dachówką w dzielnicach Mangalem i Gorica nad rzeką Osum. Domy te, najczęściej piętrowe, mają charakterystyczną, wysuniętą górną kondygnację. Z twierdzą wiąże się legenda o dwóch braciach, którzy zakochali się w pięknej wróżce. Tomor i Shpirag długo, ale nieskutecznie walczyli o jej względy, raniąc się dotkliwie. Legenda mówi, że doliny i wąwozy, którymi poprzecinane są okolice, to ślady ich walk. Bóg, nie mogąc patrzeć na krwawą walkę braci, zamienił ich w górskie szczyty, które nazwano Tomor (2379 m n.p.m.) i Shpirag (1218 m n.p.m.), natomiast wróżkę – w kamieniste wzgórze, na którym wybudowana została twierdza w Beracie. Z też wróżki miała powstać rzeka Osum.

Południe: Saranda i Gjirokastra

Do Sarandy nad Morzem Jońskim dostać się możemy, lecąc do Tirany albo na grecką wyspę Korfu, a stamtąd promem lub katamaranem (koszt od 10 do 25 euro na osobę). Miasto jest jakby przyklejone do wapiennych stoków opadających stromo do morza. A nad wodą główna atrakcja kurortu – biegnąca łukiem promenada z palmami i niezbyt szeroką, żwirkową plażą. Za obiad w dobrej restauracji zapłacimy tu nie więcej niż 10 euro na osobę. Ceny tygodniowych pobyków w hotelu trzygwiazdkowym z opcją all inclusive na początku lipca zaczynają się od 2,2 tys. zł za osobę. Saranda szczyci się 290 słonecznymi dniami w roku.

Przy okazji pobytu w Sarandzie warto zwiedzić znajdującą się 70 km na północ Gjirokastrę. Otoczona górami nazywana jest miastem srebrnych dachów. Zawdzięcza tę nazwę dachom starówki, pokrytym szaro-srebrnymi łupkami. Uliczki są bardzo strome, stąd inna nazwa – miasto tysiąca schodów. Gjirokastra to wpisane na listę UNESCO miasto muzeum. Góruje nad nim otoczona masywnymi murami średniowieczna twierdza z piękną wieżą zegarową. Typowe albańskie pamiątki znajdziemy na turecko-bałkańskim bazarze.

W miasteczku urodził się Enver Hodża. Tutaj też można zwiedzać „bunkier wszystkich bunkrów”, zbudowany pod dawną siedzibą partii komunistycznej, ze schronem przeciwoatomowym.

Jezioro Szkoderskie i... Alpy

Na pograniczu z Czarnogórą znajduje się Jezioro Szkoderskie, największe na Półwyspie Bałkańskim. To ciepłe (cieplejsze niż oddalony o ok. 10 km Adriatyk), niezwykle malownicze jezioro. Powierzchnia tego krasowego zbiornika wynosi 360-550 km kw. i zmienia się w zależności od poziomu wód. Fauna jeziora obejmuje prawie 280 gatunków ptaków, co stanowi około połowy wszystkich gatunków ptaków występujących w Europie! 73 gatunki gniazdują tam stale, 18 to gatunki przelotne, 45 regularnie zimuje na jeziorze, a dziesiątki zlatują się z sąsiednich terenów.

Na wyspach znajdują się czarnogórskie zabytkowe monasteria. Największe miasto w okolicy to albańska Szkodra z ruinami średniowiecznej twierdzy Rozafy, kościołem Najświętszej Marii Panny (druga połowa XV w.) i meczetem (XVIII w.). Jak mawiają znawcy sztuki kulinarnej, zupa rybna nad Jeziorem Szkoderskim czy tamtejszy karp smakują jak nigdzie na świecie.

Tym, którzy zamiast tradycyjnych kierunków wolą dziką naturę, polecamy Alpy Albańskie (fragment Gór Dynarskich). Ich szczyty sięgają 2800 m n.p.m. Nazwa skalistych pasm nie powinna zaskakiwać; w wielu miejscach poczuć się bowiem jak w Austrii czy Szwajcarii. Choć krajobrazy podobne, od prawdziwych Alp te albańskie odróżniają potężne stada owiec i kóz, czasami widok osłów oraz pasterzy uzbrojonych nierzadko w broń palną.

Kraina Orłów, kraj ludzi mówiących otwarcie – to nazwy, których używają Albańczycy, opisując swoją piękną ojczyznę, jeszcze nie tak dawno okrytą magią niedostępności. Piękno w pigułce, pyszna kuchnia i gościnność sprawiają, że coraz częściej odwiedzają Albanię turyści, szukający nowych miejsc do odkrycia.

Chrystian Ślusarczyk



Konrad Malec

Przyznam się, że nie znoszę jeździć do Warszawy. Tłok, hałas, spaliny, brak uprzejmości, a do tego korki. Zwłaszcza te ostatnie mnie dobijają, a niestety coraz rzadziej mam okazję przyjechać autobusem. Wbrew obietnicom miłościwie nam panujących wykluczenie transportowe prowincji postępuje. Od początków pandemii z mojej gminy zniknęło ponad 30% połączeń ze stolicą, a te, które zostały, podróżowały znacząco. Jest jednak jeden korek, w którym kiedyś chciałbym się znaleźć.

Kobięcy wybór

Co roku wiosną wsłuchuję się w doniesienia radiowe o utrudnieniach w stołecznym ruchu drogowym. Co jakiś czas ich sprawcami są maszerujące nurogęsi, które coraz liczniej zamieszkują stolicę. Przy tej okazji nie słysząc tradycyjnych utyskiwań mieszkańców Warszawy i dojeżdżających do stolicy. Panuje wręcz zadziwiająca wyrozumiałość. Wszyscy pokochali puchate kulki, otoczone matczyną miłością.

Nie dziwię się. Gdy sprowadzałem się nad Narew, jednym z ptaków, które mnie do tego skłoniły, była nurogęś. Podczas pierwszej wizyty w przyszłym domu przeleciała tuż koło niego. Później widywaliśmy

Marsz nurogęsi

Gdy korek powoduje
mama nurogęś
z pisklętami,
kierowcy nie utyskują

się przez kilka lat, zaobserwowałam wówczas para gnieździła się na wyspie, 2 km ode mnie. Po lęgach widywałam mamę nurogęś, która wodziła pisklęta. Te, które zmęczyły się samodzielnym pływaniem, wskakiwały matce na grzbiet i korzystały z podwózki.

Ale po kolei. By były maluchy do przewożenia na grzbiecie, najpierw konieczne jest zapłodnienie. Pary zawiązują się w grudniu, na zimowiskach. U kaczek zwykle nie jest to porywające widowisko: chłopaki pływają tam i nazad albo okrążają upatrzoną dziewczuchę. Stroszą przy tym irokeza i wydają niskie, chrapliwe głosy, nieprzypominające kwakania większości kaczek. Zainteresowane panny na wydaniu, a co roku

wszystkie dorosłe samice są paniami na wydaniu, bo małżeństwo zawierane jest na kilka miesięcy, odpowiadają podobnie romantycznym chrapnięciem i nastroszeniem swojego czuba. Ten u dziewczyn jest bardziej okazały, choć, jak to zwykle u kaczek bywa, samiec uchodzi za ładniejszego, czyli bardziej barwnego. Samica jest ubarwiona kontrastowo, z wyraźnie odcinającą się brązową głową i górną częścią szyi. Dolna jest bardzo jasna, wręcz biała. Białoczarne samiec w czasie godów z daleka rzuca się w oczy. Z bliska można dostrzec różowawy nalot na białych częściach oraz zielonkawą opalizację części ciemnych.

U większości kaczek samce są wyjątkowo barwne i nie zajmują się potomstwem. Ale to nie tak, że tylko samce o tym zdecydowały w ewolucyjnej przeszłości. To samice wybierały bardziej efektownych facetów. Samiec, który rzuca się w oczy i nic go nie zjadło, to twarde, z nim warto mieć jaja! Samice konkurują o najbardziej barwnego samca i tylko te najlepsze dostaną supermenów. Słabsze dziewczyny muszą się zadowolić mniej efektownymi kawalerami.

W związku raczej nie ma szans na skok w bok, jak u drobnych wróblowatych, bo tu chłopaki niemal na krok nie odstępują swoich wybranek. Para będzie się trzymała do wylęgu młodych. Wprawdzie ▶

► chłopaki nie wysiadują, ale póki jaja są w gnieździe, czatują w pobliżu, a w razie zagrożenia starają się na sobie skupić uwagę napastnika, co nie jest trudne, zważywszy na koloryt. Gdy młode się wylęgą, samce ulatniają się, co ma sens – ich ubarwienie mogłoby ściągnąć na maluchy niebezpieczeństwo. Po rozstaniu z rodziną zaszywiają się w trzcinowiskach i pierzą, czyli gubią dotychczasowe pióra i zastępują je nowymi, już stonowanymi.

Ojczyste gniazdo

Tymczasem potomstwo czeka pierwszy życiowy skok. I to z wysokości kilkaset razy większej niż ich własny wzrost! Nurogęsi preferują lęgi w dziuplach, niekiedy na wysokości niemal 20 m. Samica zlatuje i wzywa pociechy z poziomu gruntu. Maluchy najpierw muszą wspiąć się do otworu za pomocą ostrych pazurków u łapek, a następnie skoczyć w czeluść! Na szczęście pisklęta są nadzwyczaj lekkie, otoczone puchem, a ich kości jeszcze nie są mocno połączone ze sobą, dzięki czemu rzadko dochodzi do ofiar przy pierwszej podróży powietrznej. Na kolejną poczekają ponad dwa miesiące. Niekiedy, gdy brakuje dziupli, samice zakładają gniazda w szczelinach murów, w gniazdach myszołówów lub wron, a niekiedy nawet w norach lub pod pochyłymi gałęziami wierzb. Bardzo pomocne okazują się specjalne budki lęgowe dla nurogęsi, widuję je w obfitości w Warszawie, a także w niektórych innych miejscach w Polsce.

Niezależnie od jakości domostwa maluchy trzeba doprowadzić do wody, niekiedy nawet 2 km. Po prawdzie, to pisklęta spędzają dzień lub dwa w gnieździe, nim opuszczają je na zawsze, co jest wyjątkiem wśród kaczek. Za to od pierwszego dnia poza dziuplą potrafią nurkować. Same zdobywają pożywienie, na początek skorupiaki, owady i narybek. Mama nadzoruje, wskazuje, weźmie na grzbiet, gdy się zmęczą, ale nie karmi. Jednocześnie stara się chronić dzieci, bo czyhają na nie błotniaki i inne ptaki drapieżne, a także wydry, szczupaki czy sandacze. Samica za

nic w świecie nie opuści maluchów, co często przykro się dla niej kończy, np. w szponach bielika. Los piskląt jednak nie musi być przesądzony, jeśli w pobliżu jest inna samica z młodymi. Ptaki te chętnie adoptują sieroty. Tłumaczy się to tym, że warto wziąć pod opiekę inne pisklęta, ponieważ, gdy zaatakują drapieżnik, jest duża szansa, że nie trafi w moje własne. Co roku dociera do mnie zdjęcie z Ameryki Północnej, na którym samica wodzi 71 maluchów. To efekt właśnie takiej adopcji, tyle że powtórzonej kilka, a może kilkanaście razy. Pojedyncza samica zwykle składa 7-12 jaj, sporadycznie ciut mniej lub więcej.

Samiec, który rzuca się w oczy i nic go nie zjadło, to twardziel, z nim warto mieć jaja!

Jeśli gniazdo się sprawdziło i udało się zeń wyprowadzić pisklęta, to samica będzie do niego wracała, niekiedy do końca życia. Samicy, która ze swoim partnerem namówiła mnie do osiedlenia się nad Narwią, nie widuję od kilku lat. Zapewne nie żyje i choć inne nurogęsi przylatują do mnie na zimę, to w bezpośrednim sąsiedztwie nie wyprowadzają lęgów. Jej dziuplę zajęły inne kaczki gniazdujące w ten sposób – gągoty. Wspomniana wierność gniazdu to coś więcej, samice nurogęsi są wierne okolicy, w której przyszyły na świat. Niemal zawsze wracają do swojej małej ojczyzny. Takie zjawisko nazywamy filopatrią. Zwykle dotyczy ptasich samców, kaczkowate są pod tym względem nielicznym wyjątkiem. O filopatii dowiedzieliśmy się stosunkowo niedawno, przy okazji badań genetycznych. To one dostarczyły dowodów na to, że samice wracają w miejsce pochodzenia, stąd dość powolna ekspansja tych ptaków na południe. Jeszcze w XIX w. niemal nie lęły się u nas. Na początku obecnego stulecia ich liczebność w Polsce oceniano na ok. 1 tys. par, dziś może ich być ponad dwa razy więcej. To ciągle niewiele, ale widać postęp. Pod koniec XIX w.

pierwsze lęgowe nurogęsi pojawiły się w Alpach. Założycielkami populacji było parę samic, wszystkie obecnie spotykane tam panie są ich potomkiniami, choć tatusiowie pochodzą z różnych stron. Prawdopodobnie samice z południowej, północnej i zachodniej części Alp nie spotykają się ze sobą, przynajmniej w czasie lęgów. To powoduje, że jeśli chce się je chronić w tamtejszej lokalizacji, należy się liczyć z wąskim gardłem genetycznym, choć w tym miejscu łagodnym przez przepływ genów zapewniany przez samce.

Gorzej pod tym względem jest z populacją bałkańską, powstałą przed półwieczem. O ile alpejskie populacje tworzy kilkaset par, tu mowa najwyższej o 32. Mimo to ptaki i tutaj coraz lepiej sobie radzą i ostatnio część z nich założyła nową populację w Bułgarii, gdzie nurogęsi cieszą się obywatelstwem od 30 lat, choć uzyskało je ledwie kilkanaście osobników. Więcej trudności nastręcza ochrona populacji islandzkiej, która w ogóle nie miesza się z ptakami z kontynentu, a liczy nie więcej niż 300 par. To prowadzi do krzyżowania wsobnego, czyli rozmnażania się blisko spokrewnionych osobników. Dobór krewniaczy prowadzi do częstszego spotykania się genów odpowiedzialnych za rozmaite defekty i choroby.

Krewni i znajomi nurogęsi

Poza Europą nurogęsi są spotykane na znacznych obszarach półkuli północnej, w trzech podgatunkach. U nas mieszka podgatunek nominalny, czyli taki, na podstawie którego opisano gatunek. Jego zasięg rozciąga się przez północ Azji po Pacyfik. W Azji Środkowej żyje trochę mniejszy podgatunek o węższym dziobie, a w Ameryce Północnej kolejny, nieco różniący się ubarwieniem skrzydeł.

Nurogęsi należą do szerszej grupy traczy. Poza nurogęsią spotykane są u nas szlachary, ongiś lęgowe w północnej Polsce. Niestety, od 20 lat nie mamy ich lęgów, i to za naszą przyczyną. Wypędziły je z Polski obce gatunki ekspansywne (wizon amerykański, do niedawna zwany

norką, i jenot), eutrofizacja jezior, czyli ich przeżyźnienie, i ruch motorowy na jeziorach. Mimo to ptaki te odwiedzają nas podczas przelotów, a w pewnej liczbie zimują, jeśli wody nie zamarzną. W podobnych okolicznościach spotykamy trzeci gatunek – bielaczka, wyjątkowo piękną kaczkę, biały samiec ma bowiem misterny, ażurowy, czarny rysunek. Wszystkie charakteryzują się ząbkowaną krawędzią dziobu. To znakomite narzędzie do chwytania ryb, od którego pochodzi nazwa plemienia (blisko spokrewnionej grupy gatunków) – tracz, po staropolsku robotnicy obrabiający piłą kłody drewna. U naszej bohaterki dziób jest zakończony dużym, wygiętym paznokciem. Paznokieć to rogowa narośl na końcu dziobu kaczki. U nurogęsi przypomina hak, co razem daje znakomity oręż przeciw ichtiofaunie. Tylko bez dramatyzowania pod hasłem „zeżrą wszystkie ryby”! Wprawdzie ryby są ich głównym pokarmem, ale ptaków tych mamy niewiele. Chociaż potrafią one upolować i zjeść nawet ćwierćmetrową rybę, to zwykle ich ofiary mają

ledwie 10 cm. Nurogęsi polują na te ryby, które są najbardziej dostępne, w praktyce więc są to ukleje, krapie i płocie, czyli gatunki o małym znaczeniu gospodarczym i co najwyżej średnim (płoc) wędkarskim. Chwytając ryby, nurkują na głębokość nawet 4 m, przepływają pod wodą 10 m i potrafią przebywać w zanurzeniu minutę, choć zwykle pozostają w nim nie dłużej niż połowę tego

Nurogęsi preferują łęgi w dziuplach, niekiedy na wysokości niemal 20 m.

czasu. Ponieważ do zlokalizowania ofiar pod wodą służy im głównie wzrok, wymagają przejrzystej wody. Niestety, większość naszych wód ulega wspomnianej eutrofizacji, przez jej użyczenie szybko rozwijają się glony, a to zmniejsza widoczność. Jeszcze gorzej, gdy dojdzie do zakwitnięcia, wówczas pokarm tych ptaków ginie uduszony przez kożuch glonów.

Poza wspomnianym czynnikiem zagrażają im sieci rybackie, w których

toną, i plamy oleju na morzu. Mimo to powoli nurogęsi w kraju przybywa, ale nadal są one pod ochroną, o czym warto pamiętać przy spotkaniu z tymi ptakami. Wracając zaś do zagrożenia, czasami sam bywam za takie brany. Gdy płynę kajakiem po Narwi, nurogęsi rzadko zrywają się do lotu. Jeśli już, to startują niemal pionowo i od razu przechodzą do sprawnego, dość szybkiego odlotu. Gdy nie czują się zagrożone, startują z długim rozbiegiem po wodzie, niczym pasażerski odrzutowiec. Dużo częściej jednak nurkują i wynurzają się znacznie dalej albo odpływają, i to naprawdę szybko. Jeśli na wodzie jest stado kaczek wielu gatunków i z jakiegoś powodu zaniepokojone odpływają, zwykle wysforowują się właśnie nurogęsi. To zasługa tego, że odpychają się dwiema łapami naraz, a nie na przemian, jak robią to inne kaczki. Tak też poruszają się pod wodą, co upodabnia je do innych sprawnych podwodnych łowców ryb – kormoranów.

Konrad Malec

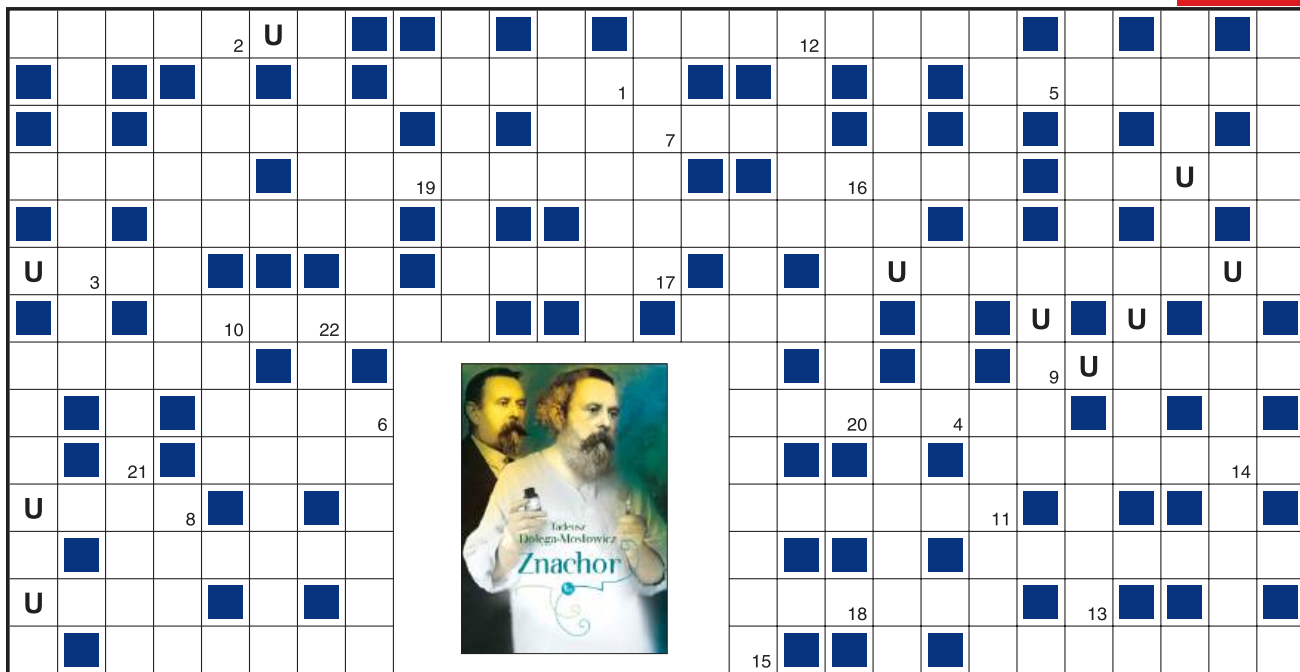


wishsurfing.pl

Które marzenie wybierzesz?

Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery U ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- ...Niedzielski, minister zdrowia
- stolica Pikardii
- słuchacze wykładu, koncertu
- N w układzie okresowym pierwiastków
- kosmetyk lub coś, co koi
- profesja św. Józefa
- fochy, kaprysy
- tarcza wykuta przez Hefajstosa
- syn Aresa i Afrodyty
- o muzycznym i kabaretowym przemyśle rozrywkowym
- przeszkody, pomysłu, swojego kandydata
- największa afrykańska malpa czelkokszałtna

- z łopatką i wiaderkiem
- „...Agamemnona” Słowackiego
- hrabina z „Fantazego”, baronowa w „Trędowatej”
- źle postrzegane masowe pojawienie się
- klasyczny teatr japoński
- wygoda życiowa z elegancją
- przeciwieństwo przy porównywaniu
- ...Vuitton od torebek i walizek
- ubranie na nędzarzu
- swoją twórczość wstawia w ramy
- bóstwo północnoamerykańskich Indian
- perłowa, krytyczna lub ciemna
- na antenowym nic nie trzepoce

- i silnik, i motocykl
- ...nienawiści – ksenofobiczna, antysemita
- trawa boiskowa
- oficjalne upomnienie
- młode pokolenie w stawie
- auto Micra lub Juke
- zieleni wśród gorących piasków
- skrzydło pałacu dla służby
- Maur zazdrośnik
- ruch błony filmowej w aparacie
- wyścigi na wodzie
- świętojański świecący
- kapilarna lub z kremem
- przewrót przez głowę bez podparcia
- człon, sekcja
- branża gospodarki
- lista surowców na etykietach
- wątpliwość wstrzymująca przed czynem nieetycznym
- potoczny, środowiskowy język z angielska

- Sierakowski lub Mentzen
- bywają skonfliktowane z teściowymi
- gałgan do podłogi
- rubryczki do wpisywania danych
- z jednym kółkiem i rączkami
- o tępych, mało zdolnym
- bywa nadstawiane
- trauma fizyczna lub psychiczna
- ułatwia kierowanie koniem
- pierwotne lub wtórne w transformatorze
- dodatnia cecha, zaleta
- magnetowid
- siła vitalna, energia
- napitek mocniejszy od piwka
- inauguracyjny na rozpoczęcie roku akademickiego
- i wybryk, i wypad
- witryna sklepowa
- norma, reguła, prawo

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1126”. Do rozlosowania książki „Znachor” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 23 lipca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1123” z nr. 26: *Diabeł diabłem pozostanie.*

Nagrody otrzymują: Dorota Jarosz z Nowej Wsi Szlacheckiej, Marek Sawicki z Wydmín, Adam Wiech z Kielc.

A może wyresetować MSZ?

Mamy lato, więc kilka zdań o czymś mało znaczącym, intelektualnie miernym, ale szkodliwym. Czyli o serialu TVP „Reset”, opowiadającym o polityce wschodniej z czasów premiera Tuska i ministra Sikorskiego. Szkodliwy jest ten serial z dwóch przynajmniej powodów. Po pierwsze, szkodliwe i dla państwa polskiego, i dla jego służb dyplomatycznych jest ujawnianie depesz z gryfem tajne, odsłanianie dyplomatycznej kuchni. Po takim show każdy urzędnik każdego państwa pięć razy pomyśli, zanim zacznie rozmawiać z pracownikiem polskiej ambasady. Po drugie, „Reset” propaguje najbardziej prymitywną wersję polityki zagranicznej, w tym konkretnym przypadku – wschodniej. Polega ona na tym, że identyfikujemy Rosję jako „genetycznego” przeciwnika i w związku z tym robimy wszystko, by go pokonać. Ostentacyjnie oczywiście.

Wcześniej poligonem takiej polityki była Białoruś. Jak to się skończyło, każdy widzi. Więc, szanowny ministrze Rau, do takiego działania dyplomaci nie są potrzebni, MSZ można zlikwidować. Bo jeżeli Rosji zawsze mówimy „nie” i to uważamy za jedyne słuszne zachowanie, po cóż tracić pieniądze na pensje dla dyplomatów czy utrzymanie budynków w Moskwie?

Serial oprócz Putina wskazuje jeszcze innych wrogów – to wspomniany Radosław Sikorski i dyrektor polityczny MSZ z jego czasów, Jarosław Bratkiewicz. Atakuje się ich jako tych, którzy chcieli poprawiać relacje z Rosją, zamierzali spróbować jakiejś gry. Bratkiewicz, który nie uchyła się od odpowiedzialności za te próby, broni tej polityki na łamach „Gazety Wyborczej”. „Kto chce się hardo stawiać, walić pięścią w stół,

powinien pracować jako wykidajło, a nie dyplomata”, mówi, wskazując pisowskich polityków.

Powiedzmy otwarcie: nie ma racji. Wykidajło, żeby pracować skutecznie, musi mieć siłę. Taką, żeby różnych osobników móc wyrzucić z lokalu. A jaką siłę wobec Rosji miała Polska? Co mogła Rosji zrobić? W tej grze mogła co najwyżej (i tak jest do tej pory, a w najbliższej przyszłości również nic tu się nie zmieni) schować się za plecami Ameryki, próbować coś ugrać, płynąc w nurcie wielkiej rozgrywki USA-Rosja, ewentualnie duże kraje Zachodu-Rosja.

Taką grę próbowano prowadzić w MSZ za czasów Sikorskiego. Próbowano docierać, budować zaufanie, ale to się nie udało. Nie z naszej winy ani nie z naszego powodu. Rozgrywka toczyła się wyżej. Po cóż więc lamentować, panie Rau? Myśli pan, że pokrzykiwanie i wyrażanie zła pleców Wielkiego Brata to jest polityka?

Skończmy z Rauem, ważniejsza rzecz w tym, że gra nie jest skończona. Że umiejętność docierania do kręgów decyzyjnych, budowania wspólnych działań, lewarowania własnej pozycji jest w polityce zagranicznej czymś podstawowym. I kłopot polega na tym, że pisowska ekipa tego nie rozumie, a nawet jak zacznie rozumieć – nie ma do tego narzędzi. Bo pozbyła się ludzi, którzy Rosję, i nie tylko Rosję, ale też cały poradziecki wschód, znali. I – co istotne – mieli umiejętności, a także możliwości budowania relacji. W zamian ma tych, którzy wiedzą lepiej, i to dziesięć pokoleń do przodu.

Może więc czas trochę zaoszczędzić i zamknąć to Ministerstwo Spraw Zagranicznych?

Attaché

Plaźowi matadorzy podczas corocznej gonitwy byków w hiszpańskim Alicante.





PENETRACJE

TYGODNIK
POMŚCZYN

EWA LIPSKA,
POETKA

Rok 1989 trochę mnie zmylił. Wydawało mi się, że idziemy w dobrym kierunku. Ale czasami myślę, co by było, gdybym została w Stanach Zjednoczonych, kiedy byłam na stypendium w Iowa. Miałam wtedy dużo mniej lat, pewnie adaptacja byłaby łatwiejsza, ale czy pisałabym po angielsku? Czy w ogóle bym pisała? Czasem zadaję sobie takie pytania, ale może o naszych wyborach decyduje los, przypadek, przeznaczenie? Jestem związana z językiem i to jest mój kraj. Nigdy z niego nie wyjadę.

VIVA!

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI,
BYŁY PREZYDENT

Są momenty, w których uważam, że wierzącemu jest łatwiej. Szczególnie jak przemawiam na pogrzebach przyjaciół czy bliskich znajomych, to chciałoby się powiedzieć z przekonaniem, że spotkamy się jeszcze, że dokończymy rozmowy. Ja w to nie wierzę. To, co mogę im zaoferować, to że dopóki żyję, będę o nich pamiętał. Ja w tym widzę, patrząc ze spokojem, pewną nieuchronność. To znaczy jesteś, czynisz wszystko, co możliwe, i odchodzisz. I nie ma. Przychodzą następni.

FORUM

KANCHHA SHERPA,
CZŁONEK EKSPEDYCJI, KTÓRA DOKONAŁA
PIERWSZEGO WEJŚCIA NA MOUNT EVEREST

Tenzing Norgay był dobrym przewodnikiem, pracował jako *sirdar*, czyli koordynował i kierował pracą Sierpów. Bardzo dobrze traktował swoich pracowników. Pamiętam, że w ostatnim obozie wysokim przed wierzchołkiem południowym byliśmy niezwykle wyczerpani. Potem przyszedł do nas Tenzing, przyniósł herbatę oraz słodczyce i zmotywował nas do dalszej pracy. Ogrzał nawet nasze stopy dłońmi, bo było nam bardzo zimno. Następnego dnia udaliśmy się na wierzchołek południowy na wysokość 7900 m, założyliśmy ósmy wysoki obóz, a potem złożyliśmy tam butle z tlenem i sprzęt. Tenzing i Hillary mogli odpocząć przed szczytem i zaraz po nim. Otrzymaliśmy za to premię w wysokości 300 rupii.

TYGODNIK
ANGORA

AUGUSTYN MIKOS,
PRZYRODNIK

W 2022 r. Lasy Państwowe miały rekordowy przychód – 15,2 mld zł, czyli 50% więcej niż w 2021 r. Prawie 90% z tego (13,5 mld zł) zarobiły na sprzedaży drewna z publicznych lasów. Wniosek jest jeden: tnie się na potęgę, a odbywa się to kosztem polskiej przyrody. Wycinki osiągnęły skalę dotychczas niespotykaną. Widać to na każdym kroku. Wystarczy wejść do lasu w dowolnym regionie Polski. Z Polski wyjeżdża teraz dwa razy więcej drewna niż w latach 90. Tym wielkim narodowym majątkiem zarządza nieliczna grupa ludzi, a reszta ma siedzieć cicho! To bulwersuje. Tak naprawdę 80% lasów w Polsce jest zarządzana przez Lasy Państwowe, które totalnie wymknęły się spod społecznej kontroli.

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

Wyrazy 4-literowe 1	Wyrazy 5-literowe 3	Wyrazy 6-literowe 5
Wyrazy 4-literowe 2	Wyrazy 5-literowe 4	Wyrazy 6-literowe 6

ROZWIĄZANIA: ŻÓŁW, SUMA, SMOK, RUCH, SCENA, UBIÓR, GAŁĄŻ, CHWYT, POWRÓT, DYSZEL, GRZYB, BUDŻET



Aby język giętki...

DONALD TUSK O RZĄDACH PiS

W Polsce rządzi kilka czy kilkanaście mafijnych rodzin.

ADAM MICHNIK O ROMANIE GIERTYCHU

Byłem atakowany za obronę gen. Jaruzelskiego, za obronę Jana Pawła II. Nie żałuję. Niech mnie teraz atakują za obronę Romana Giertycha.

WIESŁAW MYŚLIWSKI O SZCZĘŚCIU

Miałem szczęście w życiu, bo już w liceum wiedziałem, w kim się zakochać. I ten stan od wtedy trwa do dziś.

ANITA LIPNICKA O MIŁOŚCI

Fajnie jest kochać, gdy jest się młodym. Ale to właśnie na starość potrzebujemy kochania najbardziej.

ŁUKASZ LIPIŃSKI O POLITYCE

Wydaje się nam, że w polityce ciągle dzieje się coś istotnego, ale zwykle to tylko złudzenie.

KATARZYNA NOSOWSKA O MARZENIACH

Chciałabym mieć kawałek ziemi, gdzie widać, jak z każdego ziarna coś wyrasta. Sami sadzimy, sami zbieramy, sami zjadamy to, co wyhodowaliśmy.

CEZARY KUCHARSKI O REPREZENTACJI

To Glik był mentalnym kapitanem reprezentacji, choć Lewandowski nosił opaskę.

HELENA ENGLERT O POPULARNOŚCI

Staram się na tym świeczniku nie roziadać.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczwka

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Fotodorytzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

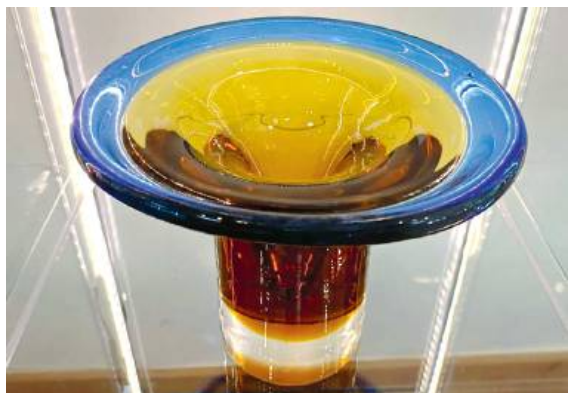
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





SZKLANY zawrót głowy

Izba Regionalna w Namysłowie zorganizowała wystawę dzieł projektantów przemysłowych, legend polskiego wzornictwa, Eryki Trzewik-Drost i Jana Sylwestra Drosta. Ich projektowane od lat 60. szkła wciąż są używane w polskich domach, jednocześnie przeżywają renesans na rynkach aukcyjnych i w środowiskach kolekcjonerskich, osiągając często zawrotną wartość. Eryka Trzewik-Drost i Jan Sylwester Drost przygotowywali projekty naczyń (np. serwisów Luna i Jaś, zestawów Cora, Conti, Asteroid, Radiant, Diatret) i rzeźby kameralnej (m.in. figurka Taniec ludowy) dla Zakładów Porcelany w Bogucicach i Huty Szkła Gospodarczego Żąbkowice w Dąbrowie Górniczej, projekty szkielek dekoracyjnych dla Huty Szkła Staszic, ale także dzieła unikatowe. Kilka lat temu małżeństwo projektantów zostało uhonorowane ekspozycją stałą w Muzeum Śląska Opolskiego.



Wazon Kalia, Huta Żąbkowice,
projekt Jan Sylwester Drost

Cukiernica Lizak, Huta Żąbkowice,
projekt Eryki Trzewik-Drost



Patery Ela i Ewa, Huta Bogucice, projekt Eryki Trzewik-Drost

Patera Radiant, Huta Żąbkowice,
projekt Jan Sylwester Drost

• TEATR CAPITOL •

KULTURALNE LATO, CAPITALNE LATO!



**GRAMY
CAŁE WAKACJE**



• KUP

BILET
TEATR CAPITOL

• www.teatrcapitol.pl •

PRZEBOJOWE KOMEDIE • GWIAZDORSKIE OBSADY • BRAWUROWE FARSY



FESTIWAL TEATRALNY

CAPITOL KULTUROWY.

TEATR TU I ÓWDZIE III EDYCJA

DZIENNIKI GOMBROWICZA

**19 LIPCA 2023 GODZ.17:00
TEATR CAPITOL WARSZAWA**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Oficjalny partner
teatru i sztuki w Warszawie
(Dzielnica Miedziowa)

Patroni Medialni

MAXX

onet

WYBROSIOWA

tytuł

ROBIEITY

ams

familie.pl

P

kicket

Obag

mokosh

ARTYSTA WARSZAWA

STREFA

WARSZAWA

Umo

reeman

WARSZAWA

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl/c984a05529

TONI
SERVILLO

VALERIO
MASTANDREA

MARGHERITA
BUY

SARA
SERRAIOCCO

NOWY FILM REŻYSERA WIELKIEGO PRZEBOJU

„Dobrze się kłamię w miłym towarzystwie”

PIERWSZY.DZIEŃ MOJEGO ŻYCIA

REŻYSERIA PAOLO GENOVESE



w kinach od 21 lipca

